J. G. Ballard

Wieżowiec

(High-Rise)

Przełożył Lech Jęczmyk

1 Masa krytyczna

Później, kiedy siedział na balkonie i ogryzał psią kość, doktor Robert Laing wrócił myślą do niezwykłych wydarzeń, do których doszło, w tym ogromnym wieżowcu mieszkalnym w okresie ostatnich trzech miesięcy. Teraz, kiedy wszystko wróciło do normy, dziwiło go, że nie miały one żadnego oczywistego początku, żadnej granicy, poza którą ich losy potoczyły się w wyraźnie złowieszczym kierunku. Ze swoimi czterdziestoma piętrami i tysiącami mieszkań, z supermarketem i basenami, bankiem i szkołą, stwarzał wystarczająco dużo okazji do aktów przemocy i konfrontacji. Jednak jego własne mieszkanie na dwudziestym piątym piętrze było ostatnim miejscem, które by Laing podejrzewał o to, że może stać się polem pierwszej potyczki. Ta śmiesznie droga cela, wciśnięta jakby przypadkiem w urwistą ścianę wieżowca, została przez niego wybrana po rozwodzie specjalnie ze względu na spokój, ciszę i anonimowość. Dziwne, że mimo wysiłków Lainga, żeby się odseparować od dwóch tysięcy sąsiadów oraz codzienności drobnych sprzeczek i swarów, które wypełniały ich wspólne życie, to właśnie tutaj zdarzył się pierwszy znaczący incydent – na tym balkonie, na którym kucał przy ognisku z książek telefonicznych i zajadał pieczony udziec owczarka alzackiego przed udaniem się na wykład w szkole medycznej.

Trzy miesiące wcześniej doktor Laing przygotowywał sobie śniadanie tuż po jedenastej w pewne sobotnie popołudnie, na jego balkonie rozległ się wybuch. Butelka musującego wina spadła z wyższego piętra, odbiła się od markizy i roztrzaskała się na pokrytej płytkami podłodze balkonu.

Dywan w pokoju spryskany był pianą i usłany odłamkami szkła. Laing stał boso wśród ostrych odprysków i patrzył, jak wstrząśnięte wino perli się na strzaskanych płytkach. Wysoko nad nim, na trzydziestym pierwszy piętrze odbywało się przyjęcie. Dobiegał stamtąd nienaturalnie ożywiony gwar i agresywny ryk muzyki. Zapewne butelka została strącona z poręczy przez podochoconego gościa i naturalnie nikt ani trochę nie przejął się ostatecznym celem tego pocisku, bowiem, jak zdążył już stwierdzić Laing, mieszkańcy wysokościowców nie zwracali uwagi na lokatorów z dołu, oddalonych od nich więcej niż o dwa piętra.

Chcąc zidentyfikować sprawców, Laing przekroczył rozszerzającą się kałużę zimnej piany. Wychylił się przez poręcz i przebiegł wzrokiem fasadę budynku, uważnie licząc balkony. Jak zwykle jednak, rozmiary czterdziestopiętrowego bloku przyprawiły go o zawrót głowy. Spuściwszy wzrok na płytki podłogi oparł się o framugę drzwi. Ogrom otwartej przestrzeni do najbliższego, oddalonego o ćwierć mili budynku, zachwiał jego poczuciem równowagi. Chwilami miał uczucie, że mieszka w gondoli diabelskiego młyna, na trwałe zawieszonej trzysta stóp nad ziemią.

Mimo to Laing był nadal zachwycony wieżowcem, jednym z pięciu identycznych budynków w osiedlu, a pierwszym ukończonym i zasiedlonym. Razem osiedle zajmowało milę kwadratową terenu opuszczonych doków i magazynów wzdłuż północnego brzegu rzeki. Pięć wysokościowców stało na wschodnim skraju osiedla, nad sztucznym jeziorkiem – obecnie pustym betonowym zagłębieniem, otoczonym parkingami i maszynami budowlanymi. Po jego przeciwnej stronie wznosiła się świeżo ukończona hala koncertowa ze szkołą medyczną Lainga i nowymi studiami telewizyjnymi po obu stronach. Rozmiary tej szklano-betonowej konstrukcji i jej malownicze położenie na zakręcie rzeki wyraźnie oddzielało nowe osiedle od zdewastowanego otoczenia, rozpadających się dziewiętnastowiecznych szeregowych domów i opustoszałych, przeznaczonych do rozbiórki fabryk.

Mimo bliskości położonego o dwie mile dalej na zachód miasta, biurowce śródmieścia Londynu należały do innego miejsca i czasu. Ich przeszklone ściany i anteny telekomunikacyjne przesłaniał smog, zaciemniając również wspomnienia Lainga. W ciągu sześciu miesięcy, jakie minęły od sprzedaży domu w Chelsea i przeprowadzki do azylu wieżowca, przeniósł się o pięćdziesiąt lat w przyszłość, z dala od zatłoczonych ulic, korków komunikacyjnych, jazdy w godzinach szczytu metrem na zajęcia ze studentami we wspólnym pokoju w starej klinice.

Tymczasem tutaj wymiarami jego życia były światło, przestrzeń i subtelne rozkosze anonimowości. Jazda na wydział fizjologii szkoły medycznej zajmowała mu pięć minut, a poza tą jedyną wyprawą życie Lainga w wieżowcu było samowystarczalne jak sam wieżowiec. W istocie budynek ten stanowił małe pionowe miasto z dwoma tysiącami mieszkańców wznoszącymi się jedni nad drugimi pod niebo. Mieszkańcy byli zbiorowym właścicielem budynku, którym zarządzali za pośrednictwem mieszkającego na miejscu administratora i jego podwładnych.

Przy całym swoim ogromie wieżowiec zapewniał imponujący zakres usług. Całe dwudzieste piętro zajmowała rozległa hala wielkości pokładu lotniskowca, mieszcząca supermarket, bank, salon fryzjerski, basen i salę gimnastyczną, dobrze zaopatrzony sklep z alkoholem i szkołę dla dzieci mieszkańców. Wysoko nad Laingiem, na trzydziestym piątym piętrze, znajdował się drugi, mniejszy basen, sauna i restauracja. Laing, zadowolony z tych wygód, coraz rzadziej opuszc-

zał budynek. Rozpakował swój zbiór płyt i wsłuchiwał się w swoje nowe życie, siedząc na balkonie i przyglądając się parkingom i betonowym placykom w dole. Chociaż jego mieszkanie znajdowało się tylko na dwudziestym piątym piętrze, po raz pierwszy w życiu miał uczucie, że patrzy na niebo nie z dołu, ale z góry. Z każdym dniem drapacze chmur śródmieścia Londynu wydawały się nieco odleglejsze i krajobraz opustoszałej planety powoli zanikał w jego mózgu. W przeciwieństwie do spokojnej i lekkiej geometrii hali koncertowej i studiów telewizyjnych pod nim, poszarpany kontur miasta przypominał mu chaotyczny encefalogram nierozwiązywalnego kryzysu psychicznego.

Mieszkanie było drogie, jego pokój dzienny, sypialnia, kuchnia i łazienka przylegały do siebie, żeby zaoszczędzić powierzchnię i wyeliminować przedpokój. Laing powiedział kiedyś do swojej siostry Alice Frobischer, która mieszkała ze swoim mężem wydawcą w większym mieszkaniu o trzy piętra niżej: – Ten architekt spędził chyba dzieciństwo w kapsule kosmicznej, jestem zdziwiony, że ściany nie są zaokrąglone...

Początkowo Laing czuł coś odpychającego w betonowym krajobrazie osiedla – była to architektura co najmniej podświadomie obliczona na wojnę. Po wszystkich przejściach związanych z rozwodem ostatnią rzeczą, jaką chciał oglądać co rano za oknem, był rząd betonowych bunkrów.

Jednak Alice wkrótce przekonała go do dyskretnych walorów życia w luksusowym wieżowcu. O siedem lat starsza od Lainga, dokonała chłodnej oceny potrzeb brata w okresie po rozwodzie. Wskazywała na wysoką jakość usług w budynku i pełną anonimowość: – Możesz być tutaj zupełnie sam w pustym budynku, pomyśl tylko o tym. -I wbrew logice dodała: – Poza tym jest tu mnóstwo ludzi, z którymi powinieneś nawiązać znajomość.

Zwracała uwagę na coś, co nie umknęło uwadze Lainga podczas oględzin budynku. Dwa tysiące jego mieszkańców stanowiło prawie jednorodną społeczność przedstawicieli wolnych zawodów – prawników, lekarzy, doradców podatkowych, starszych pracowników naukowych i dyrektorów agencji reklamowych, a także mniej licznych pilotów linii lotniczych, pracowników przemysłu filmowego oraz wynajmujących jedno mieszkanie we trójkę stewardes. Na podstawie normalnych kryteriów wykształcenia i zamożności ludzie ci byli sobie bliżsi niż członkowie jakiejkolwiek innej mieszanki towarzyskiej – z tymi samymi gustami i postawami, modami i zainteresowaniami, które wyraźnie ujawniały się w doborze samochodów na otaczających budynek parkingach, w eleganckim umeblowaniu mieszkań, w zestawie wyszukanych produktów w miejscowych delikatesach, w pewnej siebie tonacji ich głosów. Krótko mówiąc, stanowili idealne tło, w które Laing mógł się niezauważalnie wtopić. Radosna wizja jego siostry – Laing sam w pustym budynku – była bliższa prawdy, niż jej się wydawało. Wieżowiec był olbrzymią machiną tak zaplanowaną, żeby służyć nie społeczności mieszkańców, ale każdemu z nich z osobna. Jego system klimatyzacji, wind, zsypów na śmieci i przewodów elektrycznych zapewniał nieustanną troskę i obsługę, jaka przed stu laty wymagałaby armii niestrudzonej służby.

– Niezależnie od tego wszystkiego, z chwilą kiedy Laing został mianowany starszym wykładowcą fizjologii w nowej szkole medycznej, kupno mieszkania w sąsiedztwie było uzasadnione. Pomogło mu to również po raz któryś odłożyć decyzję o rezygnacji z nauczania i podjęciu praktyki lekarskiej. Ale – jak sobie powtarzał – wciąż czekał na pojawienie się swoich prawdziwych pacjentów – może znajdzie ich tutaj, w tym budynku? Pokonując wątpliwości co do ceny mieszkania, Laing podpisał akt dzierżawy na dziewięćdziesiąt dziewięć lat i wprowadził się do swojej jednotysięcznej części tej mieszkalnej góry.

Odgłosy przyjęcia wysoko nad głową nie cichły, wzmacniane prądami powietrza, krążącymi chaotycznie wokół budynku. Resztki wina spływały, pieniąc się, do nieskazitelnych otworów ściekowych. Laing postawił bosą stopę na zimnych płytkach i palcami zsunął etykietę z kawałka szkła. Natychmiast rozpoznał wino, drogą imitację szampana, najbardziej tu popularny gatunek, sprzedawany już schłodzony w sklepie na dziesiątym piętrze.

Pili to samo wino na przyjęciu u Alice poprzedniego wieczoru, na swój sposób nie mniej hucznym, niż to, które się teraz odbywało nad jego głową. Czując potrzebę rozluźnienia się po wielogodzinnych zajęciach w laboratoriach fizjologicznych, Laing niespodziewanie wdał się w sprzeczkę ze swoimi najbliższymi sąsiadami na dwudziestym piątym piętrze, ambitnym młodym ortodontą nazwiskiem Steele i jego agresywną żoną, konsultantką mody. W trakcie pijanej rozmowy Laing nagle uświadomił sobie, że udało mu się urazić ich głęboko w kwestii wspólnego zsypu na śmieci. Para ta osaczyła Lainga w kącie za barem jego siostry, gdzie Steele zasypał go serią ostrych pytań, jak ktoś poważnie zaniepokojony nieodpowiedzialnym stosunkiem pacjenta do własnej jamy ustnej. Jego długa twarz, uwieńczona przedziałkiem pośrodku głowy – dla Lainga zawsze było to oznaka jakiegoś skrzywienia charakteru – przysuwała się coraz bliżej i Laing prawie oczekiwał, że Steele wetknie mu między zęby jakąś klamrę, albo kleszcze. Jego energiczna i wytworna żona wsparła atak, czując się sprowokowana nonszalanckim sposobem bycia Lainga, jego lekceważącym podejściem do poważnej sprawy zamieszkiwania w wieżowcu. Upodobanie Lainga w przedpołudniowych koktajlach, opalanie się nago na balkonie i generalna atmosfera wulgarności, jaką wokół siebie roztaczał, wyraźnie działała na jej nerwy. Widocznie uważała, że w wieku lat trzydziestu powinien pracować dwanaście godzin dziennie jako wzięty konsultant i zajmować się troską o własną reputację, podobnie jak jej mąż. Niewątpliwie miała Lainga za jakiegoś odszczepieńca zawodu lekarskiego, mającego tajne powiązania z mniej odpowiedzialnym towarzystwem.

Laing był zdziwiony takimi małostkowymi kłótniami, ale wkrótce po wprowadzeniu się do wieżowca zaczął zauważać wokół siebie niezwykłą liczbę słabo maskowanych wrogości. Ten budynek miał własne drugie życie. Rozmowy na

przyjęciu u Alice toczyły się na dwóch poziomach – tuż pod pianą środowiskowych plotek kryło się twarde dno osobistej rywalizacji. Chwilami Laing miał uczucie, że wszyscy czekają na czyjś poważny błąd.

Po śniadaniu Laing sprzątnął z balkonu szkło. Pękły dwie dekoracyjne płytki. Lekko poirytowany, Laing podniósł szyjkę butelki z nadal odratowanym i owiniętym folią korkiem i wyrzucił ją z balkonu. Po kilku sekundach usłyszał, jak się roztrzaskała wśród zaparkowanych samochodów.

Zebrawszy się na odwagę, Laing wyjrzał ostrożnie za poręcz – mógł przecież wybić komuś przednią szybę. Śmiejąc się na głos z tego nieodpowiedzialnego gestu spojrzał w górę, w kierunku trzydziestego pierwszego piętra. Co oni tam świętowali o wpół do dwunastej rano? Laing wsłuchiwał się w narastający wraz z przybywającymi gośćmi gwar. Czy przyjęcie z jakiegoś powodu zaczęło się tak wcześnie, czy też trwało całą noc i teraz łapało drugi oddech? Wewnętrzny czas wieżowca, niczym sztuczny klimat psychologiczny, był posłuszny swoim własnym rytmom, zrodzonym z połączenia alkoholu i bezsenności.

Na balkonie piętro wyżej, na ukos od niego, jedna z sąsiadek, Charlotte Melville, ustawiała na stoliku tacę z drinkami. Czując swoją podrażnioną wątrobę, Laing przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru u Alice przyjął zaproszenie na koktajl party. Bogu dzięki, Charlotte uratowała go przed ortodontą z obsesją na tle zsypów na śmieci. Laing był zbyt pijany, żeby pójść gdzieś z tą ładną, trzydziestopięcioletnią wdową i dowiedział się tylko, że pisała teksty w małej ale przebojowej agencji reklamowej. Bliskość jej mieszkania, podobnie jak jej otwartość, pociągała Lainga, budząc w nim mieszane uczucia pożądania i romantycznego oczekiwania – z upływem lat stawał się bardziej romantyczny i jednocześnie bardziej gruboskórny.

Seks to było coś, co wieżowiec mógł zapewnić w obfitości, mówił sobie Laing. Znudzone żony, wystrojone jak na bal o północy na tarasie widokowym, kręcące się wokół basenów i restauracji w sennych godzinach wczesnego popołudnia albo spacerujące parami po deptaku dziesiątego piętra. Laing obserwował je zafascynowany, ale i ostrożny. Przy całym swoim pozorowanym cynizmie wiedział, że w tym okresie tuż po rozwodzie znajduje się w niebezpiecznej strefie – pierwszy udany romans z Charlottą Melville czy z kimś innym i znów wyląduje w małżeństwie. Przecież wprowadził się tu do wieżowca, żeby uciec od wszelkich zobowiązań. Nawet obecność siostry i napomnienia matki, histerycznej wdowy po lekarzu, powoli staczającej się w alkoholizm, swego czasu wydawały się dokuczliwe.

Jednak Charlotte szybko uspokoiła te obawy. Była nadal pod wrażeniem śmierci męża na białaczkę, przejmowała się dobrem swojego sześcioletniego syna i swoją – jak przyznała się Laingowi – bezsennością, co było pospolitą dolegliwością wśród mieszkańców wieżowca, prawie epidemią. Wszyscy, których poznał, dowiedziawszy się, że jest lekarzem, prędzej czy później poruszali sprawę swoich kłopotów ze snem. Na przyjęciach ludzie skarżyli się na bezsenność w ten sam sposób, jak na usterki budowlane. Nad ranem dwa tysiące lokatorów wieżowca leżało pokotem pod cichą falą środków nasennych.

Laing poznał Charlotte na basenie trzydziestego piątego piętra, gdzie zwykle chodził, częściowo, żeby pobyć w samotności a częściowo, żeby uniknąć dzieci, wybierających basen na dziesiątym. Chętnie przystała na jego zaproszenie do restauracji, ale kiedy usiedli, powiedziała znacząco: – Ale chcę tylko porozmawiać o sobie.

Laingowi to odpowiadało.

Kiedy w południe przyszedł do mieszkania Charlotte, zastał tam już drugiego gościa, producenta telewizyjnego nazwiskiem Richard Wilder. Mocno zbudowany, wojowniczy mężczyzna, niegdyś zawodowy gracz w rugby, Wilder mieszkał z żoną i dwójką synów na drugim piętrze. Hałaśliwe przyjęcia, jakie urządzał w towarzystwie pilotów i stewardes linii lotniczych, były przedmiotem ożywionych rozmów na niższych piętrach. W pewnym sensie nieregularne godziny pracy lokatorów z dołu odcinały ich od sąsiadów z góry. W chwili niekontrolowanej szczerości siostra Lainga szepnęła mu, że gdzieś w budynku działa dom publiczny. Tajemnicze wędrówki stewardes, związane z ich bujnym życiem towarzyskim, zwłaszcza na piętrach powyżej jej własnego, wyraźnie działały Alice na nerwy, naruszając jakby naturalny porządek społeczny budynku i jego hierarchię, opartą całkowicie na kolejności pięter. Laing zauważył, że, podobnie jak inni mieszkańcy, jest znacznie bardziej tolerancyjny wobec hałasów dobiegających z góry niż z dołu. Mimo to spodobał mu się Wilder z jego tubalnym głosem i manierami rodem z boiska – wprowadzał do wieżowca brakujący element nieprzewidywalności. Jego związek z Charlotte Melville był trudny do określenia – nieprzeciętna siła seksualna Wildera kryła się za ogromną ruchliwością. Nic dziwnego, że jego żona, blada młoda kobieta ze stopniem magistra, recenzująca w tygodnikach literackich książki dla dzieci, sprawiała wrażenie stale zmęczonej.

Kiedy Laing stał na balkonie, przyjmując szklankę z rąk Charlotte, hałas przyjęcia zwalił się na niego z góry, jakby samo niebo zostało podłączone do aparatury dźwiękowej. Charlotte wskazała na balkonie Lainga kawałek szkła, który uszedł jego uwadze.

– Czyżbyś był pod ostrzałem? Słyszałam, jakby coś tam huknęło – zwróciła się do Wildera, który rozparł się na środku sofy, zapatrzony w swoje grube nogi. To ci ludzie z trzydziestego pierwszego.

Jacy ludzie? – spytał Laing. Uznał, że Charlotte ma na myśli jakąś specyficzna grupę, klikę szczególnie agresywnych aktorów filmowych albo doradców podatkowych, albo może jakąś pijacką melinę. Jednak Charlotte wzruszyła tylko rami-

onami, jakby nie było potrzeby wdawania się w szczegóły. Widocznie w jej umyśle zarysowała się jakaś linia demarkacyjna, w rodzaju jego własnego wygodnego podziału ludzi według pięter, na których mieszkają.

– A tak nawiasem, co świętujemy? – spytał po powrocie do saloniku.

– Nie wie pan? – Wilder wskazał gestem ściany i sufit. – Fuli. Osiągnęliśmy masę krytyczną.

– Richard ma na myśli to, że zostało zasiedlone ostatnie mieszkanie – wyjaśniła Charlotte. – Nawiasem mówiąc, inwestorzy obiecali nam przyjęcie na swój koszt, kiedy zostanie sprzedany tysięczny lokal.

– Ciekawe, czy dotrzymają słowa – rzucił Wilder. Wyraźnie lubił wyżywać się na wieżowcu. – Nieuchwytny Anthony Royal miał zapewnić trunki. Zdaje się, że go pan poznał – powiedział do Lainga. – To architekt, który zaprojektował nasz wiszący raj.

– Gramy razem w squasha – potwierdził Laing. Wyczuwając w głosie Wildera element wyzwania, dodał: – Raz w tygodniu. Prawie się nie znamy, ale go lubię.

Wilder pochylił się, podpierając masywną głowę pięściami. Laing zauważył, że Wilder nieustannie się gdzieś dotyka, drapiąc się po masywnych łydkach, to obwąchując grzbiety pokrytych bliznami dłoni, jakby dopiero co odkrył swoje ciało. – Został pan wyróżniony – powiedział. – Ciekaw jestem dlaczego. On trzyma się na uboczu, powinienem go nie lubić, ale jakoś mi go żal, krąży tam nad nami niczym jakiś upadły anioł.

– On mieszka w penthousie*[* elegancka nadbudówka mieszkalna lub biurowa na płaskim dachu wieżowca] – dodał Laing. Nie chciał dać się wciągnąć w żadną przepychankę w związku ze swoją krótką znajomością z Royalem. Poznał tego zamożnego architekta, byłego członka konsorcjum, które zaprojektowało osiedle, pod koniec rehabilitacji Royala po drobnym wypadku samochodowym. Laing pomógł ustawić skomplikowane urządzenie do fizykoterapii w penthousie Royala, budzącym powszechną ciekawość i zainteresowanie. Jak wszyscy nieustannie powtarzali, Royal mieszkał „na samej górze", jak w jakiejś luksusowej pustelni.

– Royal był pierwszą osobą, jaka się tu wprowadziła – poinformował go Wilder. – Jest w nim coś, czego nie potrafię rozgryźć. Może nawet jakieś poczucie winy. Siedzi tam, jakby czekał, że ktoś go znajdzie. Spodziewałem się, że wyjedzie stąd dawno temu. Ma młodą i bogatą żonę, po co więc siedzi w tej czynszówce dla bogatych? – Zanim Laing zdążył zaprotestować, Wilder ciągnął dalej. – Wiem, że Charlotte ma zastrzeżenia do życia tutaj – rzecz w tym, że takie domy nie są pomyślane dla dzieci. Jedyny kawałek wolnego miejsca okazuje się zaraz czyimś miejscem do parkowania. Nawiasem mówiąc, planuję telewizyjny reportaż o wieżowcach, autentycznie surowe spojrzenie na fizyczne i psychologiczne stresy związane z mieszkaniem w wielkiej spółdzielni, takiej jak ta.

– Będzie pan miał masę materiału.

– Za dużo, jak zwykle. Zastanawiam się, czy Royal zechciałby wystąpić – może pan go spyta, doktorze. Jego poglądy jako jednego z projektantów bloku i pierwszego lokatora mogłyby być interesujące. Pańskie też.

Wilder mówił szybko, słowa przeganiały wydobywający się z jego ust dym papierosowy, a Laing tymczasem przeniósł swoją uwagę na Charlotte. Z zainteresowaniem słuchała Wildera, kiwając głową. Laingowi podobała się jej determinacja w obronie interesów swoich i małego syna, jej ewidentna normalność i zdrowy rozsądek. Jego własne małżeństwo z lekarką, specjalistką od medycyny tropikalnej, okazało się krótkotrwałą, ale za to totalną klęską, odbiciem bóg wie jakich potrzeb. Laing z bezbłędnym wyczuciem związał się z tą agresywną i ambitną młodą lekarką, dla której jego odmowa rezygnacji z nauczania – sama w sobie podejrzana – i bezpośredniego zaangażowania się w polityczne aspekty medycyny prewencyjnej otwierała nieograniczone możliwości zrzędzenia i konfrontacji. Po zaledwie sześciu miesiącach wspólnego pożycia nagle zapisała się do międzynarodowej organizacji pomocy głodującym i wyjechała na trzy lata. Laing nie próbował jechać za nią. Z powodów, których nie mógł na razie zrozumieć, nie potrafił zrezygnować z nauczania – wątpliwego, trzeba przyznać, bezpieczeństwa przebywania wśród niewiele od niego młodszych studentów.

Charlotte, jak sądził, byłaby to w stanie zrozumieć. Laing wyobrażał sobie dalszy możliwy przebieg ich związku. Bliskość i jednocześnie dystans, jaki zapewniał wieżowiec, neutralne tło emocjonalne, na którym mogłyby się rozwijać najbardziej intrygujące związki – wszystko to zaczynało go pociągać samo przez się. Stwierdził, że nie bardzo wiadomo, dlaczego cofa się przed tym wciąż jeszcze tylko wyobrażanym kontaktem, wyczuwając, że wszyscy są tu znacznie bardziej zaangażowani, niż im się wydaje. Łączyła ich prawie materialna sieć intryg i rywalizacji.

Jak się domyślał, nawet to pozornie niezobowiązujące spotkanie u Charlotte zostało zaaranżowane, żeby sprawdzić jego stosunek do tych mieszkańców wyższych pięter, którzy chcieli wykluczyć dzieci z użytkowania basenu na trzydziestym piątym piętrze.

– Umowa dzierżawy gwarantuje nam równy dostęp do wszystkich urządzeń – mówiła Charlotte. – Postanowiliśmy zorganizować komitet protestacyjny rodziców.

– To mnie chyba eliminuje.

– Potrzebny nam jest w komitecie lekarz. Argument pediatryczny zabrzmi znacznie mocniej w twoich ustach.

– Cóż, może... – Laing nie wiedział, czy chce się w to wdawać. Zanim się obejrzy, wystąpi w kontrowersyjnym reportażu albo będzie uczestniczyć w pikiecie przed biurem administratora budynku. Nie chcąc na razie dać się uwikłać w przepychanki między piętrami, Laing wstał i pożegnał się. Po jego wyjściu Charlotte przyniosła listę skarg. Siedząc obok

Wildera zaczęła stawiać ptaszki przy zażaleniach, które miały być przedstawione administracji, jak sumienny nauczyciel przygotowujący konspekt zajęć.

Kiedy Laing wrócił do siebie, przyjęcie na trzydziestym pierwszym piętrze dobiegło końca. Stanął w milczeniu na balkonie, ciesząc wzrok wspaniałą grą świateł na oddalonym o czterysta jardów sąsiednim bloku. Budynek został właśnie oddany do użytku i zbiegiem okoliczności pierwsi lokatorzy wprowadzali się tam tego samego ranka, kiedy ostatni wprowadzili się do jego bloku. Właśnie wóz meblowy podjeżdżał tyłem do windy towarowej i wkrótce dywany i kolumny głośnikowe, toaletki i lampki nocne miały wjechać na górę i złożyć się na wystrój czyjegoś prywatnego świata.

Myśląc o przypływie radości, jaką odczuwają nowi mieszkańcy rozglądając się ze swojej skalnej półki na urwisku wieżowca, Laing przeciwstawiał ją świeżo usłyszanej rozmowie między Wilderem i Charlotte Melville. Chociaż niechętnie, musiał teraz uznać coś, o czym starał się nie myśleć – że ubiegłe sześć miesięcy było okresem ciągłych sprzeczek między sąsiadami, małostkowych swarów z powodu szwankujących wind i klimatyzacji, niewytłumaczalnych awarii elektryczności, hałasów, wałki o miejsca na parkingu, krótko mówiąc, z powodu tych wszystkich usterek, do których budowniczowie mieli nie dopuścić w tych luksusowych mieszkaniach. Niezwykle silne napięcia między lokatorami były wyciszane częściowo przez cały cywilizowany wystrój budynku, a częściowo przez wyraźną potrzebę uczynienia z tego olbrzymiego wieżowca mieszkalnego modelowego sukcesu.

Laing przypomniał sobie drobny, ale nieprzyjemny incydent z poprzedniego wieczoru w pasażu handlowym na dziesiątym piętrze. Kiedy czekał w banku na realizację czeku, przed wejściem na basen toczyła się jakaś sprzeczka. Grupka dzieci, jeszcze mokrych po kąpieli, cofała się przed imponującą figurą księgowego z siedemnastego piętra. Drogę zagradzała mu w nierównym pojedynku Helen Wilder. Wojowniczość jej męża dawno już pozbawiła ją jakichkolwiek śladów wiary we własne siły. Nerwowo starała się zapanować nad dziećmi, wysłuchując cierpliwie reprymendy księgowego i co jakiś czas bez przekonania protestując.

Laing odszedł od okienka i ruszył w ich stronę, przeciskając się przez kolejki do kas supermarketu i rzędy kobiet pod suszarkami w salonie fryzjerskim. Kiedy stanął przy pani Wilder, czekając aż ta go rozpozna, zrozumiał, że księgowy skarży się na jej dzieci, które – nie po raz pierwszy – załatwiały się w basenie.

Laing spróbował się włączyć, ale księgowy z impetem zniknął za wahadłowymi drzwiami, przekonany, że wystarczająco zastraszył panią Wilder i jej gromadka więcej się tu nie pokaże.

– Dziękuję, że stanął pan po mojej stronie... miał tu być Richard. – Odgarnęła z twarzy mokry kosmyk włosów.

– To się staje niemożliwe, zamawiamy stałe godziny dla dzieci, a dorośli i tak przychodzą. – wzięła Lainga pod ramię rozglądając się niespokojnie po zatłoczonym pasażu.

– Czy mógłby mnie pan odprowadzić do windy? Może to wygląda na paranoję, ale zaczynam mieć obsesję, że któregoś dnia mogę zostać napadnięta...

Zadrżała pod wilgotnym ręcznikiem, zagarniając dzieci przed sobą. – To jest tak, jakby ci ludzie nie byli stąd.

Tego popołudnia Laing stwierdził, że ta ostatnia uwaga Helen Wilder chodzi mu po głowie. Brzmiało to absurdalnie, ale miało w sobie coś z prawdy. Co jakiś czas jego sąsiedzi, ortodonta z żoną, przyglądali się Laingowi z dezaprobatą, stojąc na swoim balkonie, jakby im się nie podobała swobodna poza, w jakiej odpoczywał na leżaku. Laing próbował sobie wyobrazić ich wspólne życie, hobby, rozmowy, stosunki płciowe. Jakoś nie pasowali do żadnej domowej rzeczywistości, jakby byli parą tajnych agentów bez powodzenia odgrywających role małżonków. W przeciwieństwie do nich Wilder był jak najbardziej realny, ale nie należał do wieżowca.

Pół leżąc na swoim balkonie, Laing obserwował fasady sąsiednich bloków w zapadającym zmierzchu. Ich rozmiary zdawały się zmieniać w zależności od gry świateł na ich powierzchni. Czasem, kiedy wracał wieczorem ze szkoły medycznej, był przekonany, że wieżowiec w ciągu dnia urósł. Czterdziestopiętrowy blok wsparty na betonowych podporach wydawał się jeszcze wyższy, jakby robotnicy ze studia telewizyjnego w wolnym czasie z nudów dobudowali dodatkowe piętro. Pięć bloków mieszkalnych na wschodnim obrzeżu, zajmujących milę kwadratową osiedla, tworzyło masywny mur, który o tej porze pogrążał w ciemności leżące za nim podmiejskie uliczki.

Wieżowce wydawały się rzucać wyzwanie samemu słońcu – Anthony Royal i architekci, którzy projektowali ten kompleks, nie mogli przewidzieć dramatu porannej konfrontacji między tymi betonowymi blokami a wschodzącym słońcem. Było wręcz naturalne, że słońce najpierw ukazywało się między podporami bloków, jakby bojąc się zbudzić ten mur gigantów. Rano, w swoim gabinecie na najwyższym piętrze szkoły medycznej, Laing obserwował ich cienie przesuwające się przez parkingi i puste place osiedla, jak śluzy otwierające się, żeby wpuścić dzień. Przy wszystkich swoich zastrzeżeniach Laing pierwszy był gotów przyznać, że te ogromne budynki dokonały zwycięskiego podboju nieba.

Tego dnia, tuż po dziewiątej wieczorem, awaria elektryczności chwilowo zablokowała dziewiąte, dziesiąte i jedenaste piętro. Wspominając to wydarzenie, Laing był zaskoczony rozmiarami zamieszania, jakie spowodowały te piętnastominutowe ciemności. Spośród dwustu osób obecnych w pasażu na dziesiątym piętrze, wiele zostało poturbowanych w walce o dostęp do wind i schodów. W ciemnościach wybuchło sporo absurdalnych, ale nieprzyjemnych awantur między tymi, którzy chcieli zjechać do swoich mieszkań na niższych piętrach, a mieszkańcami górnych poziomów, którzy chcieli

uciekać w górę, ku chłodniejszym regionom budynku. Podczas ciemności dwie z dwudziestu wind uległy awarii. Przestała też działać klimatyzacja i kobieta uwięziona w windzie między dziesiątym a jedenastym piętrem dostała ataku histerii – może na skutek seksualnej zaczepki. Powrót światła ujawnił niemałą liczbę pozamałżeńskich kontaktów, które rozkwitły w sprzyjających warunkach zupełnej ciemności niczym jakieś mięsożerne rośliny.

Ciemności zaskoczyły Lainga w drodze na salę gimnastyczną. Nie chcąc uczestniczyć w zamieszaniu, schronił się do pustej klasy szkoły podstawowej. Siedząc przy małym uczniowskim stoliku wśród wesołych rysunków dzieci, słyszał krzyki i przepychanki ich rodziców przy windach. Kiedy światła się zapaliły, wyszedł do zaskoczonych lokatorów, starając się ich uspokoić. Histeryzującą kobietę z windy przeprowadził na kanapę w korytarzu. Grubokoścista żona jubilera z czterdziestego piętra wczepiła się w Lainga i puściła go dopiero, kiedy znalazł się jej mąż.

Kiedy ludzie się rozchodzili, wciskając w windach guziki odpowiadające ich piętrom, Laing w pewnym momencie zauważył, że w innej klasie schowała się dwójka dzieci. Stały teraz przy wejściu na basen, cofając się przed postawnym księgowym z siedemnastego. Ten samozwańczy strażnik wody trzymał w rękach jak jakąś dziwaczną broń siatkę do czyszczenia basenu na długiej rączce.

Laing gniewnie rzucił się w jego stronę, ale nikt nie wypędzał dzieci z basenu. Odsunęły się, żeby przepuścić Lainga. Księgowy stał na skraju basenu, niezgrabnie wyciągając kij z siatką. Na głębokim końcu basenu trójka pływaków, którzy przez cały czas ciemności nie wychodzili z wody, pośpiesznie wdrapywała się na brzeg. Jednym z nich, odnotował Laing automatycznie, był Richard Wilder. Zbliżywszy się do księgowego, Laing pomógł mu sięgnąć dalej kijem z siatką.

Na środku basenu pływało ciało utopionego charta afgańskiego.

2 Przyjęcie

W dniach, jakie nastąpiły po utopieniu psa, nastrój podniecenia w wieżowcu stopniowo opadał, ale dla doktora Lainga ten względny spokój był tym bardziej złowróżbny. Basen na dziesiątym piętrze opustoszał, częściowo, jak przypuszczał Laing, z powodu podejrzeń, że woda jest zanieczyszczona przez utopionego charta. Nad nieruchomą wodą zawisła prawie dotykalna atmosfera agresji, jak gdyby duch utopionego zwierzęcia przyciągał wszystkie siły zemsty i zawiści nagromadzone w tym budynku.

W kilka dni po incydencie, w drodze do szkoły medycznej Laing zajrzał do pasażu na dziesiątym piętrze. Zarezerwowawszy kort na cotygodniową partię squasha z Anthonym Royalem, poszedł w stronę wejścia na basen. Przypomniał sobie panikę i zamieszanie, jakie zapanowały w ciemnościach. Teraz pasaż handlowy był prawie pusty, pojedynczy mężczyzna kupował wina w sklepie z alkoholem. Laing pchnął wahadłowe drzwi i obszedł basen. Kabiny do przebierania się były pozamykane, natryski zasłonięte kurtyną. Basenowego, emerytowanego instruktora sportowego, nie było w jego budce za trampolinami. Widocznie nie mógł znieść profanacji wody.

Laing przystanął na pokrytym kafelkami skraju basenu przy głębszym końcu, w martwym świetle lamp fluoroscencyjnych. Co jakiś czas lekkie drgnięcie budynku w otaczającym go strumieniu powietrza wywoływało ostrzegawczą zmarszczkę na gładkiej powierzchni wody, jakby w jej niezmierzonych głębinach poruszyło się we śnie jakieś olbrzymie stworzenie. Przypomniał sobie, jak pomagał księgowemu wyciągać z wody psa i jak go zdziwiło, że jest tak lekki. Ze swoją wspaniałą sierścią zmoczoną chlorowaną wodą, chart leżał na kolorowych kafelkach jak duży gronostaj. Czekając, aż właścicielka, aktorka telewizyjna z trzydziestego siódmego piętra, zjedzie i zabierze psa, Laing obejrzał go uważnie. Na ciele nie było ran ani innych śladów przemocy. Widocznie zabłąkał się, wszedł do pierwszej lepszej windy i znalazł się w pasażu, kiedy zgasło światło, a tam wpadł do basenu i zginął z wyczerpania. Tyle, że to wyjaśnienie słabo pasowało do faktów. Ciemności trwały niewiele ponad kwadrans, a tak duży pies mógł pływać godzinami. Poza tym mógł zwyczajnie stanąć na tylnych łapach w płytkim końcu. Gdyby jednak został wepchnięty do basenu i przytrzymany w ciemnościach pod wodą przez silnego pływaka...

Zaskoczony swoimi podejrzeniami, Laing obszedł basen po raz drugi. Coś mu mówiło, że utopienie psa było prowokacją, mającą wywołać dalsze akcje odwetowe. Obecność w wieżowcu około pięćdziesięciu psów od dawna stanowiła źródło zadrażnień. Prawie wszystkie były własnością lokatorów z górnych dziesięciu pięter, w przeciwieństwie do większości z pięćdziesięciorga dzieci, które mieszkały na dolnych piętrach. Psy tworzyły sforę rozpieszczonych przerasowanych pupilów, których właściciele nie troszczyli się przesadnie o wygodę i spokój innych współmieszkańców. Wyprowadzane wieczorem psy ujadały na parkingach i zanieczyszczały przejścia między samochodami. Zdarzało się, że sikały na drzwi windy. Laing słyszał od Helen Wilder, że zamiast korzystać ze swoich pięciu pospiesznych wind, które kursowały między osobnym wejściem na dole a górnymi piętrami, właściciele psów przesiadali się do wind dochodzących na niższe piętra, ucząc psy, żeby się w nich załatwiały.

Ta rywalizacja między właścicielami psów a rodzicami małych dzieci w pewnym sensie już podzieliła mieszkańców. Środkowa masa mieszkań – z grubsza między dziesiątym a trzydziestym piętrem – tworzyła rodzaj państwa buforowego między górnymi a dolnymi piętrami. Podczas krótkiego interregnum po utonięciu psa w środkowej części wieżowca zapanował czujny spokój, jakby do mieszkańców już dotarło, co się dzieje w budynku.

Laing przekonał się o tym, kiedy tego wieczoru wrócił ze szkoły medycznej. O godzinie szóstej część parkingu zarezerwowana dla pięter od dwudziestego do dwudziestego piątego była zazwyczaj pełna, co zmuszało go do korzystania z od-

ległego o trzysta jardów od budynku parkingu dla gości. Dość logicznie projektanci tak podzielili parkingi, że im wyżej ktoś mieszkał (a tym samym dłużej jechał windą), tym bliżej budynku miał miejsce parkingowe. Mieszkańcy dolnych pięter musieli codziennie pokonywać spore odległości od swoich samochodów i z powrotem – widok, który – jak zauważył Laing – innym sprawiał pewną przyjemność. Tak się jakoś działo, że wieżowiec rozbudzał w ludziach najniższe instynkty.

Tego wieczoru jednak, dojechawszy do już zatłoczonego parkingu, Laing był zaskoczony życzliwością współmieszkańców. Przyjechał jednocześnie ze swoim sąsiadem, doktorem Steele. Normalnie powinni stoczyć walkę o ostatnie wolne miejsce i pojechać na górę osobnymi windami, dziś jednak przepuszczali się w pokazie przesadnej uprzejmości i czekali, aż ten drugi zaparkuje. Nawet razem podeszli do głównego wejścia.

W hallu grupa mieszkańców stała przed biurem administratora, osaczając jego sekretarkę. Na dziewiątym piętrze nadal nie działała elektryczność i w nocy całe piętro było pogrążone w ciemnościach. Mimo że w te letnie wieczory mrok zapadał późno, pięćdziesięcioro mieszkańców piętra cierpiało poważne niewygody. Nie działały żadne urządzenia domowe, a gotowość sąsiadów z dołu i z góry do pomocy wkrótce się wyczerpała.

Steele przyglądał się protestującym bez sympatii. Chociaż nie miał jeszcze trzydziestki, zachowywał się jak ktoś w zaawansowanym wieku średnim. Lainga fascynował zwłaszcza jego nienaganny przedziałek na środku głowy, prawie pęknięcie.

– Zawsze się na coś skarżą – powiedział do Lainga już w windzie. – Jak nie jedno, to drugie. Nie chcą zrozumieć, że w nowym budynku trzeba czasu, żeby wszystko zaczęło działać.

– Mimo to brak prądu jest zapewne uciążliwy.

Steele potrząsnął głową.

– Stale przeciążają bezpieczniki wymyślną aparaturą stereo i niepotrzebnymi urządzeniami. Elektroniczne niańki, bo matkom nie chce się ruszyć z fotela, specjalne miksery do zupek dla dzieci...

Laing nie mógł doczekać końca tej jazdy, żałując już świeżo nawiązanej zażyłości z sąsiadem. Z jakiegoś powodu ten Steele działał mu na nerwy. Nie po raz pierwszy żałował, że nie kupił mieszkania powyżej trzydziestego piętra. Te ekspresowe windy miały swoje uroki.

– Dzieci tutaj wyglądają zdrowo – zauważył, kiedy wysiadali na dwudziestym piątym.

Steele przytrzymał go za łokieć zaskakująco mocnym uściskiem. Uśmiechnął się z wyższością, ukazując w ustach jakby miniaturową katedrę z polerowanej kości słoniowej.

– Niech pan mnie spyta, Laing. Ja oglądam ich zęby.

Pogardliwy ton w głosie Steele'a, jakby mówił o tradycyjnie niechlujnej bandzie robotników sezonowych a nie o swoich dobrze sytuowanych sąsiadach, zdziwił Lainga. Znał przelotnie paru lokatorów z dziewiątego – socjologa, zaprzyjaźnionego z Charlotte Melville i kontrolera lotów, grywającego w trio smyczkowym z przyjaciółmi z dwudziestego piątego piętra, dowcipnego i kulturalnego człowieka, z którym Laing często rozmawiał w windzie, kiedy ten jechał ze swoją wiolonczelą. Ale widocznie odległość rodziła niechęć.

Stopień tego podziału lojalności Laing odczuł na sobie, kiedy wybrał się na partię squasha z Anthonym Royalem. Pojechał windą na czterdzieste piętro jak zwykle z dziesięciominutowym wyprzedzeniem, żeby móc wyjść na dach. Imponujący widok stamtąd zawsze uświadamiał Laingowi jego mieszane uczucia wobec tego betonowego krajobrazu. Część jego uroku aż nadto dobitnie polegała na tym, że został stworzony nie dla człowieka, ale dla jego nieobecności.

Laing oparł się w swoim sportowym stroju o parapet, odczuwając przyjemny chłód. Osłonił oczy przed silnymi prądami powietrza, bijącymi w górę od fasady wieżowca. Kopuły audytoriów, łukowate nasypy dróg i prostolinijne ściany kurtynowe składały się na intrygującą plątaninę geometrii – nie tyle architekturę mieszkalną, pomyślał, co podświadomy diagram tajemniczego wydarzenia psychicznego.

Na lewo od Lainga, w odległości pięćdziesięciu stóp, odbywało się przyjęcie. Dwa stoły przykryte białymi obrusami zastawiano tacami z zakąskami i szkłem, a kelner serwował drinki za barem na kółkach. Około trzydziestu gości w strojach wieczorowych rozmawiało w małych grupkach. Przez jakiś czas Laing nie zwracał na nich uwagi, w zamyśleniu stukając rakietą o parapet, ale coś w dobiegającym, nazbyt ożywionym gwarze, skłoniło go do odwrócenia się. Wielu gości patrzyło w jego kierunku i Laing był pewien, że rozmawiali na jego temat. Przyjęcie rozprzestrzeniło się i najbliżsi goście stali teraz nie dalej niż o dziesięć stóp. Wszyscy byli mieszkańcami trzech górnych pięter. Jeszcze bardziej uderzająca była nadęta formalność ich strojów. Na żadnym z przyjęć w wieżowcu Laing nie widział nikogo ubranego inaczej niż swobodnie, tymczasem tutaj mężczyźni mieli smokingi i czarne muszki, a kobiety długie wieczorowe suknie. Wszyscy zachowywali się z powagą, jakby to nie było spotkanie towarzyskie a jakaś konferencja.

Prawie już na odległość wyciągniętej ręki zbliżał się do Lainga w wojowniczej postawie nienagannie ubrany bogaty handlarz dziełami sztuki – klapy jego smokingu napinały się niczym rozdęte miechy. Po jego bokach szły podstarzałe żony maklera giełdowego i fotografa wyższych sfer, patrząc ze zgorszeniem na biały strój sportowy i tenisówki Lainga.

Laing chwycił rakietę i torbę, ale drogę do schodów zagradzali mu gromadzący się ludzie. Całe przyjęcie przesunęło się w tę stronę, pozostawiając osamotnionego kelnera między barem a zastawionymi stołami.

Laing wyczuwał plecami parapet, po raz pierwszy uświadamiając sobie odległość od ziemi. Stał otoczony ciężko dyszącą grupą swoich współmieszkańców, tak blisko, że czuł od nich zapach drogich wód kolońskich i płynów po goleniu. Ciekawiło go, co mają zamiar zrobić, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może dojść do bezmyślnego aktu przemocy.

– Doktorze Laing... Panie, czy możecie przepuścić doktora? – W ostatniej, jak się wydawało, chwili odezwała się uspokajająco znajoma postać ze zręcznymi dłońmi i miękkim krokiem. Laing rozpoznał jubilera, którego rozhisteryzowanej żonie udzielił pierwszej pomocy podczas awarii światła. Gdy witał się z Laingiem, goście rozeszli się jakby nigdy nic, niczym grupa statystów odwołana do odegrania innej sceny. Nie zastanawiając się, wrócili do swoich drinków i kanapek.

– Czy zjawiłem się w odpowiednim momencie? – Jubiler przyglądał się Laingowi, jakby zdziwiony jego obecnością w tym prywatnym księstwie. – Przyszedł pan tu zagrać w squasha z Anthonym Royalem? Obawiam się, że on nie zagra. – I jakby bardziej do siebie niż do Lainga dodał: – Powinna tu być moja żona. Potraktowano ją odrażająco, wie pan, zachowali się jak zwierzęta...

Lekko wstrząśnięty Laing doszedł z nim do klatki schodowej. Obejrzał się na przyjęcie z dystyngowanymi gośćmi, zastanawiając się, czy nie wymyślił grożącego mu ataku. Ostatecznie, cóż mogli mu zrobić – przecież nie zrzuciliby go z dachu?

Zastanawiając się nad tym, zauważył znajomą jasnowłosą postać w białej kurtce safari, stojącą z ręką na maszynie do ćwiczeń w penthousie na północnej stronie dachu. U jej stóp leżał wilczur Royala w arktycznym futrze, niewątpliwie dominujący pies wieżowca. Nie próbując się ukryć, Anthony Royal przyglądał się Laingowi w zamyśleniu. Jak zwykle, jego twarz miała wyraz przepraszający i butny zarazem, jakby aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z wad konstrukcyjnych budynku, który współprojektował, ale był zdecydowany stawić czoło każdej krytyce, nawet za cenę teatralnych gestów, takich jak owczarek i biała myśliwska kurtka. Chociaż przekroczył pięćdziesiątkę, jego długie do ramion jasne włosy nadawały mu niesamowicie młodzieńczy wygląd, jakby chłodniejsze powietrze na tych wyższych piętrach powstrzymywało proces starzenia. Jego kościste czoło, wciąż noszące ślady blizn po wypadku, było przechylone na jedną stronę, i zdawało się, że architekt sprawdza, czy zaplanowany przez niego eksperyment dobiegł końca.

Laing uniósł powitalnym gestem rękę, podczas gdy jubiler energicznie prowadził go na dół, ale Royal nie odpowiedział. Dlaczego nie odwołał partii squasha telefonicznie? Przez chwilę Laing poczuł pewność, że Royal, wiedząc o odbywającym się przyjęciu, sprowokował jego przyjście na dach, żeby zbadać reakcje i zachowanie gości.

Następnego ranka Laing wstał wcześnie, pełen energii. Czuł się świeżo, głowę miał jasną, ale nie wiedząc dlaczego, postanowił wziąć wolny dzień. Przez dwie godziny chodził po mieszkaniu tam i z powrotem i punktualnie o dziewiątej zadzwonił do swojej sekretarki w szkole medycznej, odwołując popołudniowe zajęcia. Kiedy wyraziła mu współczucie z powodu choroby, wyprowadził ją z błędu. Nic się nie stało, nie jestem chory. Wypadło mi coś ważnego.

Tylko co? Zdziwiony własnym zachowaniem, Laing chodził po swoim małym mieszkaniu. Charlotte Melville też była w domu. Ubrała się jak do biura, w obowiązkową garsonkę, ale nie wyszła z domu. Zaprosiła Lainga na kawę, a kiedy przyszedł w godzinę później, podała mu w roztargnieniu szklaneczkę sherry. Jego wizyta, jak się wkrótce przekonał, miała być pretekstem do zbadania jej syna. Chłopiec bawił się w swoim pokoju, ale Charlotte twierdziła, że nie czuje się dobrze i nie może iść do szkoły na dziesiątym piętrze. Na domiar złego młodsza siostra żony pilota z pierwszego piętra odmówiła zaopiekowania się chłopcem.

– To prawdziwy kłopot, zawsze była taka chętna. Polegałam na niej od miesięcy. – Tłumaczyła się przez telefon jakoś niewyraźnie, jakby coś ukrywała.

Laing słuchał ze zrozumieniem, zastanawiając się, czy powinien się zgłosić do opieki nad dzieckiem, ale w głosie Charlotte nie usłyszał żadnej do tego zachęty. Bawiąc się z chłopcem, Laing doszedł do wniosku, że nic mu nie jest. Ożywiony jak zawsze, dopytywał się, czy będzie mógł pójść po południu do domowego przedszkola na trzecim piętrze. Charlotte odmówiła mu bez zastanowienia. Laing obserwował ją z rosnącym zainteresowaniem. Podobnie jak on, Charlotte wyraźnie na coś czekała.

Nie musieli czekać długo. Wczesnym rankiem miała miejsce pierwsza seria nowych prowokacji między rywalizującymi piętrami, uruchamiając uśpione mechanizmy rozkładu i wrogości. Incydenty były same w sobie dość błahe, ale Laing wiedział już, że są one wyrazem głęboko zakorzenionych antagonizmów, przebijających się coraz częściej na powierzchnię życia w wieżowcu. – Wiele wchodzących w grę czynników ujawniło się od początku – skargi na hałasy i niszczenie urządzeń, rywalizacja o lepiej usytuowane mieszkanie (dalej od wind i szybów technicznych z ich ciągłym szumem). Zazdroszczono sobie nawet piękniejszych kobiet, które rzekomo mieszkały na górnych piętrach – Laing lubił sprawdzać to rozpowszechnione przekonanie. Podczas awarii elektryczności nieznana kobieta napadła w salonie fryzjerskim osiemnastoletnią żonę fotografa mody z trzydziestego ósmego piętra. Prawdopodobnie w akcie odwetu zostały poturbowane trzy stewardesy z drugiego piętra przez oddział wypadowy matron z górnego piętra pod przewodem barczystej żony jubilera.

Stojąc na balkonie Charlotte, Laing był świadkiem pierwszego z serii incydentów. W towarzystwie pięknej kobiety, z drinkiem w dłoni, czuł się przyjemnie podniecony. Piętro niżej, na dziewiątym, odbywał się głośny kinderbal. Rodzice nie próbowali hamować swoich pociech, wręcz zachęcając je, żeby hałasowały, ile wlezie. Po jakiejś pół godzinie, rozgr-

zani niesłabnącym strumieniem alkoholu, rodzice przejęli inicjatywę. Charlotte śmiała się w głos, kiedy polewano lemoniadą zaparkowane samochody, spryskując przednie szyby i dachy drogich limuzyn i sportowych cacek w pierwszym rzędzie. Zabawom tym przyglądały się setki lokatorów, którzy wyszli na swoje balkony. Popisując się przed tą widownią, rodzice coraz bardziej ośmielali dzieci i wkrótce zabawa wymknęła się spod kontroli. Pod nogami dorosłych plątały się pijane dzieci. Wysoko w górze, na trzydziestym siódmym piętrze, rozkrzyczała się pani adwokat, rozwścieczona widokiem swego otwartego sportowego wozu, z czarnymi skórzanymi fotelami zachlapanymi rozpływającymi się lodami.

Panowała atmosfera wesołej zabawy. Przynajmniej jakaś odmiana, uważał Laing, w stosunku do sztywnej normalnie atmosfery wieżowca. Wbrew sobie on i Charlotte włączyli się w śmiechy i brawa, niczym widzowie jakiegoś zaimprowizowanego amatorskiego cyrku.

Tego wieczoru odbywały się zadziwiająco liczne przyjęcia. Zazwyczaj nikt nie organizował spotkań towarzyskich poza weekendami, ale tej środy bawili się niemal wszyscy. Bez przerwy dzwoniły telefony, a Charlotte z Laingiem otrzymali zaproszenia na co najmniej sześć różnych przyjęć.

– Powinnam się uczesać. – Charlotte uradowana wzięła Lainga za ramię, prawie go obejmując. – Co my właściwie świętujemy?

Pytanie zaskoczyło Lainga. Położył dłoń na ramieniu Charlotte, jakby ją osłaniał. – Bóg jedyny wie... nie ma to nic wspólnego z zabawą i rozrywką.

Jedno z zaproszeń pochodziło od Richarda Wildera. Oboje odmówili mu bez namysłu.

– Dlaczego właściwie odmówiliśmy? – spytała Charlotte jeszcze z ręką na słuchawce. – On był pewien, że odmówimy.

– Wilderowie mieszkają na drugim piętrze – wyjaśnił Laing. – Tam jest dość niespokojnie...

– Szukasz na siłę uzasadnienia.

Za plecami Charlotte jej telewizor pokazywał zdjęcia z buntu w więzieniu. Dźwięk był wyłączony, i ciche obrazy policjantów i strażników w pozycji strzeleckiej oraz szeregi zabarykadowanych cel błyskały między jej nogami. W wieżowcu wszyscy oglądali telewizję bez głosu, uświadomił sobie Laing. Te same sceny migały za drzwiami sąsiadów, kiedy wracał do siebie. Po raz pierwszy ludzie zostawiali drzwi frontowe szeroko otwarte i swobodnie wędrowali z mieszkania do mieszkania.

Te poufałości nie wykraczały jednak poza własne piętro. Poza tym polaryzacja lokatorów ulegała pogłębieniu. Stwierdziwszy, że skończył mu się alkohol, Laing zjechał do sklepu na dziesiąte piętro. Zgodnie z przewidywaniem alkohol cieszył się dużym powodzeniem i przed sklepem stała długa kolejka. Laing dostrzegł swoją siostrę blisko lady i chciał skorzystać z jej pomocy, ona jednak odmówiła mu bez namysłu i od razu przypuściła energiczny atak na chuligańskie wybryki mające miejsce tego popołudnia. Wyraźnie kojarzyła w jakiś sposób Lainga z odpowiedzialnymi za nie lokatorami z niższych pięter, utożsamiając go z Richardem Wilderem i jego rozrabiaczami.

Podczas gdy Laing czekał na swoją kolej, coś na kształt ekspedycji karnej z górnych, pięter wywołało awanturę na basenie. Grupa lokatorów z trzech górnych pięter przybyła w bojowym nastroju. Była wśród nich aktorka, której chart utonął w basenie. Ona i jej towarzysze zaczęli wygłupiać się w wodzie, pijąc wbrew przepisom szampana na gumowej tratwie i ochlapując wodą ludzi wychodzących z przebieralni. Po próbie interwencji starszawy basenowy poddał się i wrócił do swojej budki za trampolinami.

W windach dochodziło do agresywnych przepychanek. Guziki, odpowiadające piętrom, reagowały w sposób nieprzewidziany i z pionów rozlegało się głuche dudnienie pięści niecierpliwie bębniących w drzwi. W drodze na przyjęcie na dwudziestym siódmym piętrze Laing i Charlotte przeżyli gorące chwile, kiedy ich winda została ściągnięta na trzecie piętro przez trójkę pijanych pilotów, którzy z butelkami w dłoni od pół godziny usiłowali dostać się na dziesiąte piętro. Jeden z podochoconych pilotów objął Charlotte w pasie i omal nie zaciągnął jej do małego kina przy szkole, wyświetlającego kiedyś filmy dla dzieci. Teraz organizowano tam prywatne pokazy filmów erotycznych, nakręconych podobno w wieżowcu z udziałem miejscowych ochotników.

Już na dwudziestym siódmym piętrze, na przyjęciu wydanym przez Adriana Talbota, nieco zniewieściałego, ale sympatycznego psychiatrę ze szkoły medycznej, Laing po raz pierwszy tego dnia zaczął się odprężać. Zauważył, że wszyscy goście są mieszkańcami tego samego piętra. Ich twarze i głosy były uspokajająco znajome. Laing powiedział do Talbota, że w pewnym sensie stanowią jedną wioskę.

– Może słowo „klan" byłoby odpowiedniejsze – skomentował Talbot. – Populacja tego bloku mieszkalnego wcale nie jest taka jednolita, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Wkrótce przestaniemy się odzywać do osób spoza naszej enklawy... Dziś po południu wybito mi butelką szybę w samochodzie. Czy mógłbym go przesunąć dalej, na wasz parking? – Jako lekarz Talbot miał prawo do miejsca w pierwszych rzędach, tuż przy budynku. Laing, jakby w przewidywaniu związanych z tym niebezpieczeństw, nie skorzystał z tego przywileju. Sąsiedzi natychmiast zgodzili się na prośbę psychiatry, odpowiadając na wezwanie do solidarności, którego żaden członek klanu nie mógł odrzucić.

Przyjęcie należało do najbardziej udanych spośród tych, w których Laing uczestniczył. W odróżnieniu od większości spotkań towarzyskich w wieżowcu, na których dobrze ułożeni goście wymieniali zawodowe ploteczki i zbierali się do wyjścia, to miało swój nastrój, atmosferę szczerej zabawy. Po pół godzinie prawie wszystkie kobiety były wstawione, co było dla Lainga sprawdzianem udanego przyjęcia.

Kiedy pogratulował Talbotowi, psychiatra odpowiedział z rezerwą.

– Jest w powietrzu jakieś przyspieszenie pulsu, to prawda, ale czy ma to coś wspólnego z dobrym nastrojem albo uczuciem przyjaźni? Powiedziałbym raczej, że wprost przeciwnie.

– Nie martwi to pana?

– Z jakiegoś powodu mniej niż powinno, ale to można powiedzieć o nas wszystkich.

Te spokojnie wypowiedziane uwagi obudziły w Laingu czujność. Słuchając ożywionych rozmów wokół siebie, zaczął dostrzegać całą głębię wyrażanych antagonizmów, całą wrogość skierowaną na ludzi mieszkających w innych częściach wieżowca. Złośliwy humor, gotowość uwierzenia w każdą plotkę, w każdą przesadną opowieść o przewrotności mieszkańców niższych pięter albo o arogancji tych z góry, wszystko to miało intensywność przesądów rasowych.

Jednak, jak wskazał Talbot, Laing nie czuł się tym zaniepokojony. Znajdował nawet pewną prymitywną przyjemność w słuchaniu tych plotek i obserwowaniu wstrzemięźliwej zazwyczaj Charlotte, która tym razem wypiła o kilka drinków za dużo. W każdym razie był to sposób na zmniejszenie między nimi dystansu.

Jednak kiedy przyjęcie dobiegało końca, przy drzwiach do windy na dwudziestym siódmym piętrze zdarzył się drobny, ale nieprzyjemny incydent. Chociaż było już po dziesiątej, cały budynek rozbrzmiewał hałasem. Mieszkańcy tłumnie odwiedzali się w swoich mieszkaniach i przekrzykiwali się na klatkach schodowych jak dzieci, które nie chcą iść do łóżek. Windy, ogłupione nieustannym wciskaniem guzików, odmówiły posłuszeństwa i gromady zniecierpliwionych lokatorów wypełniały halle. Chociaż od następnego miejsca przeznaczenia, przyjęcia u leksykografa z dwudziestego szóstego piętra, dzieliło ich tylko jedno piętro, nikt z opuszczających mieszkanie Talbotów nie kwapił się do skorzystania ze schodów. Nawet Charlotte, zataczająca się radośnie u boku Lainga, z wypiekami na twarzy, dołączyła do szarży na windę i teraz tłukła silnymi pięściami w zamknięte drzwi.

Kiedy wreszcie winda przyjechała, drzwi otworzyły się ukazując samotną pasażerkę, chudą i neurasteniczną masażystkę, mieszkającą z matką na piątym piętrze. Laing natychmiast rozpoznał jedną z wielu „windziarek", znudzonych siedzeniem w domu gospodyń domowych i niepracujących dorosłych córek, które większość czasu spędzały jeżdżąc windami i snując się po długich korytarzach budynku, wędrując bez końca w poszukiwaniu odmiany lub przygody.

Przestraszona widokiem nacierającej podpitej gromady, młoda kobieta ocknęła się ze swoich marzeń i wcisnęła pierwszy lepszy guzik. Zataczający się goście odpowiedzieli szyderczym pomrukiem. Błyskawicznie wyciągnięto ją z kabiny i poddano żartobliwemu przesłuchaniu. Nadpobudliwa żona statystyka rozkrzyczała się na nieszczęsną dziewczynę przenikliwym głosem, po czym przepchnęła się przez krąg przesłuchujących i uderzyła ją w twarz.

Uwolniwszy się od Charlotte, Laing zrobił krok do przodu. Nastrój tłumu był agresywny, ale trudno go było brać na serio. Jego sąsiedzi byli jak grupa nie wyćwiczonych statystów odgrywająca scenę linczu.

– Pani pozwoli, odprowadzę panią do schodów. – Objąwszy młodą kobietę za kościste ramiona, Laing spróbował skierować ją do wyjścia, ale przeszkodził mu chór głosów protestu. Kobiety odepchnęły swoich mężów i rzuciły się na dziewczynę z pięściami.

Laing odsunął się na bok i patrzył, jak przerażona młoda kobieta wpada w wir niecierpliwych pięści, których ciosy towarzyszyły jej do wyjścia na schody. Jego rycerski odruch i zdrowy rozsądek musiały ustąpić przed tą gromadą podstarzałych aniołów zemsty. Z niepokojem pomyślał: ostrożnie, Laing, bo jeszcze jakaś żona maklera pozbawi cię męskości z wprawą, z jaką wyłuskuje pestki z awokado.

Noc minęła wśród hałasów, ciągłego ruchu na korytarzach, krzyków, odgłosu tłuczonego szkła i ryku muzyki lejącej się z czarnego nieba.

3 Śmierć lokatora

Bezchmurne niebo, nieruchome niczym powietrze nad kadzią chłodnej wody, zawisło nad betonowymi ścianami i nasypami dróg osiedla. O świcie, po niespokojnej nocy, Laing wyszedł na balkon i spojrzał w dół na bezludne parkingi. O pół mili na południe rzeka kontynuowała swój bieg od miasta, ale Laing przeszukiwał wzrokiem krajobraz, spodziewając się znaleźć w nim jakieś radykalne zmiany. Otulony w płaszcz kąpielowy, rozcierał posiniaczone ramiona. Chociaż wczoraj nie zwrócił na to uwagi, na przyjęciach dochodziło do zadziwiająco wielu aktów fizycznej przemocy. Dotknął obolałego miejsca, sprawdzając muskulaturę, jakby szukał drugiego ja, tego fizjologa, który przed pół rokiem wynajął ciche mieszkanko w tym drogim wieżowcu. Wszystko zaczęło wymykać się z rąk. Niepokojony ciągłymi hałasami, spał niewiele ponad godzinę. Chociaż teraz w budynku panowała cisza, ostatnie z około setki przyjęć skończyło się przed pięcioma minutami.

Daleko w dole samochody zaparkowane w pierwszych rzędach były zachlapane rozbitymi jajkami, winem i lodami. Z tuzin szyb przednich wybito butelkami. Nawet o tak wczesnej porze przynajmniej dwadzieścioro sąsiadów Lainga stało na balkonach, patrząc na śmieci gromadzące się u stóp urwiska.

Rozstrojony tym wszystkim Laing zabrał się do śniadania i w roztargnieniu wylał większość świeżo zaparzonej kawy, zanim zdążył jej spróbować. Z trudem przypomniał sobie, że ma tego ranka zajęcia z fizjologii. Całą jego uwagę pochłaniały już wydarzenia z wnętrza wieżowca, jakby ten ogromny budynek istniał wyłącznie w jego umyśle i znikłby,

gdyby on przestał o nim myśleć. Patrząc na siebie w kuchennym lusterku, na swoje poplamione winem dłonie i nieogoloną twarz z zaskakującym rumieńcem, postanowił się przestawić. Laing, powiedział sobie, wyrwij się wreszcie ze swojej własnej głowy. Niepokojące wspomnienie watahy podstarzałych kobiet, bijących młodą masażystkę, przenosiło wszystko wokół niego na inną płaszczyznę rzeczywistości. Jego własna reakcja, to natychmiastowe usunięcie się im z drogi, mówiła więcej o kierunku, w którym zmierzały sprawy, niż sam to sobie uświadamiał.

O ósmej Laing wyruszył do szkoły medycznej. Winda była pełna tłuczonego szkła i puszek po piwie. Część tablicy kontrolnej została rozbita, wyraźnie, żeby uniemożliwić ściągnięcie windy mieszkańcom dolnych pięter. Idąc przez parking, Laing obejrzał się na wieżowiec ze świadomością, że zostawia za sobą część swojego umysłu. Kiedy dotarł do szkoły, kroczył pustymi korytarzami budynku, starając się odtworzyć w myśli przeznaczenie poszczególnych gabinetów i audytoriów. Przeszedł też przez sale wydziału anatomii, gdzie na rzędach szklanych stołów spoczywały częściowo pocięte zwłoki. Stopniowa amputacja przez zespoły studentów członków, klatek piersiowych, głów i jamy brzusznej, zmieniająca pod koniec semestru każdego trupa w kupkę kości ze znakiem identyfikacyjnym, odpowiadała erozji świata wokół wieżowca.

W ciągu tego dnia, zebrawszy prace pisemne i jedząc lunch z kolegami, Laing nie mógł przestać myśleć o swoim bloku mieszkalnym, tej puszce Pandory, której tysięczne wieka otwierały się jedno za drugim. Dominującymi mieszkańcami wieżowca, rozmyślał Laing, tymi, którzy najlepiej przystosowali się do życia w nim, nie byli wcale hałaśliwi piloci i technicy filmowi z niższych pięter ani złośliwe i agresywne żony zamożnych doradców podatkowych z górnych kondygnacji. Chociaż na pierwszy rzut oka to ci ludzie prowokowali całe napięcie i wrogość, faktyczna odpowiedzialność spadła jednak na spokojnych, zamkniętych w sobie mieszkańców w typie dentysty Steele'a i jego żony. Ten budynek mieszkalny produkował nowy typ społeczny – zimną, pozbawioną uczuć osobowość odporną na psychiczne stresy życia w wysokościowcu, z minimalną potrzebą prywatności, która rozkwitała w tej neutralnej atmosferze niczym jakiś gatunek zaawansowanej maszyny. Był to rodzaj mieszkańca, którego całkowicie satysfakcjonowało siedzenie w drogim mieszkaniu, oglądanie telewizji z wyłączonym dźwiękiem i czekanie na błąd kogoś z sąsiadów.

Może niedawne incydenty były ostatnią próbą buntu Wildera i pilotów przeciwko tej narastającej logice? Niestety, nie mieli wielkiej szansy powodzenia, właśnie dlatego, że ich przeciwnicy byli ludźmi zadowolonymi z życia w wieżowcu, którzy nie mieli nic przeciwko bezosobowemu stalowobetonowemu krajobrazowi, nie przeszkadzało im naruszanie ich prywatności przez różne agencje rządowe i organizacje przeprowadzające ankiety, a nawet byli zadowoleni z tych interwencji w ich życic, wykorzystując je do własnych celów. Ci ludzie pierwsi przystosowali się do nowego stylu życia z końca dwudziestego wieku. Odpowiadała im częsta zmiana znajomych, brak zaangażowania w sprawy innych i całkowita samowystarczalność życia, w którym niczego nie wymagali i nigdy nie doznawali rozczarowań.

Ich prawdziwe potrzeby mogły się jednak ujawnić później. Im bardziej suche i pozbawione uczuć stawało się życie w wieżowcu, tym większe stwarzało możliwości w tym kierunku. Dzięki swojej technicznej sprawności wieżowiec przejął funkcje podtrzymywania struktury społecznej jego mieszkańców. Po raz pierwszy została usunięta potrzeba tłumienia jakichkolwiek antyspołecznych zachowań, pozostawiając pole do eksperymentów ze zboczonymi czy nieobliczalnymi impulsami. To właśnie w tych strefach miały dojść do głosu najważniejsze i najciekawsze aspekty ich życia. Bezpieczni w skorupie wieżowca, niczym pasażerowie automatycznie pilotowanego samolotu, mogli robić wszystko, co chcieli, zaglądać w najciemniejsze zakamarki. Pod wieloma względami ten wieżowiec był modelem wszystkiego, co technologia zrobiła, żeby umożliwić pełny wyraz nieskrępowanej psychopatologii.

Podczas tego długiego popołudnia Laing zdrzemnął się w swoim gabinecie, czekając aż będzie mógł wyjść ze szkoły i wrócić do domu. Kiedy wreszcie wyszedł, szybko przejechał obok nieukończonych studiów telewizyjnych, ale potem stał przez pięć minut, przepuszczając jadące na budowę betoniarki. To tutaj został poszkodowany Anthony Royal, kiedy na jego samochód wjechał cofający się spychacz. Laing często myślał o tym jako o ironii losu. W pewien sposób typowej dla niejednoznacznej osobowości Royala, że nie tylko stał się pierwszą ofiarą wypadku drogowego na osiedlu, ale że pomagał zaprojektować miejsce wypadku.

Poirytowany zwłoką, Laing wiercił się za kierownicą. Z jakiegoś powodu był przekonany, że podczas jego nieobecności dzieje się coś ważnego. I rzeczywiście, kiedy o szóstej dotarł wreszcie do domu, dowiedział się, że doszło do nowych incydentów. Przebrawszy się, poszedł na drinka do Charlotte Melville, która, niepokojąc się o syna, wyszła ze swojej agencji reklamowej przed lunchem.

– Nie chciałam, żeby został tu sam, a nie mam zaufania do opiekunek. – Nalała whisky do szklanek, gestykulując karafką, jakby ją miała wyrzucić z balkonu. – Robercie, co tu się dzieje? Wszędzie panuje jakieś napięcie, boję się wsiąść sama do windy.

– Nie jest tak źle, Charlotte – powiedział, ku swojemu zdziwieniu, Laing. – Nie ma się czym przejmować.

Czy naprawdę uważał, że życie tutaj toczy się normalnie? Laing przysłuchiwał się temu, co mówi, i odnotował, że brzmi to wielce przekonywująco. Tymczasem katalog nieporządków i prowokacji był jak na jedno popołudnie dość długi. Dwie kolejne grupki dzieci z niższych pięter zostały wypędzone z ogródka na dachu. Ten otoczony ścianami zakątek, wyposażony w huśtawki, karuzele i rzeźby-zabawki, został specjalnie zaprojektowany przez Royala na użytek dzieci mieszkańców. Teraz wejście do ogródka zamknięto na kłódkę, a dzieci pojawiające się na dachu wyganiano. Natomiast żony kilku lokatorów z górnych pięter twierdziły, że napastowano je w windach. Inni mieszkańcy, wyruszając rano do pracy,

stwierdzili, że mają pocięte opony. Jacyś wandale włamali się do szkoły podstawowej na dziesiątym piętrze i pozrywali rysunki dzieci. Halle pięciu dolnych pięter zostały w tajemniczy sposób zanieczyszczone psimi odchodami. Mieszkańcy szybko zgarnęli je do windy ekspresowej i odesłali z powrotem na górę.

Kiedy Laing zaśmiewał się z tej historii, Charlotte bębniła palcami po jego ramieniu, jakby próbowała go obudzić.

– Robercie! Powinieneś traktować to poważniej!

– Traktuje to jak najbardziej poważnie.

– Jesteś jak w transie!

Laing spojrzał na nią, nagle zdając sobie sprawę, że ta inteligentna i sympatyczna kobieta nic nie rozumie. Otoczył ją ramieniem, nie zdziwiony gwałtownością jej uścisku. Nie zwracając uwagi na swojego małego synka, usiłującego otworzyć drzwi do kuchni, przywarła do Lainga, ugniatając jego ramiona, jakby wreszcie znalazła coś, na kształt czego może mieć wpływ.

Przez tę godzinę, kiedy czekali, aż dziecko zaśnie, jej ręce ani na chwilę nie oddalały się od Lainga. Ale zanim jeszcze usiedli razem na łóżku, Laing wiedział, że zgodnie z paradoksalną logiką wieżowca pierwszy stosunek seksualny będzie oznaczał raczej koniec niż początek ich związku. W rzeczywistym sensie raczej ich od siebie oddali niż zbliży. Na podstawie tego samego paradoksu, uczucia, jakie do niej żywił, kiedy tak leżeli na jej małym łóżku, wydały mu się raczej gruboskórne niż czułe, właśnie dlatego, że nie wiązały się w żaden sposób z otaczającą ich rzeczywistością. To, co mieli sobie do zaofiarowania, co miało być miarą ich rzeczywistych uczuć do siebie, było zbudowane ze znacznie bardziej niepewnych materiałów, erotyki i perwersji.

Kiedy Charlotte zasnęła w świetle zmierzchu, Laing wymknął się z mieszkania i ruszył na poszukiwanie swoich nowych przyjaciół.

Na korytarzach i przed windami stały dziesiątki ludzi. Nie spiesząc się do domu, Laing przechodził od jednej grupy do drugiej, przysłuchując się rozmowom. Te nieformalne spotkania wkrótce miały nabrać statusu prawie oficjalnego, stając się forum, na którym lokatorzy mogli dać wyraz swoim pretensjom i przesądom. Większość żalów, jak zauważył Laing, dotyczyła teraz nie budynku, ale innych mieszkańców. Niesprawność windy przypisywano nie budowniczym albo konserwatorom, ale mieszkańcom wyższych lub niższych pięter.

Zsyp do śmieci, który Laing dzielił ze Steelami, znów był zapchany. Próba telefonowania do administratora nic nie dała, bo ledwie żywy człowiek był zasypany lawiną wszelkiego rodzaju skarg i żądań. Wielu jego pracowników złożyło wymówienia, a ci, którzy pozostali, całą energię poświęcali na utrzymanie w ruchu wind i usunięcie awarii elektryczności na dziewiątym piętrze.

Laing uzbroił się w narzędzia, jakie udało mu się znaleźć, i poszedł na korytarz, żeby spróbować przepchnąć zsyp samemu. Steele natychmiast pospieszył mu z pomocą, przynosząc skomplikowane urządzenie o wielu ostrzach. Podczas gdy we dwójkę usiłowali obluzować brokatową zasłonę, zatrzymująca górę kuchennych odpadków, Steele raczył Lainga opowieściami o lokatorach z góry i z dołu, odpowiedzialnych za zatkanie zsypu.

– Niektóre z tych osób pozbywają się zadziwiających odpadków, w każdym razie nie takich, jakich można by się spodziewać tutaj – poinformował Lainga. – Są tu rzeczy, które mogłyby zainteresować policję obyczajową. Ta kosmetyczka z trzydziestego trzeciego i te dwie tak zwane radiografki, które mieszkają razem na dwudziestym drugim. Dziwne młode kobiety, nawet jak na te czasy...

Laing stwierdził, że do pewnego stopnia się z tym zgadza. Choć takie zarzuty mogły wyglądać niepoważnie, to jednak pięćdziesięcioletnia właścicielka salonu fryzjerskiego rzeczywiście bez końca zmieniała urządzanie mieszkania na trzydziestym trzecim piętrze, wyrzucając do zsypu dywany, a nawet co mniejsze meble.

Steele odsunął się, kiedy góra śmieci posypała się tłustą lawiną. Wziął Lainga za łokieć, żeby nie wszedł na puszkę od piwa leżącą na korytarzu. – Mimo to niewątpliwie wszyscy jesteśmy jakoś winni. Słyszę, że na dolnych piętrach ludzie wystawiają torby ze śmieciami przed drzwi. Czy nie wpadłby pan na drinka? Żona bardzo się ucieszy.

Pamiętając niedawną kłótnię, Laing mimo to przyjął zaproszenie bez oporów. Zgodnie z jego oczekiwaniami, wobec znacznie poważniejszej konfrontacji wszelkie napięcia między nimi wkrótce poszły w niepamięć. Pani Steele z nienaganną fryzurą krążyła wokół niego z radosnym uśmiechem początkującej burdelmamy, podejmując swojego pierwszego klienta. Skomplementowała nawet Lainga za gust muzyczny, który miała okazję poznać przez słabo izolowane ściany. Laing słuchał jej ożywionego opisu ciągłych awarii urządzeń w budynku oraz aktów wandalizmu w windzie i w przebieralniach na basenie. Mówiła o wieżowcu, jakby to była jakaś olbrzymia żywa istota wisząca nad nimi i pańskim okiem śledząca wszystko, co się dzieje. Było coś w tym obrazie: windy kursujące tam i z powrotem w długich szybach przypominały zastawki w komorze serca, mieszkańcy wędrujący korytarzami byli krwinkami w sieci arterii, a światła w ich mieszkaniach neuronami mózgu.

Laing zapatrzył się w morze ciemności, na jasno oświetlone pokłady sąsiedniego wieżowca, zapominając o pozostałych gościach, którzy siedzieli wokół niego. Byli wśród nich prezenter telewizyjny Paul Crosland i lubiąca wypić rudowłosa recenzentka filmowa Eleanor Powell, którą Laing widywał, jak błądzi po budynku, bezskutecznie usiłując trafić do wyjścia.

Crossland stał się nieformalnym przywódcą miejscowego klanu, mieszkańców około trzydziestu sąsiadujących lokali na dwudziestym piątym, dwudziestym szóstym i dwudziestym siódmym piętrze. Wspólnie planowali na następny dzień wyprawę do supermarketu na dziesiątym piętrze, niczym grupa wieśniaków wybierających się do niespokojnego miasta.

Siedząc na sofie, Eleanor Powell patrzyła na Crosslanda zaszklonym okiem, podczas gdy on profesjonalnie kwiecistym stylem przestawiał propozycje zabezpieczenia ich mieszkań. Recenzentka co jakiś czas wyciągała rękę, jakby próbowała poprawić obraz Crosslanda, może zmienić kolor jego mięsistych policzków, a może ściszyć głos.

– Czy to nie pani mieszka zaraz przy windach? – spytał ją Laing. – Będzie się pani musiała zabarykadować.

– A niby dlaczego? Ja zostawiam drzwi szeroko otwarte. – Kiedy Laing zrobił zdziwioną minę, dodała: – Czy to nie jest częścią gry?

– Uważa więc pani, że wszystko to nas w gruncie rzeczy bawi?

– A nie jest tak? Myślę, że jest, doktorze. Bycie razem jest lepsze niż pusta winda. Po raz pierwszy, odkąd skończyliśmy trzy lata, to, co robimy, nie ma absolutnie żadnego znaczenia. To dość ciekawe, jak się nad tym zastanowić...

Kiedy się o niego oparła, kładąc mu głowę na ramieniu, Laing powiedział: – Chyba coś jest nie tak z klimatyzacją... trzeba wyjść na balkon i złapać trochę powietrza.

Biorąc go pod rękę, zgarnęła swoją torebkę. – Dobrze. Niech mnie pan podniesie. Jest pan nieśmiałym lubieżnikiem, doktorze...

Właśnie doszli do drzwi balkonowych, kiedy gdzieś wysoko rozległa się eksplozja tłuczonej szyby. Kawałki szkła błysnęły jak noże w czerni nocy. Nie dalej niż dwadzieścia stóp od balkonu przeleciał wirując duży niezgrabny kształt. Wystraszona Eleanor zatoczyła się na Lainga. Ledwo odzyskali równowagę, z dołu dobiegł ich zgrzytliwy, metaliczny huk, prawie jak przy zderzeniu samochodów. Nastąpiła krótka, niczym nie zmącona cisza, pierwsza prawdziwa chwila ciszy, uświadomił sobie Laing, jakiej wieżowiec zaznał od dłuższego czasu.

Wszyscy stłoczyli się na balkonie. Crossland i Steele stali objęci, jakby chcieli powstrzymać pozostałych od rzucenia się w przepaść. Przyciśnięty do poręczy Laing zobaczył w niewielkiej odległości swój pusty balkon. W chwili absurdalnej paniki pomyślał, czy to nie on jest ofiarą. Wszędzie wokół ludzie ze szklankami w dłoniach wychylali się z balkonów, wpatrując się w mrok.

Daleko w dole leżało wbite w dach samochodu z pierwszego rzędu ciało mężczyzny w stroju wieczorowym. Eleanor Powell, z twarzą ściągniętą bólem, chwiejnym krokiem odeszła od poręczy i przecisnęła się obok Crosslanda. Laing ściskał metalową poręcz wstrząśnięty i podniecony zarazem. Prawie wszystkie balkony na ogromnej fasadzie wieżowca były teraz zajęte i mieszkańcy spoglądali z nich w dół, jak widzowie z lóż wielkiej opery na świeżym powietrzu.

Nikt nie podchodził do zgniecionego samochodu ani do ciała wbitego w jego dach. Widząc pęknięty smoking i małe lakierki, Laing podejrzewał, że rozpoznaje jubilera z czterdziestego piętra. Jego drogie okulary leżały na ziemi przy przednim kole samochodu, w ich nietkniętych soczewkach odbijały się jaskrawe światła wieżowca.

4 W górę!

W tygodniu po śmierci jubilera wydarzenia gwałtownie potoczyły się w niepokojącym kierunku. Richard Wilder, mieszkający dwadzieścia cztery piętra poniżej Lainga i z tego względu znacznie bardziej narażony na presje narastające w budynku, jako jeden z pierwszych zdał sobie sprawę z rozmaitych zachodzących zmian.

Wilder był przez trzy dni na zdjęciach do filmu dokumentalnego o zamieszkach w więzieniu. Szeroko omawiany w prasie i telewizji strajk w dużym prowincjonalnym więzieniu dał mu okazję do zrobienia na gorąco zdjęć bezpośrednio związanych z tematem. Wrócił do domu wczesnym popołudniem. Co wieczór dzwonił z hotelu do Helen, wypytując ją o sytuację w wieżowcu, ale ona na nic szczególnego się nie skarżyła. Mimo to był zaniepokojony jej wymijającym tonem.

Zaparkowawszy, Wilder kopnięciem otworzył drzwiczki i wydobył swoje ciężkie ciało zza kierownicy. Z miejsca na obrzeżu parkingu uważnie przyjrzał się fasadzie ogromnego budynku. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Setki samochodów stały na parkingu w równych rzędach. W blasku słońca wznosiły się szeregi ukwieconych balkonów. Przez chwilę Wilder odczuł jakby żal, jako zwolennik działań bezpośrednich, znajdował satysfakcję w ubiegłotygodniowych potyczkach, w szarpaninie z agresywnymi sąsiadami, zwłaszcza z tymi lokatorami z górnych pięter, którzy dokuczali Helenie i jego dwóm synom.

Jedynym dysonansem było roztrzaskane wielkie okno na czterdziestym piętrze, okno, przez które odszedł nieszczęsny jubiler. Na obu końcach dachu znajdowały się dwa penthousy: ten na północnym rogu zajmował Anthony Royal, w drugim mieszkał jubiler z żoną. Rozbita szyba nie została jeszcze wprawiona i gwiazdka z potrzaskanego szkła przypominała Wilderowi jakiś zaszyfrowany zapis, jak znak na kadłubie samolotu z czasów wojny, oznaczający strącenie.

Wilder wyciągnął z samochodu walizkę i torbę z prezentami dla Helen i synów. Na tylnym siedzeniu leżała lekka kamera, za pomocą której miał zamiar nakręcić pilotażowy odcinek swojego filmu o wieżowcu. Niewyjaśniona śmierć jubilera potwierdziła jego przekonanie, że życie wieżowca czeka na filmowe odkrycie – może punktem wyjścia stanie się śmierć jubilera. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieszkał w tym samym bloku co nieboszczyk, a to nada filmowi walor osobistej biografii. Kiedy policja zakończy śledztwo, sprawa przejdzie do sądów i ogromny, nieusuwalny znak zapytania sławy zawiśnie nad tym luksusowym budynkiem, nad tym wiszącym pałacem, rodzącym ziarna intryg i samozniszczenia.

Chwyciwszy bagaże w silne ręce, Wilder ruszył w drogę do swojego mieszkania. Mieściło się ono bezpośrednio nad proscenium głównego wejścia. Czekał, aż Helen wyjdzie na balkon, żeby mu pomachać, co stanowiło jedną z niewielu rekompensat za miejsce na skraju parkingu, ale wszystkie żaluzje prócz jednej były jeszcze zasłonięte.

Przyspieszywszy kroku, Wilder doszedł do pierwszych samochodów. Złudzenie normalności zaczęło się ulatniać. Pierwsze trzy rzędy były obsypane odpadkami, lśniący ongiś lakier poplamiony i poobijany. Chodniki wokół budynku pokrywały butelki, puszki i potłuczone szkło w takich ilościach, jakby systematycznie zrzucano je z balkonów.

Już w środku okazało się, że dwie windy nie działają. Wszędzie panowała głucha cisza, jak w opuszczonym przez ludzi budynku. W biurze administracji też nie było nikogo, a pod szklanymi drzwiami leżał na podłodze stos korespondencji. Naprzeciwko wind na ścianie widniał częściowo zamazany napis – pierwszy z serii haseł i osobistych sygnałów, jakie z czasem miały pokryć każdy kawałek wolnej powierzchni w budynku. Rzecz jasna, te graffiti odzwierciedlały inteligencję i wykształcenie mieszkańców, jednak mimo ich dowcipu i wyobraźni te skomplikowane akrostychy, palindromy i wytworne sprośności pokrywające ściany wkrótce zmieniły się w kolorowy, ale nieczytelny chaos, przypominający tandetne tapety z pralni i biur podróży, którymi lokatorzy wieżowca tak pogardzali.

Wilder czekał niecierpliwie przy windach, coraz bardziej poirytowany. Wciskał ze złością guziki, ale żadna z wind nie zdradzała ochoty, żeby go posłuchać. Wszystkie były na stałe uwięzione między dwudziestym a trzydziestym piętrem, jeżdżąc tam i z powrotem. Pozbierawszy bagaże Wilder skierował się ku schodom. Kiedy doszedł na drugie piętro, stwierdził, że korytarz pogrążony jest w ciemnościach i potknął się o plastykowy worek ze śmieciami, zagradzający drzwi jego mieszkania.

Po wejściu do przedpokoju początkowo pomyślał, że Helen wyprowadziła się razem z chłopcami. Żaluzje w salonie były opuszczone, klimatyzacja wyłączona. Na podłodze leżały porozrzucane zabawki.

Wilder otworzył drzwi do pokoju chłopców. Spali obok siebie, oddychając nierówno w stęchłym powietrzu. Resztki jedzenia z poprzedniego dnia leżały na tacy między łóżkami.

Wilder przeszedł przez salon do swojej sypialni. Jedna żaluzja była uniesiona i światło dnia padało na białą ścianę równym prostokątem. Wilder miał niesamowite skojarzenia z celą na oddziale psychiatrycznym więzienia, którą filmował dwa dni wcześniej. Helen leżała kompletnie ubrana na zaścielonym łóżku. Uznał, że żona śpi, ale kiedy przemierzał pokój, usiłując wyciszyć swoje ciężkie kroki, jej oczy śledziły go bez żadnego wyrazu.

– Ja nie śpię, Richard – powiedziała spokojnie. – Nie spałam, odkąd wczoraj zadzwoniłeś. Czy wyjazd się udał?

Chciała się podnieść, ale Wilder przytrzymał jej głowę na poduszce.

– Chłopcy – co się tu dzieje?

– Nic. – Dotknęła jego dłoni, uspakajając go uśmiechem. – Chcieli spać, więc im pozwoliłam. Nie mają nic innego do roboty. W nocy jest za duży hałas. Przepraszam, że zostawiłam taki nieporządek.

– Nieważne. Dlaczego chłopcy nie są w szkole?

– Szkoła jest zamknięta, nie chodzą odkąd wyjechałeś.

– Dlaczego? – Zdenerwowany biernością żony, Wilder zaczął ugniatać swoje ciężkie dłonie. – Helen, nie możesz tak leżeć przez cały dzień. Jest ogródek na dachu. Albo basen.

– Mam uczucie, że one istnieją tylko w mojej głowie. To za trudne... – Wskazała kamerę, leżącą na podłodze między stopami męża. – Do czego to?

– Może nakręcę trochę materiału... do filmu o wieżowcu.

– Jeszcze jeden reportaż z więzienia. – Helen uśmiechnęła się bez cienia wesołości. – Mogę ci powiedzieć, gdzie możesz zacząć.

Wilder ujął jej twarz w dłonie. Dotykał przez skórę jej cienkich kości, jakby się upewniał, że ta delikatna armatura nadal istnieje. Musi ją jakoś podnieść na duchu. Kiedy ją poznał przed siedmiu laty, pracując dla jednej z komercyjnych stacji telewizyjnych, była bystrą i pewną siebie asystentką producenta, przewyższającą Wildera ciętością języka. Czas, którego nie spędzali w łóżku, zajmowały im sprzeczki. Teraz, po urodzeniu dwóch synów i roku spędzonym w wieżowcu, Helen zamknęła się w sobie, obsesyjnie poświęcając się pracy przy dzieciach. Nawet jej recenzje dziecięcych książek stanowiły część tego syndromu.

Wilder przyniósł żonie kieliszek jej ulubionego likieru. Zastanawiając się, co robić, rozcierał sobie mięśnie klatki piersiowej. To, co początkowo go cieszyło, a teraz najbardziej niepokoiło, to fakt, że Helen przestała zauważać jego romanse z niezamężnymi mieszkankami wieżowca. Nawet jeżeli przyłapała męża na rozmowie z którąś z nich, podchodziła holując za sobą chłopców jakby jego seksualne wyskoki już jej nie dotyczyły. Niektóre z tych młodych kobiet, jak aktorka telewizyjna, której charta utopił w basenie podczas awarii oświetlenia, czy mieszkająca piętro wyżej asystentka reżysera, zostały przyjaciółkami Helen. Ta ostatnia, poważna dziewczyna, czytająca Byrona w kolejce do kasy w supermarkecie, pracowała dla niezależnego producenta filmów pornograficznych; tak, w każdym razie, poinformowała go rzeczowo Helen. „Musi zapisywać dokładnie pozycje seksualne między ujęciami. Interesująca praca – ciekawe, jakich kwalifikacji wymagają, albo jaka jest średnia życia w tym zawodzie".

Wilder był zszokowany, przy pewnej pruderyjności, nigdy nie zdobył się na rozmowę o tym z dziewczyną. Ilekroć kochali się w jej mieszkaniu na trzecim piętrze, prześladowało go uczucie, że ona odruchowo zapamiętuje każdą ich po-

zycję na wypadek, gdyby jego nagle odwołano, a ona musiała wznowić akcję z innym partnerem dokładnie w tym samym ustawieniu. Wysokiej klasy profesjonalizm mieszkańców wieżowca miał swoje denerwujące aspekty.

Wilder patrzył, jak jego żona sączy likier. Chcąc ją ożywić, pogłaskał jej szczupłe uda. – Helen, daj spokój, wyglądasz, jakbyś czekała na koniec świata. Pozbierajmy się i weźmiemy chłopców na basen.

Helen potrząsnęła głową. – Za dużo tu agresji. Była zawsze, ale teraz się ujawniła. Ludzie czepiają się dzieci, czasem myślę, że robią to bezwiednie. – Siedziała na skraju łóżka, podczas gdy Wilder się przebierał, patrząc przez okno na rząd wieżowców, cofających się w głąb nieba. – Tak naprawdę nie chodzi o lokatorów, to ten budynek...

– Wiem. Ale zobaczysz, że po zakończeniu śledztwa wszystko się uspokoi. Choćby ze względu na przemożne poczucie winy.

– A czego dotyczy śledztwo?

– Śmierci, oczywiście. Naszego skoczka jubilera. – Wilder podniósł z podłogi kamerę i zdjął osłonę obiektywu. – Czy rozmawiałaś z policją?

– Nie wiem. Staram się unikać ludzi. – Ożywiwszy się wysiłkiem woli, podeszła do męża.

– Richard, czy myślałeś kiedyś o sprzedaniu tego mieszkania? Moglibyśmy się wyprowadzić. Naprawdę.

– Helen... – Zaskoczony, Wilder patrzył z góry na małą, zdeterminowaną postać żony. Zdjął spodnie, jakby obnażenie masywnych ud w jakiś sposób podnosiło jego autorytet.

– To tak, jakbyśmy się dali wypędzić. Poza tym, nigdy nie dostaniemy tyle, ile sami zapłaciliśmy.

Odczekał, aż Helen opuści głowę i odwróci się do łóżka. Przed pół rokiem na skutek jej nalegań przeprowadzili się już z ich pierwszego mieszkania na parterze. Dyskutowali wówczas poważnie o tym, żeby w ogóle wyprowadzić się z wieżowca, ale Wilder przekonał żonę do pozostania, z powodów, których sam do końca nie rozumiał. Przede wszystkim nie przyznałby się do porażki w kwestii ustanowienia równoprawnych stosunków ze swoimi zadowolonymi z siebie sąsiadami, zadzierającymi nosa specjalistami od finansów i marketingu.

– Może moglibyśmy się przeprowadzić na wyższe piętro – rzuciła Helen, kiedy do pokoju weszli zaspani chłopcy.

Goląc się, Wilder zastanawiał się nad ostatnią wypowiedzią żony. Jej nieśmiały apel miał szczególne znaczenie, jakby trafił na długo skrywane pragnienie w jego głowie. Helen, rzecz jasna, rozumowała w kategoriach awansu społecznego, przeprowadzki do „lepszej dzielnicy", z tego osiedla niższej klasy do bardziej eleganckiej okolicy gdzieś między piętnastym a trzydziestym piętrem, gdzie są czyste korytarze i dzieci nie muszą bawić się na ulicy, gdzie powietrze przesycone jest duchem tolerancji i wytworności.

Wilder miał na myśli co innego. Słuchając Helen, która mówiła coś półgłosem do dwóch chłopców jakby z wnętrza głębokiego snu, przyglądał się swojej postaci w lustrze. Niczym bokser dodający sobie pewności przed walką, poklepał się po mięśniach brzucha i ramion. Zarówno pod względem psychicznym, jak fizycznym był prawie na pewno najsilniejszym mężczyzną w tym budynku i przygnębienie Helen denerwowało go. Zdawał sobie sprawę, że nie rozporządza żadną bronią przeciwko tego rodzaju bierności. Jego reakcja na nią wynikła z jego wychowania przez nadopiekuńcza matkę, która kochała go ślepą miłością przez najdłuższe dzieciństwo, jakie udało się jej zaaranżować, i dzięki temu dała Wilderowi to, co on sam uważał za niewzruszoną wiarę w siebie. Z ojcem Wildera – niewyraźną postacią z podejrzaną przeszłością – rozeszła się, kiedy Richard był małym dzieckiem. Drugie małżeństwo, z sympatycznym, ale potulnym księgowym i miłośnikiem szachów, było całkowicie zdominowane przez stosunek między matką a jej krzepkim synem. Kiedy Wilder poznał swoja przyszłą żonę, naiwnie wierzył, że chce podzielić się z nią swoją siłą, opiekować się nią i zapewnić jej nieograniczone zasoby bezpieczeństwa i dobrego humoru. Rzecz jasna, jak teraz wiedział, nikt nigdy się nie zmienia, i mimo całej obfitości wiary w siebie, to on nadal potrzebował opieki. Raz czy dwa, w pierwszym okresie małżeństwa, przestał się kontrolować i spróbował dziennych gierek, w które z taką przyjemnością bawił się z matka, ale Helen nie potrafiła traktować go jak syna. Wilder domyślał się, że dla niej miłość i opieka były ostatnimi rzeczami, jakich pragnęła. Może rozkład życia w wieżowcu bardziej zaspokoi jej podświadome nadzieje, niż to sobie uświadamiała.

Rozmasowując policzki Wilder przysłuchiwał się nierównemu szumowi powietrza w przewodach klimatyzacyjnych za kabiną natrysku; powietrza pompowanego przez trzydzieści dziewięć pięter z samego dachu budynku. Patrzył na wodę wypływającą z kranu. Ona też odbyła długą drogę ze zbiorników na dachu, spływając długimi wewnętrznymi korytarzami wypłukanymi w betonie, jak lodowate strumienie pieniące się w podziemnych grotach.

Determinacja Wildera, żeby nakręcić film dokumentalny, miała silną motywację osobistą, była częścią wykalkulowanej próby pogodzenia się z tym budynkiem, stawienia czoła jego fizycznemu wyzwaniu i wreszcie zapanowania nad nim. Od pewnego czasu Wilder zdawał sobie sprawę, że narasta w nim potężny lęk przed wieżowcem. Nieustannie odczuwał ogromny ciężar nagromadzonego nad nim betonu i miał świadomość, że w jego ciele ogniskowały się linie sił przebiegających przez ten budynek, prawie tak, jakby Anthony Royal zaplanował ich władzę nad jego ciałem. Często w nocy, leżąc obok pogrążonej we śnie żony, budził się z męczącego snu w dusznej sypialni, czując poprzez ściany i sufit nacisk wszystkich pozostałych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu mieszkań, wyciskających powietrze z jego płuc. Był pewien, że utopił charta nie dlatego, że żywił do niego jakąś szczególną niechęć albo chciał dokuczyć jego właścicielce, ale dlatego, żeby się zemścić na górnych piętrach tego budynku. Chwycił psa w ciemnościach, kiedy ten wpadł do basenu.

Ulegając okrutnemu i przemożnemu impulsowi, wciągnął go pod wodę. Przytrzymując jego naelektryzowane, rzucające się konwulsyjnie ciało pod powierzchnią, w jakiś dziwny sposób walczył z samym budynkiem.

Myśląc o jego tak odległych szczytach, Wilder wszedł pod natrysk i odkręcił zimną wodę do końca, pozwalając lodowatemu strumieniowi spływać po piersi i lędźwiach. Podczas gdy Helen zaczęła słabnąć, on czuł pełną determinację, jak alpinista, docierający wreszcie do stóp góry, na której zdobycie przygotowywał się przez całe życie.

5 Pionowe miasto

Niezależnie od planów, jakie mógłby układać dla swojej wyprawy, niezależnie od wyboru trasy na szczyt, Wilder wkrótce zrozumiał, że przy obecnym tempie erozji wkrótce niewiele z wieżowca zostanie. Psuło się prawie wszystko, co tylko mogło się popsuć. Pomógł Helen doprowadzić mieszkanie do porządku i próbował wprowadzić nieco życia do swojej ospałej rodziny, podnosząc żaluzje i poruszając się hałaśliwie.

Stwierdził, że trudno ich rozruszać. Klimatyzacja wyłączała się co chwila i przy ciepłej letniej pogodzie w mieszkaniu panowała ciężka atmosfera stęchlizny. Wilder zauważył, że zaczął to już traktować jak coś normalnego. Helen powtórzyła mu plotkę zasłyszaną od sąsiadów, że mieszkańcy wyższych pięter specjalnie wrzucali psie odchody do kanałów wentylacyjnych. Po otwartych przestrzeniach osiedla hulały silne wiatry, wirując wokół betonowych podpór i atakując niższe piętra budynku. Wilder otworzył okna, chcąc wpuścić trochę świeżego powietrza, ale mieszkanie napełniło się tylko kurzem i cementowym pyłem. Popielaty nalot już i tak pokrywał kredens i półki z książkami.

Późnym popołudniem mieszkańcy zaczęli wracać ze swoich biur. Przepełnione windy huczały od głosów. Trzy z wind nie działały a w pozostałych kłębili się zdenerwowani lokatorzy usiłujący dostać się na swoje piętra. Stojąc w drzwiach mieszkania, Wilder obserwował, jak jego sąsiedzi tłoczą się agresywnie, niczym rozzłoszczeni górnicy wysiadający ze swoich klatek. Mijali go dzierżąc teczki i torby jak elementy wyposażenia obronnego.

Pod wpływem nagłego impulsu Wilder postanowił poddać próbie swoje prawa do swobodnego poruszania się po budynku i dostępu do wszystkich jego urządzeń, a w szczególności do basenu na trzydziestym piątym piętrze i ogródka zabaw dziecięcych na dachu. Wziąwszy kamerę wyruszył wraz ze starszym synem na dach, wkrótce jednak przekonał się, że ekspresowe windy są albo popsute, albo w remoncie, albo zostały zablokowane na górnych piętrach. Jedyny dostęp do nich dawało osobne wejście z parteru, do którego Wilder nie miał klucza.

Tym bardziej zdecydowany, żeby dotrzeć na dach, Wilder czekał na jedną z pośrednich wind, która mogła ich dowieźć na trzydzieste piąte piętro. Kiedy przyjechała, wcisnął się do zatłoczonej kabiny między pasażerów, spoglądających na jego sześcioletniego syna z nieukrywaną wrogością. Na dwudziestym trzecim piętrze winda utknęła. Pasażerowie wysypali się do hallu, uderzając teczkami w zamknięte drzwi wind w niemal rytualnym pokazie złego humoru.

Wilder wziął syna na ręce i ruszył dalej schodami. Przy swoich warunkach fizycznych mógł tak wejść na samą górę, jednak dwa piętra wyżej schody blokowała grupa miejscowych lokatorów – był wśród nich agresywny młody ortodonta, mieszkający obok Roberta Lainga – usiłujących uruchomić zsyp do śmieci. Podejrzewając, że przy okazji majstrują coś przy klimatyzacji, Wilder przecisnął się przez nich, ale został brutalnie odepchnięty przez mężczyznę, w którym rozpoznał prezentera z komercyjnej stacji telewizyjnej.

– Te schody są nieczynne, Wilder! Trudno ci to zrozumieć?

– Co? – Wilder był zaskoczony tą napastliwością. – O co panu chodzi?

– Nieczynne! A w ogóle, co pan tu robi?

Dwaj mężczyźni stanęli oko w oko. Rozbawiony agresywnością prezentera, Wilder uniósł kamerę, jakby chciał uwiecznić jego nabrzmiałe krwią oblicze. Kiedy Crossland rozkazującym gestem kazał mu odejść, Wilder odczuł pokusę, żeby go zwalić z nóg, nie chcąc jednak przestraszyć syna, który był wystarczająco podenerwowany panującą atmosferą, cofnął się do wind i zjechał na dół.

Konfrontacja ta, choć niepoważna, wyprowadziła Wildera z równowagi. Nie zwracając uwagi na Helen, chodził po mieszkaniu tam i z powrotem, wywijając kamerą. Czuł wzrastające podniecenie, wynikające zarówno z jego planów filmowych, jak i z narastającej atmosfery konfliktu i wrogości.

Z balkonu patrzył na olbrzymie bloki sąsiednich wysokościowców. Wizualny i socjologiczny materiał do filmu o tych budynkach był wręcz nieograniczony. Ujęcia zewnętrzne zrobiliby z helikoptera i z najbliższego bloku, oddalonego o czterysta jardów – w wyobraźni widział już długi, sześćdziesięciosekundowy najazd kamery od całego budynku w kadrze do zbliżenia jednego mieszkania, pojedynczej komórki w tym koszmarnym mrowisku.

Pierwsza część programu ukazywałaby życie w wysokościowcu z punktu widzenia błędów projektanckich i drobnych niegodności, podczas gdy druga skupiałaby się na problemach psychologicznych mieszkania w liczącej dwa tysiące osób społeczności wyniesionej pod niebo. Wszystko – od przypadków przestępstw, rozwodów i rozwiązłości płciowej do przepływu lokatorów, ich zdrowia, częstotliwości przypadków bezsenności i innych zaburzeń psychosomatycznych.

Wszystkie doświadczenia nagromadzone w ciągu dziesięcioleci, świadczyły przeciwko wieżowcom jako zdrowym strukturom życia społecznego, ale rachunek ekonomiczny w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego i wysoka rentowność dla sektora prywatnego wypychały te pionowe miasteczka w niebo wbrew prawdziwym potrzebom ich mieszkańców.

Psychologia wysokościowców została ujawniona z zabójczymi rezultatami. Wilder uważał na przykład za najbardziej znaczącą cechę brak poczucia humoru – wszystkie badania potwierdzały, że mieszkańcy wysokościowców nie opowiadają dowcipów na ich temat. W ścisłym tego słowa znaczeniu nic się w nich nie dzieje. Na podstawie swojego własnego doświadczenia Wilder wyrobił sobie przekonanie, że mieszkanie w wieżowcu nie stwarzało wystarczająco elastycznej otoczki, zapewniającej ognisko domowe, które zachęca do jakiejkolwiek działalności poza jedzeniem i spaniem. Mieszkanie w wysokościowcach wymagało szczególnego typu zachowania – spokojnego, opanowanego, a przy tym nieco szalonego. Psychotyk czułby się tutaj jak u siebie w domu, pomyślał Wilder. Plagą tych bloków był od samego początku wandalizm. Każdy wyrwany kabel telefoniczny, każda urwana klamka drzwi ewakuacyjnych, każdy rozbity licznik elektryczny był znakiem protestu przeciwko odmóżdżeniu.

Z całego życia w wieżowcu Wildera najbardziej złościło to, w jaki sposób pozornie jednolita grupa dobrze zarabiających ludzi rozpadła się na trzy odrębne i wrogie obozy. Dawne podziały społeczne, oparte na władzy, pieniądzach i interesie osobistym odtworzyły się tutaj tak jak wszędzie.

W rezultacie wysokościowiec podzielił się na trzy klasyczne grupy społeczne, z klasą niższą, średnia i wyższą. Pasaż handlowy na dziesiątym piętrze stanowił wyraźną granicę między dziewięcioma dolnymi piętrami z ich „proletariatem" techników filmowych, stewardes i im podobnych, a środkową częścią wieżowca, która mieściła się między dziesiątym a trzydziestym piątym piętrem z jego basenem i restauracją. Te centralne dwie trzecie wieżowca tworzyły jego klasę średnią, złożoną z egoistycznie nastawionych, ale zasadniczo spokojnych lekarzy i prawników, księgowych i doradców podatkowych, pracujących nie na własny rachunek, ale w instytucjach medycznych i dużych korporacjach. Purytańscy i zdyscyplinowani, mieli w sobie mocny charakter ludzi walczących o drugie miejsce.

Nad nimi, na górnych pięciu piętrach, zamieszkiwała klasa wyższa, dyskretna oligarchia pomniejszych finansistów i przedsiębiorców, aktorek telewizyjnych i znanych naukowców, dysponujących ekspresowymi windami, luksusowym wyposażeniem i dywanami na schodach. To oni nadawali ton całemu budynkowi. To ich skargi były rozpatrywane w pierwszej kolejności i to oni w niewidoczny sposób zdominowali życie w wysokościowcu, ustalając, kiedy dzieci mogą korzystać z pływalni czy ogródka na dachu, zestaw dań w restauracji i wysokość opłat, które eliminowały prawie wszystkich poza nimi. Ale przede wszystkim liczył się ich subtelny protekcjonizm, utrzymujący w posłuchu klasę średnią, to ciągłe wabienie marchewką przyjaźni i akceptacji.

Myśl o tych ekskluzywnych lokatorach, mieszkających w swojej napowietrznej twierdzy równie wysoko jak książęta nad miejskim pospólstwem, przepełniała Wildera rosnącym zniecierpliwieniem i niechęcią, jednak zorganizowanie jakiegoś kontrataku nie było łatwe. Mógłby zagrać populistycznego przywódcę swoich sąsiadów z niższych pięter, ale nie było w nich żadnej wspólnoty celu ani poczucia interesu – nie byliby żadnymi przeciwnikami dla zdyscyplinowanych i zorganizowanych mieszkańców strefy środkowej. Był w nich jakiś potencjalny luz, skłonność do tolerowania ingerencji z zewnątrz, gotowość do spakowania manatków i przeniesienia się gdzie indziej. Krótko mówiąc, ich instynkt terytorialny w sensie psychologicznym i społecznym zanikł do tego stopnia, że byli gotowi pozwolić się wyzyskiwać.

Chcąc zorganizować swoich sąsiadów, Wilder musiał obudzić w nich silne poczucie tożsamości. Reportaż telewizyjny znakomicie się do tego nadawał i, co więcej, zrobiłby to w języku dla nich zrozumiałym. Film udramatyzowałby wszystkie ich pretensje i ukazałby sposób, w jaki cała infrastruktura budynku jest nadużywana przez mieszkańców górnych pięter. Może nawet okaże się konieczne sprowokowanie zamieszek, żeby wydobyć obecne w wieżowcu napięcia.

Jednak, jak Wilder wkrótce miał się przekonać, kształt jego filmu już się decydował.

Podniecony swoją determinacją, Wilder uznał, że powinien dać żonie i dzieciom odpocząć od nieustannego krążenia po mieszkaniu. Klimatyzacja działała teraz tylko przez pięć minut na godzinę i o zmierzchu powietrze w domu było stęchłe i wilgotne. Z balkonów na górze dochodził hałas głośnych rozmów i nastawionych na pełny regulator adapterów. Helen Wilder poruszała się wzdłuż zamkniętych już okien, a jej drobne dłonie dotykały bezwiednie klamek, jakby chciała odepchnąć noc.

Zbyt pochłonięty myślami, żeby jej pomóc, Wilder wyruszył z ręcznikiem i kąpielówkami na dziesiąte piętro. Parę telefonów do sąsiadów z niższych pięter potwierdziło, że chętnie wystąpią w filmie, jednak Wilder potrzebował też ochotników z górnych i środkowych poziomów wieżowca.

Uszkodzone windy nadal nie zostały naprawione i Wilder poszedł schodami. Całe ich odcinki były wykorzystywane przez mieszkańców z góry jako zsyp na śmieci. Zaścielające stopnie tłuczone szkło wbijało się w podeszwy butów.

Pasaż handlowy był pełen tłoczących się i przekrzykujących ludzi, zachowujących się jakby czekali na rozpoczęcie politycznego wiecu. Pusty zazwyczaj o tej porze basen pełen był mieszkańców wygłupiających się w wodzie, spychających się z wyłożonego kafelkami brzegu i chlapiących do przebieralni. Basenowy opuścił swoją budkę i basen, z ręcznikami moknącymi w rynienkach ściekowych, sprawiał wrażenie zaniedbanego.

Pod natryskiem Wilder zobaczył Roberta Lainga. Chociaż doktor odwrócił się do niego plecami, Wilder się tym nie przejął i zajął sąsiednie stanowisko. Wymienili kilka niezobowiązujących uwag. Wilder zawsze lubił towarzystwo Lainga, który obrzucał bystrym spojrzeniem każdą przechodzącą kobietę, ale tego dnia doktor zachowywał się oficjalnie. Widocznie i jego dotknęła ogólna atmosfera konfrontacji.

– Czy przyjechała już policja? – spytał Wilder, przekrzykując hałas, kiedy szli w kierunku trampolin.

– Nie, a spodziewa się pan, że przyjedzie? – Laing wydawał się autentycznie zdziwiony.

– Będą chcieli przesłuchać świadków. Co się właściwie stało? Czy został wypchnięty? Jego żona wygląda dość krzepko, może spieszyło się jej do rozwodu?

Laing uśmiechnął się cierpliwie, jakby ten niesmaczny żart był wszystkim, czego oczekiwał od Wildera. Jego bystre oczy celowo były pozbawione wyrazu i nieprzeniknione. – Nic nie wiem o tym wypadku, Wilder. Myślę, że to mogło być samobójstwo. Jest pan tym zainteresowany osobiście?

– A pan nie, Laing? Czy to nie dziwne, że człowiek wypada z czterdziestego piętra i nie ma żadnego śledztwa?

Laing wszedł na trampolinę. Ciało miał niezwykle dobrze umięśnione, zauważył Wilder, jakby dużo ostatnio ćwiczył, robiąc dziesiątki pompek.

Laing czekał na wolne miejsce w wodzie. – Myślę, że możemy polegać na jego sąsiadach, na pewno wszystkim się zajmą.

Wilder podniósł głos. – Planuję film dokumentalny dla telewizji, jego śmierć byłaby dobrym punktem zaczepienia.

Laing spojrzał z góry na Wildera z nagłym zainteresowaniem. – Na pańskim miejscu dałbym sobie z tym spokój, Wilder. – Zrobił krok na koniec trampoliny, dwa razy podskoczył i wykonał sprężysty, prawidłowy skok do żółtawej wody.

Pływając samotnie w płytszym końcu basenu, Wilder obserwował Lainga i grupę jego przyjaciół, bawiących się na drugim końcu. Kiedyś Wilder przyłączyłby się do nich, zwłaszcza, że były tam dwie atrakcyjne kobiety – Charlotte Melville, której nie widział od kilku dni, choć mieli omawiać sprawę komitetu rodzicielskiego, i początkująca alkoholiczka Eleanor Powell. Wilder wyraźnie został wyłączony z towarzystwa. Zwracając się do niego demonstracyjnie po nazwisku, Laing podkreślał dystans między nimi, podobnie jak wówczas, kiedy unikał tematu śmierci jubilera i filmu, którym jeszcze niedawno żywo się interesował.

Właściwie to jego zachęta zainspirowała Wildera do przejścia od pomysłu do wstępnych przygotowań. Widocznie Laing, ze swoją przesadną potrzebą prywatności, nie chciał oglądać zbiorowego szaleństwa lokatorów wieżowca oraz ich dziecinnych sprzeczek i zawiści, ujawnionych na ekranach ogólnokrajowej telewizji.

A może działał tu jakiś inny impuls, potrzeba ukrycia, przede wszystkim przed sobą, jakichkolwiek podejrzeń na temat tego, co rzeczywiście dzieje się w wieżowcu, tak żeby wydarzenia mogły rozwijać się zgodnie ze swoją własną logiką i jeszcze bardziej wymykać się spod kontroli? Przy całym swoim głoszonym entuzjazmie dla filmu, Wilder wiedział, że nigdy nie wspomniał o nim nikomu, kto nie był mieszkańcem wieżowca. Nawet Helen, rozmawiając z matką przez telefon tego popołudnia, powiedziała wymijająco: – Wszystko w porządku. Były jakieś drobne kłopoty z klimatyzacją, ale już to naprawiają.

Wildera przestawało dziwić to narastające odchodzenie od rzeczywistości. Przekonanie, że chaos w obrębie wieżowca jest wewnętrzną sprawą jego mieszkańców, wyjaśniało tajemnicę śmierci jubilera. Przynajmniej tysiąc osób musiało widzieć ciało – Wilder pamiętał, jak wyszedł na balkon i przestraszył się nie widoku trupa, ale ogromnego, sięgającego nieba audytorium. Czy ktoś zawiadomił policję? Dotychczas uważał to za coś oczywistego, teraz nie był już tak pewien. Wilder nie mógł jakoś uwierzyć, że ten wykształcony i zadowolony z siebie człowiek mógł popełnić samobójstwo. A jednak nikt się tym ani trochę nie przejmował i możliwość morderstwa była akceptowana podobnie, jak pływający w basenie akceptowali butelki po winie i puszki po piwie, turlające się po kafelkowej podłodze pod ich stopami.

Tego wieczoru rozważania Wildera musiały ustąpić miejsca walce o zachowanie zdrowych zmysłów. Położywszy chłopców do łóżek, usiedli z żoną do kolacji, żeby stwierdzić, że nagła awaria elektryczności pogrążyła ich w ciemnościach. Siedząc naprzeciwko siebie przy stole w jadalni, słuchali nieustannych hałasów z korytarza, sąsiadów kłócących się przy windach i tranzystorów ryczących z otwartych drzwi mieszkań.

Helen zaczęła się śmiać, odprężywszy się po raz pierwszy od paru tygodni. – Dick, to jest wielkie dziecięce przyjęcie, które wymknęło się spod kontroli. – Wyciągnęła rękę, żeby uspokoić męża. W słabym świetle, wpadającym do pokoju z sąsiedniego wieżowca, jej szczupła twarz wyrażała jakiś prawie nieziemski spokój, jakby nie była już częścią tego, co się wokół niej dzieje.

Powstrzymując gniew, Wilder zgarbił się ciężko nad stołem. Nie po raz pierwszy miał ochotę walnąć pięścią w talerz z zupą. Kiedy światło się zapaliło, próbował dodzwonić się do administratora, ale linia była zajęta. W końcu nagrany głos powiedział mu, że administrator jest chory, i że wszystkie skargi zostaną nagrane i rozpatrzone.

– Mój Boże, czy on rzeczywiście będzie słuchał wszystkich tych taśm? Są ich pewnie kilometry...

– Jesteś pewien? – Helen śmiała się pod nosem. – Może nikomu innemu to nie przeszkadza, może ty jesteś jedyny.

Manipulowanie przy elektryczności doprowadziło do awarii klimatyzacji. Z kratek wentylacyjnych sypał się kurz. Zdesperowany, Wilder zacisnął pięści. Wieżowiec, niczym olbrzymi i agresywny złoczyńca, postanowił wyrządzić im wszystkie możliwe krzywdy. Wilder próbował zamknąć kratki, ale wkrótce musieli szukać schronienia na balkonie. Sąsiedzi, przywarci do poręczy, spoglądali w stronę dachu, jakby się spodziewali, że zobaczą tam winowajców.

Pozostawiwszy żonę, która półprzytomnie błądziła po mieszkaniu, uśmiechając się na widok kłębów kurzu, Wilder wyszedł na korytarz. Wszystkie windy były unieruchomione na górnych piętrach budynku. W hallu zebrała się duża grupa mieszkańców, którzy uderzali rytmicznie w drzwi i uskarżali się na różne prowokacyjne akty lokatorów z góry.

Wilder utorował sobie drogę do środka gromady, gdzie dwaj piloci, stojąc na kanapie, dobierali uczestników wyprawy wojennej. Wilder czekał na swoją kolej, próbując zwrócić na siebie uwagę, dopóki się nie zorientował z gorączkowych rozmów koło siebie, że ich misja miała polegać na dotarciu na trzydzieste piąte piętro i publicznym nasikaniu do basenu.

Wilder miał zamiar wdać się z nimi w dyskusję, ostrzegając, że tego typu dziecinada niczego nie załatwi. Dopóki się nie zorganizują, pomysł ekspedycji karnej pozostanie absurdem, ponieważ są zbyt narażeni na działanie odwetowe. W ostatniej chwili jednak zrezygnował ze sporu. Stanął przy drzwiach na klatkę schodową, czując, że nie ma nic wspólnego z tym tłumem podnieconych lokatorów, podburzających się nawzajem do daremnych demonstracji. Ich faktycznym przeciwnikiem nie była hierarchia mieszkańców odległych wyżyn, ale obraz tego budynku we własnych umysłach, wszystkie te niezliczone warstwy betonu, przygniatające ich do podłogi.

Rozległ się okrzyk radości, a potem chóralne gwizdy. To wreszcie ruszyła winda z trzydziestego piątego piętra, o czym świadczyły numery błyskające nad drzwiami z prawa na lewo. Wilder pomyślał o Helen i swoich dwóch synach. Wiedział już, że jego decyzja o trzymaniu się na dystans wobec sąsiadów nie ma nic wspólnego z jego troską o żonę i dzieci.

Winda dojechała na pierwsze piętro i stanęła. Kiedy drzwi się otworzyły, zapadła nagła cisza. Na podłodze kabiny leżał półprzytomny jeden z sąsiadów Wildera, kontroler ruchu, homoseksualista, który jadał regularnie w restauracji na trzydziestym piątym. Odwrócił zmasakrowaną twarz od gapiącego się tłumu i usiłował zapiąć podartą na piersi koszulę. Wilder widział go wyraźnie, bo tłum cofnął się od drzwi windy, i zszokowany tym przykładem jawnej już przemocy, usłyszał, jak ktoś mówi, że dwa dalsze piętra, piąte i ósme, są pozbawione elektryczności.

6 Niebezpieczeństwo na podniebnych ulicach

Przez cały dzień Richard Wilder przygotowywał się do wyprawy na górę. Po hałaśliwej nocy, którą spędził na uspokajaniu synów i rozchichotanej żony, pojechał do telewizji. Na miejscu odwołał wszystkie spotkania i zapowiedział sekretarce, że przez kilka dni go nie będzie. Ledwie sobie przy tym uświadomił obecność tej zdziwionej młodej kobiety i zaciekawionych kolegów z sąsiednich pokojów – ogolił tylko lewą połowę twarzy, bielizny nie zmieniał od poprzedniego dnia. Zmęczony zasnął natychmiast przy biurku, chrapiąc na oczach sekretarki nad nie przeczytaną korespondencją. Po niespełna godzinie w studio spakował teczkę i wrócił do wieżowca.

Ten krótki czas spędzony poza blokiem był dla Wildera czymś nierzeczywistym, prawie jak sen. Zostawił na parkingu samochód, nie zamykając go, i ruszył do wejścia z rosnącym poczuciem ulgi. Nawet śmieci otaczające budynek, puste butelki i pochlapane samochody z wybitymi szybami, w dziwny sposób tylko utwierdzały w nim przekonanie, że jedyne autentyczne rzeczy w jego życiu dzieją się w wieżowcu.

Chociaż było już po jedenastej, Helen i chłopcy wciąż jeszcze spali. Meble w saloniku i sypialniach pokrywała warstwa białego kurzu, jakby wrócił do mieszkania i uśpionej w nim trójki po ogromnie długim czasie, który skrystalizował się w postaci kamiennego pyłu. Wilder zamknął w nocy przewody klimatyzacji i w mieszkaniu panowała zupełna cisza i bezruch. Spojrzał na żonę, otoczoną w łóżku książkami dla dzieci, które recenzowała. Wiedząc, że za kilka godzin się z nią rozstanie, żałował, że jest zbyt słaba, żeby mu towarzyszyć. W przeciwnym razie mogliby razem wybrać się na szczyt wieżowca. Chcąc na spokojnie pomyśleć o czekającej go wspinaczce, Wilder zaczął sprzątać mieszkanie. Wyszedł na balkon i zmiótł niedopałki, szkło, prezerwatywy i strzępy gazet, zrzucane z wyższych pięter. Nie pamiętał już, kiedy postanowił dotrzeć na szczyt budynku i nie bardzo wiedział, co zrobi, kiedy tam wreszcie dotrze. Zdawał też sobie doskonale sprawę z niewspółmierności między prostym zadaniem dotarcia na dach (kwestia wciśnięcia guzika w windzie), a zmitologizowaną wersją tej wyprawy, która zawładnęła jego umysłem.

To samo podporządkowanie się logice silniejszej niż rozum było widoczne w zachowaniu sąsiadów Wildera. W hallu przy windach nasłuchał się najnowszych plotek. Tego ranka doszło do poważnej bójki między mieszkańcami dziewiątego i jedenastego piętra. Pasaż na dziesiątym stanowił teraz ziemię niczyją między dwoma walczącymi obozami, mieszkańcami dolnych dziewięciu pięter a lokatorami środkowej części budynku. Mimo zaczepek i nasilającej się przemocy, wydarzenia te nikogo nie zaskoczyły. Codzienne życie wieżowca z wyprawami do supermarketu, sklepu z alkoholem i salonu fryzjerskiego, toczyło się jak zwykle. Jakimś cudem wieżowiec mieścił w sobie tę podwójna logikę. Nawet ton głosu jego sąsiadów, kiedy opisywali te wybuchy wrogości, był spokojny i rzeczowy, jak u cywilów z oblężonego miasta, rozmawiających o kolejnym nalocie. Po raz pierwszy Wilder pomyślał, że lokatorom podoba się całe to zamieszanie i narastająca konfrontacja między nimi. Wszystko to zbliżało sąsiadów i kończyło chłodną izolację poprzednich miesięcy.

Po południu Wilder bawił się z synami i czekał na nadejście wieczoru. Helen cicho krążyła po mieszkaniu, prawie nie zauważając męża. Po ataku histerycznego śmiechu poprzedniego wieczoru twarz miała woskową i pozbawioną wyrazu. Co jakiś czas pojawiał się tik w prawym kąciku jej ust, jakby ujawniał drżenie gdzieś w głębi mózgu. Usiadła przy stole

i mechanicznym ruchem przygładzała włosy chłopców. Patrząc na nią i nie znajdując żadnego sposobu, żeby jej pomóc, Wilder prawie gotów był uwierzyć, że to ona odchodzi, a nie na odwrót.

Kiedy zaczęło się ściemniać, Wilder obserwował pierwszych mieszkańców, wracających z pracy. Widział, jak między innymi wysiada z samochodu Jane Sheridan. Sześć miesięcy wcześniej Wilder zerwał krótkotrwały romans z tą aktorką, jak na ironię z powodu trudności z dotarciem na trzydzieste siódme piętro. Stwierdził też, że w jej mieszkaniu czuje się nieswojo. Przez cały czas miał świadomość odległości od ziemi oraz obecności żony i dzieci gdzieś głęboko w dole, we wnętrznościach budynku, niczym wyzyskiwanych kobiet i dzieci w dziewiętnastowiecznych fabrykach. Oglądając telewizję podczas igraszek seksualnych w jej obitej perkalem sypialni, miał uczucie, jakby płynął wysoko nad miastem w luksusowym samolocie wyposażonym w buduar i barek. Ich rozmowy, nawet ich dykcja i słownictwo też miały styl rozmowy nieznajomych z sąsiednich foteli w samolocie.

Aktorka szła w kierunku osobnego wejścia do wind na wyższe piętra, krocząc beztrosko między potłuczonymi – butelkami i pustymi puszkami. Jedna wyprawa do jej mieszkania przeniosłaby go, jak drabina w grze planszowej, prawie na szczyt wieżowca, za jednym rzutem kostką.

Helen kładła chłopców do snu. Przysunęła do łóżek szafę i toaletkę, próbując osłonić ich przed hałasami i awanturami, które mogła przynieść noc.

– Richard? Czy ty idziesz...?

Mówiąc to wyłoniła się na krótko z głębszej studni swego wnętrza, uświadamiając sobie na te kilka sekund, że wkrótce zostanie sama z synami.

Wilder odczekał, aż ta chwila świadomości przeminie, wiedząc, że niemożliwe byłoby przedstawienie Helen misji, która sam sobie narzucił. Usiadła w milczeniu na łóżku z ręką na stosie dziecięcych książek, obserwując z zastygłym wyrazem twarzy w lustrze, jak mąż wychodzi do przedpokoju.

Wilder wkrótce przekonał się, że dotarcie na trzydzieste siódme piętro jest znacznie trudniejsze, niż przypuszczał. Windy na górne piętra były albo zepsute, albo zablokowano je na górze, zostawiając otwarte drzwi.

W hallu na drugim piętrze tłoczyli się sąsiedzi Wildera, jedni w garniturach, inni w strojach plażowych, kłócąc się jak niezadowoleni turyści zaskoczeni kryzysem walutowym. Wilder przecisnął się przez nich na schody i rozpoczął długa wspinaczkę na dziesiąte piętro, gdzie miał większą szansę złapania windy na górę.

Kiedy doszedł na piąte piętro, spotkał grupę przeszło dziesięciu pilotów wracających z kolejnej nieudanej wyprawy wojennej. Wściekli i wstrząśnięci odkrzykiwali ludziom lżącym ich z góry. Wejście na dziesiąte piętro było zawalone stołami i krzesłami wziętymi ze szkoły i zrzucanymi ze schodów. Grupa bojowa złożona z rodziców i uczniów usiłowała odnieść stoły na miejsce, w czym przeszkadzali im lokatorzy ze środkowych pięter, oczekujący niecierpliwie na świeżą dostawę alkoholu.

Wilder przecisnął się między nimi. Kiedy doszedł do dziesiątego piętra, grupa z góry ruszyła w pościg. Wilder przekraczał połamane stoły, leżące na stopniach wśród rozsypanych kredek i ołówków. Żałując, że nie wziął kamery, zauważył stojących w drzwiach mieszkańców osiemnastego piętra, inżyniera chemika i dyrektora personalnego. Obaj trzymali kamery video pieczołowicie filmując sceny w dole i zbliżającego się Wildera.

Pozostawiając ich z tymi wątpliwej wartości prywatnymi kronikami filmowymi, Wilder pchnął wahadłowe drzwi i rozejrzał się po pasażu handlowym. Kłębiły się tam setki mieszkańców, szarpiąc się i popychając między skrzynkami z winem i półkami proszków do prania, wśród splątanych drucianych wózków na zakupy. Gniewne głosy przekrzykiwały brzęk kas. Tymczasem, nie bacząc na awantury, rząd kobiet siedział w salonie fryzjerskim pod suszarkami, spokojnie czytając czasopisma. Dwóch kasjerów z wieczornej zmiany w banku niewzruszenie przeliczało banknoty.

Rezygnując z próby sforsowania pasażu, Wilder skierował się do opustoszałego basenu. Poziom wody obniżył się przynajmniej o sześć cali, jakby ktoś podkradał żółknący płyn. Wilder obszedł basen dokoła. Pośrodku pływała butelka po winie, otoczona wianuszkiem pudełek po papierosach i rozmoczonych niedopałków. Pod trampoliną bezwładnie pływała w wodzie gazeta, a jej falujący tytuł sprawiał wrażenie komunikatu z innego świata.

W hallu dziesiątego piętra tłum mieszkańców szturmował niecierpliwie drzwi wind, ściskając w ramionach kartony z alkoholem i zakupy z delikatesów, paliwo dla agresywnych przyjęć tego wieczoru. Wilder wrócił na schody. Gdzieś wyżej ci pasażerowie wysiądą i dadzą mu szansę wejścia do windy.

Wspinał się po dwa stopnie. Klatka schodowa była pusta. Im wyżej, tym mniej chętnie mieszkańcy korzystali ze schodów, jakby w jakiś sposób ubliżało to ich godności. Wchodząc coraz wyżej, Wilder spoglądał przez okna na ginący w dole z pola widzenia parking. Odległe ramię rzeki wyciągało się w stronę ciemniejącego zarysu miasta, jak strzałka ukazująca drogę do zapomnianego świata.

Skręcając na ostatni odcinek schodów przed czternastym piętrem, krocząc między puszkami i pudełkami po papierosach, dostrzegł nad głową jakiś ruch. Wilder przystanął i spojrzał w górę. Wirując pędziło w jego stronę kuchenne krzesło, rzucone przez napastnika stojącego trzy piętra wyżej. Wilder odchylił się i metalowe krzesło uderzyło w poręcz, ocierając się o jego prawą rękę, zanim pokoziołkowało dalej w dół. Wilder przykucnął, chroniąc się pod osłoną następnego odcinka schodów i rozmasowywał stłuczoną rękę. Przynajmniej trzech albo czterech mężczyzn czekało na niego, ostentacyjnie ud-

erzając pałkami o poręcz. Zacisnąwszy pięści Wilder rozejrzał się za jakąś bronią. Niebezpieczeństwo na podniebnych ulicach – jego pierwszym odruchem było podbiec i odpowiedzieć atakiem na atak. Wiedział, że przy swojej sile fizycznej może zmusić do ucieczki trójkę dowolnych mieszkańców wieżowca, nie wysportowanych dyrektorów i radców prawnych z nadwagą, podburzonych do tych lalusiowatych aktów agresji przez ich ambitne żony. Mimo to opanował się i zrezygnował z frontalnego ataku – dotrze na szczyt wieżowca posługując się fortelem, a nie brutalną siłą.

Zszedł na podest trzynastego piętra. Słyszał przez ścianę szum pracującej windy, pasażerowie wysiadali na swoich piętrach, ale drzwi z klatki na korytarz zostały zamknięte. Przez szybę spojrzała na niego gniewna twarz i gestem wymanikiurowanej dłoni kazała mu odejść.

Wszystkie drzwi aż do dziesiątego piętra były w ten sposób zaryglowane i zabarykadowane. Wilder ze złością wrócił do pasażu, gdzie tłum nadal czekał przy windach. Ludzie wyraźnie dzielili się na grupy według pięter i każda grupa pilnowała swojej windy.

Wilder zostawił ich i poszedł do supermarketu. Półki zostały ogołocone i obsługa poszła do domu, zablokowawszy wejścia. Wilder przeskoczył przez barierkę i wszedł na zaplecze. Za piramidami pustych kartonów krył się jeden z trzech pionów służbowych wieżowca, obejmujący windę towarową oraz wodę, klimatyzację i elektryczność. Wilder zaczekał na przyjazd ciężkiej windy, która mogłaby dźwigać samoloty na lotniskowcu. Została ona zaprojektowana do przewozu całych kompletów kuchennych i łazienkowych oraz wielkich abstrakcyjno-ekspresjonistycznych płócien, faworyzowanych przez lokatorów wieżowca.

Kiedy odciągał stalową kratę, zauważył szczupłą młodą kobietę kryjącą się za tablicą kontrolną. Była blada i anemiczna, ale przyglądała się Wilderowi z zainteresowaniem, jakby się cieszyła, że wkroczył na ten jej prywatny teren.

– Jak wysoko chce pan jechać? – spytała. – Możemy dotrzeć wszędzie, gdzie chcemy. Pojadę z panem.

Wilder rozpoznał w niej masażystkę z piątego, jedną z tych latawic, które spędzały wolny czas na wędrówkach po wieżowcu, mieszkanek wewnętrznego świata, tworzących drugą, niewidzialna kategorię lokatorów.

– Dobrze, może być trzydzieste piąte? – spytał.

– Na trzydziestym ludzie są sympatyczniejsi. – Z wprawą wciskała odpowiednie guziki, uruchamiając ciężkie drzwi. Po paru sekundach potężna winda niosła ich w górę.

Młoda masażystka uśmiechnęła się do Wildera zachęcająco, ożywiwszy się odkąd ruszyli. – Jeżeli chce pan się dostać wyżej, pokażę panu jak. Jest dużo przewodów powietrza, wie pan. Kłopot tylko, że dostały się do nich psy... zaczynają być głodne...

W godzinę później, kiedy Wilder stanął w eleganckim, wyłożonym dywanem hallu trzydziestego siódmego piętra, uświadomił sobie, że odkrył drugi budynek we wnętrzu tego, w którym początkowo zamieszkał. Pożegnał się z młodą masażystka, nieustannie wędrującą szybami technicznymi i drogami dostawczymi wieżowca, marszrutami stanowiącymi zewnętrzny wyraz Odysei dziejącej się w jej głowie. Podczas tej podróży okrężną trasą – z przesiadką do drugiej windy towarowej, żeby wspiąć się o trzy piętra wyżej do dwudziestego ósmego, wędrówką po labiryntach korytarzy na obrzeżach wrogich terytoriów i wreszcie końcową jazdą o jedno piętro – Wilder zobaczył, jak są zorganizowani mieszkańcy środkowych i górnych pięter.

Podczas gdy jego sąsiedzi z niższych pięter pozostawali zdezorganizowanym tłumem połączonym tylko poczuciem bezradności, tutaj każdy należał do lokalnej grupy trzydziestu przyległych mieszkań, nieformalnych klanów obejmujących dwa albo trzy piętra w zależności od architektury korytarzy, wind i hallów. Było tych grup około dwudziestu i każda z nich zawiązywała lokalne sojusze z sąsiednimi. Wyraźnie wzrosła też wszelkiego rodzaju działalność patrolowa. Znoszono bariery, blokowano drzwi ewakuacyjne, śmieci zrzucano ze schodów albo wynoszono na teren przeciwnika.

Na dwudziestym dziewiątym piętrze Wilder trafił na komunę złożoną wyłącznie z kobiet; sąsiedztwo zdominowane przez starą autorkę książek dla dzieci, kobietę o odstraszającej powierzchowności i psychice. Razem z nią mieszkały teraz trzy stewardesy z pierwszego piętra. Wilder z największą ostrożnością przeszedł korytarzem między ich mieszkaniami, ciesząc się z towarzystwa młodej masażystki. Tym, co zdziwiło Wildera, kiedy kobiety przepytywały go parami zza wpółotwartych drzwi, była ich wrogość wynikająca nie tyle z tego, że jest mężczyzną, ale z tego, że stara się wejść na piętro powyżej ich.

Wilder z ulgą znalazł się w pustym hallu trzydziestego siódmego piętra. Zatrzymał się w wejściu zdziwiony, że nie ma żadnej straży. Widocznie mieszkańcy tego piętra nie zdawali sobie sprawy z tego, co dzieje się pod nimi. Zresztą dywany w tych wyciszonych korytarzach były tak grube, że mogły izolować nawet od piekła.

Wilder ruszył korytarzem w kierunku mieszkania Jane Sheridan. Jego widok mógł ją zaskoczyć, ale nie miał wątpliwości, że spędzi z nią tę noc. Od następnego dnia wprowadzi się na stałe, a Helen i chłopców będzie odwiedzać w drodze z pracy i do pracy.

Zanim przycisnął dzwonek, słyszał zza drzwi jej silny, prawie męski głos, znany z niezliczonych dramatów kostiumowych w telewizji. Wreszcie drzwi uchyliły się, nadal zamknięte na łańcuch. Kiedy spojrzała na Wildera, natychmiast go poznając, zrozumiał, że się go spodziewała. Była jednocześnie odległa i zakłopotana, jak widz zmuszony do oglądania kogoś, komu ma się zaraz zdarzyć wypadek. Wilder przypomniał sobie, że powiedział jednej z kobiecych bojówek, do kogo idzie.

– Jane, czekałaś na mnie. Czuję się zaszczycony.

– Wilder... nie mogę...

Zanim zdążył otworzyć usta, otworzyły się gwałtownie drzwi sąsiedniego mieszkania. Z nieskrywaną wrogością patrzył na Wildera doradca podatkowy z czterdziestego piętra i przesadnie umięśniony choreograf, z którym Wilder często ćwiczył piłką lekarską w sali na dziesiątym piętrze.

Widząc, że wszyscy ci ludzie byli przygotowani na jego wizytę, Wilder odwrócił się, żeby odejść, ale stwierdził, że drogę ma odciętą. Z hallu przy windach wyszła grupa sześciu lokatorów. Ubrani byli w dresy i białe tenisówki, i na pierwszy rzut oka wyglądali jak drużyna podstarzałych adeptów kulturystyki, trzymających maczugi z wypolerowanego drewna. Na czele tej starej, ale jarej trupy, składającej się z maklera, dwóch pediatrów i trzech wykładowców uczelni, stał Anthony Royal. Jak zwykle miał na sobie białą kurtkę safari, strój, który zawsze drażnił Wildera, coś, co mógł na siebie włożyć ekscentryczny komendant obozu albo dyrektor ogrodu zoologicznego. Oświetlenie na korytarzu podkreślało jego jasne włosy i wydobywało blizny na czole, które wieńczyły groźny wyraz jego twarzy zaskakującą linią błazeńskich znaków zapytania. Kiedy się zbliżał, chromowana laska w jego dłoni błysnęła jak szpada. Wilder patrzył na metalową rurkę, nie mogąc się doczekać, aż owinie ją wokół szyi Royala.

Doskonale zdając sobie sprawę, że znalazł się w pułapce, Wilder mimo to nie potrafił powstrzymać śmiechu na widok tego zwariowanego gangu. Kiedy nagle światło mrugnęło ostrzegawczo a potem zgasło całkowicie, Wilder przycisnął się do ściany, żeby przepuścić bojówkę. Drewniane pałki wystukiwały w ciemności koło niego dobrze wyćwiczone rytmy. Z otwartych drzwi mieszkania Jane Sheridan oślepiła go latarka.

Wokół Wildera trupa pałkarzy zaczynała swój występ. Pierwsze maczugi zawirowały w promieniu latarki. Bez żadnego ostrzeżenia poczuł na ramionach grad ciosów.

Wilder zdążył wyrwać pałkę jednemu z napastników, ale inni zwalili go na wyścielaną podłogę u stóp Anthony'ego Royala.

Kiedy się ocknął, leżał wyciągnięty na kanapie w hallu na parterze. Wokół niego świeciły fluoroscencyjne lampy, odbijające się w szklanych panelach sufitu. Ich bezcieniowy blask zdawał się płonąć bez końca gdzieś wewnątrz jego głowy. Dwaj spóźnieni mieszkańcy wieżowca czekali przy windach. Przyciskając do siebie teczki udawali, że nie widzą Wildera, którego najwidoczniej uznali za pijanego.

Czując obolałe barki, Wilder podniósł rękę i dotknął spuchniętego miejsca za prawym uchem.

Kiedy udało mu się wstać, odszedł od kanapy w stronę wejścia i oparł się o szklane drzwi. Rzędy zaparkowanych samochodów ginęły w ciemnościach, dość pojazdów, żeby go zabrać stąd w tysiąc i jedno miejsce. Wyszedł na chłodne nocne powietrze. Trzymając się za kark, spojrzał w górę na fasadę wieżowca. Prawie mógł odróżnić światła na trzydziestym siódmym piętrze. Poczuł nagłe zmęczenie, wywołane zarówno rozmiarami i masą budynku, jak i jego własną klęską. Nonszalancka i nieprzemyślana próba zdobycia wieżowca zakończyła się jego upokorzeniem. W pewnym sensie został odrzucony nie tyle przez Royala i jego towarzyszy, co przez sam budynek.

Opuściwszy wzrok zobaczył, że pięćdziesiąt stóp nad nim przygląda mu się z balkonu ich mieszkania jego żona Helen. Mimo poszarpanej odzieży i pokrwawionej twarzy męża, nie okazywała żadnej emocji, jakby go już nie poznawała.

7 Przygotowania do wyprowadzki

Wysoko w górze, na czterdziestym piętrze, szykowała się do wyprowadzki pierwsza para lokatorów.

Anthony Royal i jego żona pakowali się przez cały dzień. Po lunchu w ziejącej pustkami restauracji na trzydziestym piątym piętrze wrócili do swojego mieszkania, gdzie Royal spędził swoje, jak wiedział, ostatnie godziny w wieżowcu, likwidując pracownię. Teraz, kiedy nadszedł czas opuszczenia budynku, nie spieszył się i celowo przedłużał to ostatnie, rytualne zadanie.

Klimatyzacja przestała działać i brak jej znajomego pomruku, kiedyś źródła drobnej irytacji, powodował niepokój. Chociaż niechętnie, musiał teraz uznać to, czego przez ubiegły miesiąc starał się wbrew oczywistym faktom nie zauważać. Ten olbrzymi budynek, którego był jednym z twórców, umierał, jego funkcje życiowe zawodziły jedna po drugiej: na skutek awarii pomp spadło ciśnienie wody, wyłączyły się elektryczne podstacje na piętrach, windy utknęły między piętrami.

Jakby na znak solidarności odezwały się stare kontuzje nóg i kręgosłupa. Royal oparł się o rysownicę czując, jak ból promieniuje od kolan do krocza. Ściskając chromowaną laskę, wyszedł z pracowni do salonu, lawirując między okrytymi pokrowcami stołami i fotelami. W ciągu roku, jaki upłynął od wypadku, stwierdził, że jedynie systematyczne ćwiczenia chronią go przed bólem, brakowało mu gry w squasha z Robertem Laingiem. Podobnie jak jego lekarze, Laing uprzedzał go, że wyleczenie kontuzji odniesionych w wypadku samochodowym zajmie dużo czasu, ale ostatnio Royal zaczął podejrzewać, że te kontuzje odgrywają jakąś własną pokrętną rolę.

Trzy walizki, które spakował rano, stały gotowe w przedpokoju. Royal spojrzał na nie, mając przez chwilę nadzieję, że należą do kogoś innego. Walizki były jeszcze nie używane i eksponowana funkcja, jaka miała im wkrótce przypaść w jego osobistej Dunkierce, tylko powiększała upokorzenie.

Royal wrócił do pracowni i dalej zdejmował architektoniczne rysunki i szkice przypięte do ścian. Tej małej pracowni, przerobionej z sypialni, używał podczas pracy nad osiedlem i zbiór książek, planów, zdjęć i rysunków, który początkowo miał czymś wypełnić okres rekonwalescencji, wkrótce stał się rodzajem prywatnego muzeum. Większość planów i szkiców została usunięta po wypadku przez jego kolegów, ale w dziwny sposób pozostałe rzuty elewacji frontowych sali koncertowej i studiów telewizyjnych oraz fotografia jego samego, stojącego na dachu wieżowca w dniu przekazania go do użytku, przedstawiały bardziej rzeczywisty świat niż budynek, z którego miał się teraz wyprowadzić.

Decyzja opuszczenia mieszkania, już i tak zbyt długo odkładana, nie była łatwa. Przy całej zawodowej identyfikacji z wieżowcem, udział Royala w jego projektowaniu był stosunkowo niewielki, ale na jego nieszczęście wiązał się z tymi fragmentami, które najbardziej odczuwały wrogość mieszkańców: pasażem handlowym na dziesiątym piętrze, szkołą podstawową, tarasem widokowym z ogródkiem zabaw dziecięcych oraz urządzeniem poczekalni przy windach. Royal z największą starannością dobierał fakturę ścian, teraz pokrytych tysiącami obelżywych napisów. Może było to głupie, ale brał je osobiście do siebie, zwłaszcza, że zdawał sobie sprawę z wrogości sąsiadów. Metalowa laska i biały wilczur nie były już tylko teatralnymi rekwizytami.

W zasadzie bunt tych zamożnych ludzi przeciwko budynkowi, który wspólnie nabyli, nie różnił się od dziesiątków dobrze znanych robotniczych wystąpień przeciwko komunalnym blokom, mającym dość często miejsce w latach powojennych. Mimo to Royal bardzo osobiście reagował na te akty wandalizmu. Załamanie się struktury społecznej budynku odbierał jako rebelię przeciwko sobie, do tego stopnia, że w dniach po niewyjaśnionej śmierci jubilera spodziewał się napaści na siebie.

Później jednak rozpad wieżowca zaczął umacniać w nim wolę przetrwania. Próba budynku, który pomagał projektować, była próbą jego samego. Poza tym miał świadomość, że zaczyna się kształtować wokół niego nowy porządek społeczny. Royal żywił pewność, że jakiegoś rodzaju sztywna hierarchia stanowiła o sukcesie lub klęsce tych olbrzymich budynków. Jak często podkreślał w rozmowach z Anne, biurowce mieszczące po trzydzieści tysięcy pracowników funkcjonowały gładko przez dziesięciolecia dzięki hierarchii społecznej, sztywnej i sformalizowanej niczym w mrowisku, z przypadkami przestępstw, rozruchów społecznych i drobnych wykroczeń bliskich zeru. Żywiołowe, ale niewątpliwe, wyłanianie się tego nowego porządku społecznego, opierającego się na małych enklawach plemiennych, fascynowało Royala. Z początku był zdecydowany pozostać, niezależnie od tego, co będzie się działo, i od skierowanych przeciwko niemu aktów wrogości, w nadziei odegrania roli ojca chrzestnego tego nowego ładu. Prawdę mówiąc, tylko to powstrzymywało go od zawiadomienia swoich dawnych kolegów o narastającym w budynku chaosie. Jak to sobie wielokrotnie powtarzał, obecny rozpad wieżowca może równie dobrze oznaczać jego sukces, jak i klęskę. Nieświadomie otworzył przed tymi ludźmi drogę ucieczki w nowe życie i stworzył im wzorzec organizacji społecznej, która stanie się paradygmatem wszystkich przyszłych wysokościowców.

Jednak te marzenia o wskazaniu dwóm tysiącom mieszkańców drogi do nowej Jerozolimy nie miały żadnego znaczenia dla Anne. Kiedy zaczęły się awarie klimatyzacji, elektryczności, a poruszanie się po budynku w pojedynkę stało się niebezpieczne, oświadczyła Royalowi, że muszą się wyprowadzić. Grając na jego lęku o nią i poczuciu winy za rozkład wieżowca, wkrótce go do tego przekonała.

Ciekaw, jak sobie radzi z pakowaniem, Royal wszedł do sypialni żony. Na podłodze i na toaletce stały pootwierane dwa kufry oraz kolekcja dużych i małych walizek, szkatułek i pudeł z kosmetykami jak na wystawie w sklepie. Anne pakowała albo rozpakowywała jedno z tych pudeł, siedząc przed toaletką. Royal zauważył ostatnio, że żona celowo otacza się lustrami, jakby to powielanie swojej osoby dawało jej jakieś poczucie bezpieczeństwa. Anne zawsze uważała życzliwość świata za coś naturalnego i kilka ostatnich tygodni, nawet we względnym bezpieczeństwie penthouse'u, było dla niej ciężkim przeżyciem. Zaczęły się znów ujawniać jej dziecinne cechy charakteru, jakby dostosowywała swoje zachowanie do przeciągającej się herbatki u szalonego kapelusznika, do udziału w której została zmuszona niczym Alicja z Krainy Czarów. Jazda w dół do restauracji na trzydziestym piątym piętrze stała się codzienną torturą i jedynie perspektywa wyprowadzenia się z wieżowca na zawsze utrzymywała ją przy życiu.

Wstała i objęła Royala. Jak zwykle bez zastanowienia dotknęła wargami blizny na jego czole, jakby usiłowała odczytać skrót tych dwudziestu pięciu lat, które ich dzieliły, klucz do tej nieznanej jej części życia Royala. Kiedy dochodził do siebie po wypadku, siedząc przy oknie penthouse'u albo ćwicząc na maszynie, zauważył, jak bardzo ją intrygowały jego rany.

– Ale bałagan. Będę gotowa za godzinę – powiedziała z nadzieją, patrząc na masę walizek. – Czy dzwoniłeś po taksówkę?

– Będą nam potrzebne przynajmniej dwie. Nie chcą teraz czekać, nie ma sensu dzwonić, póki nie będziemy wychodzić.

Oba ich samochody, zaparkowane w pierwszym rzędzie przy budynku, zostały zdemolowane przez lokatorów z dołu, a szyby potłuczone spadającymi butelkami.

Anne wróciła do pakowania.

– Najważniejsze, że się wyprowadzamy. Powinniśmy to zrobić miesiąc temu, kiedy mówiłam. Nie rozumiem, jak ktoś może tu mieszkać.

– Anne, przecież się wyprowadzamy.

– Nareszcie. I dlaczego nikt nie wezwał policji? Albo nie poskarżył się właścicielowi?

– To my jesteśmy właścicielami.

Royal odwrócił głowę, ukrywając gasnący uśmiech. Patrzył, jak za oknami światło gaśnic za kurtyną sąsiednich budynków. Każdą krytykę ze strony Anne przyjmował nieuchronnie jako uwagę pod swoim adresem.

Jak już teraz wiedział, jego młoda żona nie mogła czuć się dobrze w specyficznej atmosferze wieżowca. Była jedyną córką prowincjonalnego przemysłowca, wychowaną w izolowanym świecie wielkiej wiejskiej posiadłości – dokładnej kopii zamku nad Loarą, utrzymywanej w iście dziewiętnastowiecznym stylu z pełną obsadą służby. Tymczasem w wieżowcu służbę stanowiła niewidzialna armia termostatów i czynników wilgotności oraz skomputeryzowane windy, pełniące swoje funkcje w znacznie bardziej skomplikowanej i abstrakcyjnej wersji stosunku państwo – służba. Jednak w świecie Anne chodziło nie tylko o to, żeby praca została wykonana, ale żeby było widać, że jest wykonywana. Postępujący rozkład infrastruktury budynku i ciągłe konfrontacje między rywalizującymi grupami mieszkańców stanowiły dla niej zbyt duże obciążenie, potęgując głęboko zakorzenione poczucie lęku o zachowanie dominującej pozycji w świecie. Obecne kłopoty, wynikające z życia w wieżowcu, odsłoniły je bezlitośnie. Spotkawszy Anne po raz pierwszy, Royal uznał za naturalne jej absolutne poczucie pewności siebie, ale w rzeczywistości było wprost przeciwnie, Anne, daleka od pewności siebie, czuła potrzebę nieustannego potwierdzania swojej pozycji na szczycie drabiny. W porównaniu z nią, ludzie z jej otoczenia, którzy wszystko zawdzięczali własnym talentom, byli wzorem dobrego samopoczucia.

Kiedy wprowadzali się do wieżowca jako jego pierwsi mieszkańcy, oboje uważali, że ich tutejsze mieszkanie będzie tylko dogodnym *pied-a-terre*, związanym z pracą Royala przy osiedlu. Jak tylko znajdą dom w Londynie, mieli się wyprowadzić. Tymczasem Royal zauważył, że stale odkłada decyzję o przeprowadzce. Zaintrygowało go życie w tym pionowym miasteczku i ludzie, których pociągał jego gładki funkcjonalizm. Jako pierwszy lokator oraz właściciel najlepszego i najwyżej położonego mieszkania, uważał się za pana na włościach, zapożyczając ze słownika Anne określenie, którego nie lubił. Jego poczucie fizycznej wyższości, jako byłego amatorskiego mistrza tenisowego (wprawdzie tylko na kortach ziemnych, ale jednak), siłą rzeczy osłabło z biegiem lat, ale teraz ożyło dzięki obecności pod nim tylu ludzi, na których znacznie skromniejszych mieszkaniach wznosiło się dumnie jego własne.

Nawet po wypadku, kiedy został zmuszony do sprzedaży swojego udziału w firmie i poruszania się na wózku w obrębie penthouse'u, nie przestał doznawać tego poczucia odnowionej fizycznej wyższości. Podczas kilkumiesięcznej rekonwalescencji, w miarę jak jego rany się goiły a ciału wracała siła, każdy nowy lokator w pewien sposób symbolizował coraz sprawniejsze mięśnie i ścięgna, coraz szybszy refleks, jakby każdy z nich składał niewidzialna daninę zdrowiu Royala.

W przeciwieństwie do tego dla Anne każdy nowy przybysz stanowił źródło frustracji i irytacji. Czuła się najlepiej, kiedy mieszkali sami w całym budynku i zachowywała się, jakby tak miało pozostać. Jeździła windami, niby bogato wyścielanymi wagonikami prywatnej kolejki górskiej, pływała samotnie w niezmąconych wodach dwóch basenów i przechadzała się po pasażu handlowym, w poczuciu, że odwiedza swój osobisty bank, fryzjera i supermarket. Kiedy pojawił się ostatni z dwóch tysięcy mieszkańców i zajął miejsce pod nimi, Anne była gotowa do wyprowadzki.

Tymczasem Royala pociągali nowi sąsiedzi, będący okazami purytańskiej etyki pracy, jakich istnienia wcześniej nawet nie podejrzewał. Z kolei wiedział od Anne, że sąsiedzi uważali go za postać zagadkową i wyniosłą, ofiarę wypadku samochodowego na wózku, mieszkającą na dachu wieżowca w swobodnym związku z bogatą i młodszą o połowę żoną, której chętnie pozwalał wychodzić z innymi mężczyznami. Mimo tej symbolicznej kastracji Royala uważano za kogoś, kto w pewien sposób dzierży klucze do całego budynku. Blizny na czole i chromowana laska, nieodłączna biała kurtka, którą nosił jak tarczę strzelniczą, wszystko to stanowiło elementy szyfru, skrywającego prawdziwy związek między projektantem tego ogromnego budynku a jego onieśmielonymi mieszkańcami. Nawet stale wiszące w powietrzu zdrady Anne były częścią tego samego systemu ironii, który odpowiadał zamiłowaniu jej męża do ryzykownych sytuacji, pozwalających postawić wszystko na jedną kartę.

Royala interesowało oddziaływanie tego wszystkiego na jego sąsiadów, zwłaszcza na ekscentrykow w rodzaju Richarda Wildera, który gotów był podjąć wspinaczkę na Everest, uzbrojony jedynie w poczucie złości, że góra jest większa od niego, czy doktora Lainga, wyglądającego całymi dniami z balkonu w miłym przekonaniu, że jest całkowicie niezależny od wieżowca, podczas gdy w istocie był chyba jego najbardziej autentycznym mieszkańcem. Laing przynajmniej znał swoje miejsce i przestrzegał reguł, Wilderowi trzy wieczory temu musieli udzielić krótkiej, ale bolesnej lekcji.

Myśląc o próbie wtargnięcia Wildera na wyższe piętra – tylko jednej z serii podobnych – Royal wyszedł z sypialni i sprawdził zasuwy na drzwiach wejściowych.

Anne czekała, podczas gdy on stał w pustym przedpokoju. Słychać było nieustanny groźny pomruk z niższych pięter, przenoszący się szybami wind.

– Czy to wszystko, co zabierasz? – spytała Anne, wskazując trzy walizki Royala.

– Na razie. Wrócę później po resztę.

– Wrócisz? Po co? A może wolisz tu zostać?

– Pierwszy przybył, ostatni wyszedł – mruknął Royal bardziej do siebie niż do żony.

– Czy to jakiś żart?

– Ależ skąd.

Anne oparła dłoń na jego piersi, jakby szukała tam starej rany.

– Wierz mi, że to koniec. Przykro mi to mówić, ale ten pomysł się nie sprawdził.

– Może i nie. – Royal przyjmował jej współczucie z dozą sceptycyzmu. Nie zdając sobie z tego sprawy, Anne często grała na jego poczuciu porażki, przestraszona nową determinacją Royala, żeby się sprawdzić, jego przekonaniem, że budynek może jeszcze potwierdzić swoją użyteczność. W dodatku sąsiedzi nieco zbyt chętnie zaakceptowali go jako przywódcę. Udziały Royala w konsorcjum zostały wykupione głównie dzięki prowizjom, które jej ojciec kierował w jego stronę, o czym Anne nigdy nie pozwalała mu zapomnieć, nie tyle, żeby męża upokorzyć, co żeby mu przypomnieć o swojej wartości. W każdym razie, rzecz została wypowiedziana. Zrobił karierę, to prawda, w zbyt wielu znaczeniach tego słowa. W jakiś szalony sposób jego wypadek mógł być próbą wyrwania się z pułapki.

Ale wszystko to teraz należało do przeszłości. Royal wiedział, że najwyższy czas stąd odejść. W ostatnich dniach życie w wieżowcu stało się nie do zniesienia. Po raz pierwszy odczuli to na sobie mieszkańcy najwyższych pięter. Trwała postępująca erozja wszystkiego, powolna psychologiczna lawina znosząca ich w dół.

Na pozór życie w wieżowcu toczyło się swoją koleją – większość lokatorów wyruszała rano do pracy, supermarket był nadal otwarty, banki i salon fryzjerski funkcjonowały normalnie. Mimo to prawdziwą sytuację wewnętrzną wyznaczało pełne napięcia współistnienie trzech zbrojnych obozów. Nastąpiło pełne usztywnienie pozycji i nie było już prawie żadnych kontaktów między górną, środkową i dolną grupą. Jeszcze rano można było swobodnie poruszać się po budynku, ale po południu stawało się to coraz trudniejsze. Po zmierzchu jakiekolwiek ruchy były już niemożliwe. Bank i supermarket zamykano o trzeciej. Szkoła podstawowa przeniosła się ze swoich zdemolowanych pomieszczeń do dwóch mieszkań na siódmym piętrze. Rzadko więc widziano jakieś dzieci powyżej dziesiątego piętra, nie mówiąc już o ogródku zabaw na dachu, który Royal z taką troską dla nich zaprojektował. Basen na dziesiątym piętrze był teraz na wpół wypełniony żółknącą wodą i śmieciami. Jeden z kortów do squasha został zamknięty, a pozostałe trzy zapełniły śmieci i połamane meble szkolne. Z dwudziestu wind trzy były popsute na dobre, a pozostałe stawały się wieczorem prywatną własnością rywalizujących grup, które zdołały nimi zawładnąć. Pięć pięter pozostawało bez elektryczności. Wieczorem na fasadzie wieżowca występowały ciemne pasma, jak martwe pola w gasnącym mózgu.

Na szczęście dla Royala i jego sąsiadów sytuacja na górnych piętrach nie była tak tragiczna. Restauracja była wieczorem nieczynna, ale codziennie serwowano jaki taki lunch przez kilka godzin, kiedy nieliczna obsługa mogła swobodnie przyjść i wyjść z budynku. Jednak dwaj kelnerzy już zrezygnowali z pracy i Royal domyślał się, że kucharz i jego żona wkrótce pójdą w ich ślady. Basen na trzydziestym piątym piętrze nadawał się do użytku, ale poziom wody się obniżył i podobnie jak w ich mieszkaniu, zależał od kaprysów elektrycznych pomp i zbiorników na dachu.

Z okna salonu Royal spojrzał w dół na parking. Wiele samochodów stało tam od tygodni – przednie szyby wybite spadającymi butelkami, wnętrza pełne śmieci, przysiadły na przebitych oponach w morzu odpadków, otaczającym budynek jak powiększająca się plama.

Ten namacalny wskaźnik upadku stanowił jednocześnie miarę stopnia akceptacji tego procesu erozji przez mieszkańców bloku. Chwilami Royal podejrzewał, że jego sąsiedzi podświadomie mieli nadzieję, że rozpad wszystkiego posunie się jeszcze dalej. Royal zauważył, że biuro administratora nie jest już oblegane przez oburzonych lokatorów. Nawet jego sąsiedzi z ostatniego piętra, którzy na początku byli aż nazbyt skorzy do wszelkich skarg, teraz nigdy nie krytykowali budynku. Pod nieobecność administratora (wciąż leżącego w stanie zapaści psychicznej w swoim mieszkaniu na parterze) jego szczątkowy dwuosobowy personel, złożony z żony dźwiękowca z drugiego piętra i żony pierwszego skrzypka z trzeciego, zasiadł stoicko przy swoich biurkach w hallu wejściowym, nieświadom postępującego nad ich głowami rozpadu.

Royala interesowało zwłaszcza, dlaczego lokatorzy zaczęli się tak po barbarzyńsku odnosić do swojego budynku, celowo dewastując windy i system klimatyzacji, przeciążając sieć elektryczną. Ten brak troski o własną wygodę był odbiciem przesunięć w sferze myślowych priorytetów, a może i zalążkiem nowego porządku społecznego i psychologicznego, którego Royal oczekiwał. Przypomniał sobie napaść na Wildera, który śmiał się radośnie, kiedy grupa pediatrów i wykładowców okładała go maczugami, niczym drużyna błazeńskich gimnastyków. Royal uważał cały epizod za groteskowy i podejrzewał, że w jakiś zawiły sposób Wilder był zadowolony, że w stanie półprzytomnym został wrzucony do windy.

Royal przechadzał się między ubranymi w pokrowce meblami. Uniósł laskę i ciął stęchłe powietrze tym samym ciosem, którego użył przeciw Wilderowi. W każdej chwili może tu przybyć batalion policji i odwieźć ich do najbliższego aresztu. A może wcale nie? Na korzyść lokatorów działał wyjątkowo samowystarczalny charakter wieżowca, mająca własną administracją enklawa w większej prywatnej domenie osiedla. Administrator i jego personel, pracownicy supermarketu, banku i salonu fryzjerskiego – wszyscy byli mieszkańcami budynku, nieliczne osoby z zewnątrz odeszły albo zostały wyrzucone. Konserwatorzy urządzeń wieżowca podlegali administratorowi, ale widocznie żadnych poleceń nie otrzymywali. Może nawet powiedziano im, żeby się nie pokazywali, bo śmieciarze nie przyjeżdżali od wielu dni i liczne zsypy były zapchane.

Mimo narastającego wokół nich chaosu, lokatorzy okazywali coraz mniejsze zainteresowanie światem zewnętrznym. W hallu wejściowym walały się stosy nie sortowanej korespondencji. Co do śmieci wokół budynku, potłuczonych butelek i puszek, to zaczęły się one zlewać z otoczeniem. Nawet uszkodzone samochody były do pewnego stopnia maskowane

stosami materiałów budowlanych, drewnianymi szalunkami i kupami piasku, które nie zostały jeszcze uprzątnięte. Poza tym, w ramach podświadomej konspiracji zmierzającej do wykluczenia świata zewnętrznego, wieżowca nie odwiedzali żadni goście. Royal i Anne od miesięcy nie zaprosili nikogo z przyjaciół.

Royal parzył, jak jego żona porusza się niezdecydowanie po swoim pokoju. Pomagała się jej pakować Jane Sheridan, jej najbliższa przyjaciółka. Obie kobiety przenosiły rząd wieczorowych sukien z szafy do kufrów, jednocześnie przekładając niepotrzebne spodnie i koszule. W całej tej działalności trudno było orzec, czy pakują się w przeddzień wyjazdu, czy rozpakowują po przyjeździe.

– Anne, ty przyjechałaś czy wyjeżdżasz? – spytał Royal. – W ten sposób dzisiaj się nie pozbieramy.

Anne bezradnie wskazała do połowy zapełnione kufry. – To klimatyzacja. Nie potrafię zebrać myśli.

– Nie wydostaniecie się stąd teraz, nawet gdybyście chcieli – powiedziała Jane. – Według mnie jesteśmy tu unieruchomieni. Wszystkie windy zostały zatrzymane na innych piętrach.

– Co takiego? Słyszałeś? – Anne spojrzała na Royala, jakby te akty piractwa wynikały z błędnego zaprojektowania przez niego korytarzy. – Dobrze, wyprowadzimy się jutro rano. A co zjedzeniem? Restauracja będzie zamknięta.

Nigdy nie jadali w domu, ze strony Anne był to gest pogardy pod adresem sąsiadek, nieustannie przygotowujących jakieś wymyślne posiłki. W lodówce mieli tylko jedzenie dla psa.

Royal przyjrzał się sobie w lustrze i obciągnął białą kurtkę. W półmroku jego odbicie miało jakąś prawie widmową nieostrość, co sprawiało, że wyglądał jak oświetlony nieboszczyk. – Coś wymyślimy. – Dziwna odpowiedź, uświadomił sobie, zakładająca, że są jeszcze inne źródła żywności poza supermarketem. Spojrzał z góry na pulchną figurę Jane Sheridan, która, widząc wyraz przygnębienia na twarzy Royala, uśmiechem dodała mu otuchy. Royal wziął na siebie obowiązek opiekowania się tą sympatyczną kobietą od czasu śmierci jej charta.

– Za godzinę windy mogą być wolne – powiedział. – Pojedziemy do supermarketu. – Pomyślawszy o psie, prawdopodobnie śpiącym na swoim posłaniu w penthousie, postanowił wyprowadzić go na dach.

Anne zaczęła opróżniać do połowy zapełnione kufry. Wyglądała, jakby nie bardzo wiedziała, co robi, jakby znaczna część jej umysłu została wyłączona. Choć stale się na coś skarżyła, sama nigdy nie zadzwoniła do administracji. Może uważała, że to coś poniżej jej godności, ale nigdy też nie zrobiła najmniejszej krytycznej uwagi w obecności znajomych spoza wieżowca.

Myśląc o tym, Royal zauważył, że telefon przy jej łóżku został wyłączony z gniazdka, a sznur jest starannie owinięty wokół słuchawki.

Obchodząc mieszkanie przed wyprowadzeniem psa, zobaczył, że trzy pozostałe telefony, też są odłączone. Royal zrozumiał, dlaczego przez ostatni tydzień nikt do nich nie dzwonił i poczuł dalekie ciepło bezpieczeństwa, płynące z wiedzy, że i w przyszłości nikt już do nich nie zatelefonuje. Domyślał się już, że wbrew wszystkim swoim zamiarom, nie wyprowadzą się stąd ani następnego ranka, ani żadnego innego.

8 Drapieżne ptactwo

Z otwartego okna penthouse'u Royal obserwował wielkie ptaki, gromadzące się na nadbudówkach wind w odległości pięćdziesięciu stóp. Te mewy z nieznanego mu gatunku przywędrowały w ciągu poprzednich miesięcy z ujścia rzeki i zaczęły zbierać się między kominami wentylacyjnymi i zbiornikami na wodę, zajmując tunele opuszczonego ogródka zabaw dziecięcych. Podczas swojej rekonwalescencji obserwował ich inwazję, siedząc w fotelu na kółkach na swoim prywatnym tarasie. Potem, kiedy zainstalował sobie aparat do ćwiczeń, ptaki kuśtykały po tarasie, kiedy on ćwiczył. W pewien sposób przyciągała je biała kurtka i jasne włosy Royala, tak bliskie w tonacji do ich własnego upierzenia. Może uważały go za jednego z nich, okaleczonego starego albatrosa, który schronił się na tym odległym dachu nad rzeką? Royalowi podobał się ten pomysł i często się nad nim zastanawiał.

Drzwi balkonowe kołysały się w podmuchach podwieczornego wiatru. Wilczur uciekł i polował gdzieś na liczącym pięćset stóp długości tarasie widokowym. Teraz, kiedy lato dobiegało końca, mało kto przychodził na dach. Pozostała po przyjęciu markiza, wyszargana na deszczu, leżała w rynsztoku pod balustradą. Mewy, złożywszy ciężkie skrzydła, przechadzały się wśród serowych pałeczek, rozsypanych wkoło kartonu. Palmami w donicach nikt się nie zajmował od miesięcy i cały dach coraz bardziej przypominał jakiś drapieżny ogród.

Royal zszedł na taras. Znajdował przyjemność we wrogich spojrzeniach ptaków, siedzących na nadbudówkach wind. Nad przewróconymi krzesłami i marniejącymi palmami, nad porzuconymi, kosztownymi okularami, z których oprawek ktoś już wydłubał brylanty, unosiła się atmosfera odradzającego się barbarzyństwa. Co przyciągało ptaki do tego odosobnionego świata na dachu? Kiedy Royal się zbliżył, kilka mew zerwało się w powietrze i spadło w dół, żeby złapać resztki wyrzucone z balkonu o dziesięć pięter niżej. Ptaki żywiły się odpadkami wyrzucanymi na parking, ale Royal wolał myśleć, że ich powody do wybrania dachu były podobne do jego własnych, i że przyleciały tutaj z jakiegoś archaicznego krajobrazu, zwabione tym samym przeczuciem świętej przemocy, która miała tu nadejść. Bojąc się, że mogą odlecieć, często przynosił im jedzenie, jakby chciał je przekonać, że warto poczekać.

Pchnął zardzewiałą bramkę do ogródka zabaw i z niszy dla ozdobnej latarni wyjął pudełko pokarmu z prawa należącego się psu. Royal zaczął rozrzucać grudki wśród betonowych tuneli i geometrycznych form rzeźb-zabawek. Projektowanie tego ogródka sprawiało mu szczególną przyjemność i żałował, że dzieci już z niego nie korzystają. Przynajmniej był otwarty dla ptaków. Mewy krążyły wokół niego niecierpliwie, ich silne skrzydła omal nie wytrącały mu pudełka z rąk.

Opierając się na lasce, Royal omijał kałuże na betonie. Zawsze chciał mieć swoje własne ZOO z paroma wielkimi kotami, i co najważniejsze, ogromną ptaszarnię ze wszystkimi gatunkami ptaków. W swoim życiu naszkicował wiele projektów ogrodu zoologicznego, w tym jeden, ironicznie, w kształcie wieżowca, w którym ptaki mogłyby swobodnie wybierać te strefy nieba, w których normalnie zamieszkiwały. Ogrody zoologiczne i architektura wielkich konstrukcji zawsze były szczególną pasją Royala.

W rynience ściekowej leżał, tam gdzie dopadły go ptaki, nieżywy i mokry syjamski kot. Mały zwierzak wdrapał się kawał drogi przewodem wentylacyjnym z ciepłego i wygodnego mieszkania hen w dole i ujrzał światło dzienne na kilka sekund, zanim nie zabiły go ptaki. Obok kota leżała nieżywa mewa. Royal podniósł ją, zdziwiony jej ciężarem i wziąwszy rozbieg z siłą rzucił ptaka poza dach. Spadał prawie bez końca, aż wreszcie roztrzaskał się jak biała bomba na masce zaparkowanego samochodu.

Nikt go nie widział, ale Royal i tak by się nie przejął. Przy całym zainteresowaniu zachowaniem sąsiadów, nie mógł powstrzymać się od patrzenia na nich z góry. Pięcioletnie małżeństwo z Anne wyposażyło go w nowy zestaw przesądów. Niechętnie przyznawał, że pogardza współlokatorami za sposób, w jaki z taką gotowością wpasowali się w wyznaczone im przegródki w wieżowcu, za ich przerośnięte poczucie obowiązku i brak fantazji.

Ponad wszystko jednak pogardzał nimi za ich dobry gust. Ten budynek był pomnikiem dobrego smaku, dobrze zaprojektowanych kuchni, wyszukanych szczegółów i faktur, eleganckich i broń Boże ostentacyjnych mebli, krótko mówiąc, całej wrażliwości estetycznej, jaką ci wykształceni i zamożni ludzie wynieśli ze szkół wzornictwa przemysłowego, wszystkich nagradzanych stylów dekoracji wnętrz utwierdzonych w ostatniej ćwierci dwudziestego wieku. Royal odrzucał tę prawomyślność ludzi inteligentnych. Odwiedzając mieszkania sąsiadów, odczuwał fizyczny wstręt na widok linii nagrodzonego dzbanka do kawy, starannie dobranej palety barw, dobrego gustu i pomysłowości, które niczym król Midas przekształciły wszystko w tych mieszkaniach w idealne połączenie funkcji i artyzmu. W pewnym sensie ludzie ci byli awangardą zamożnego i wykształconego proletariatu przyszłości, upakowaną w tych drogich mieszkaniach, wśród eleganckich mebli i wyszukanej wrażliwości, ale bez możliwości ucieczki. Royal dałby wszystko za jedną kiczowatą ozdóbkę nad kominkiem, jedną mniej niż śnieżnobiałą umywalkę, jeden promyk nadziei. Dzięki Bogu, nareszcie uciekali z tego pozłacanego więzienia.

Po obu jego stronach mokry od deszczu beton przechodził w wieczorną mgłę. Nie widać było ani śladu białego wilczura. Royal doszedł do połowy dachu. Mewy siedziały na kominach wentylacyjnych i nadbudówkach, przyglądając mu się swoimi niezwykle czujnymi oczami. Pomyślawszy, że może już zjadły psa, Royal odtrącił nogą przewrócone krzesło i skierował się w stronę schodów, nawołując wilczura po imieniu.

W niewielkiej odległości od prywatnego tarasu na południowym krańcu dachu stała przy balustradzie niemłoda kobieta w długim futrze. Drżąc na całym ciele wpatrywała się w srebrzysty grzbiet rzeki za osiedlem. Holownik ciągnął trzy barki w górę rzeki, a wzdłuż północnego brzegu płynęła policyjna łódź patrolowa.

Zbliżywszy się, Royal poznał wdowę po jubilerze. Czy czekała na przybycie policji, w jakiś perwersyjny sposób zbyt dumna, żeby ją wezwać? Miał spytać, czy nie widziała jego owczarka, ale zrozumiał, że nie otrzyma odpowiedzi. Miała nienaganny makijaż, ale spojrzenie twarde jak ból, a poprzez puder i róż przebijał wyraz skrajnej wrogości. Royal mocniej ścisnął laskę. Dłonie kobiety były niewidoczne, ale gotów był uwierzyć, że pod futrem jej upierścienione palce trzymają parę obnażonych noży. Nagle z jakiegoś powodu Royal poczuł pewność, że ta kobieta była odpowiedzialna za śmierć męża, i że w każdej chwili może się na niego rzucić i zepchnąć go z dachu. Jednocześnie ze zdziwieniem poczuł, że chce jej dotknąć, objąć ją ramieniem. Odezwał się w nim jakiś zbłąkany instynkt seksualny. Przez chwilę odczuł groteskową pokusę, żeby się przed nią obnażyć.

– Szukam owczarka Anne – odezwał się niepewnie. Kiedy nic nie odpowiedziała, dodał: – Postanowiliśmy zostać.

Zbity z tropu swoją reakcją na spotkanie z tą opłakującą męża kobietą, Royal odwrócił się i zszedł schodami piętro niżej. Mimo bólu w nogach szedł szybko korytarzem, uderzając laską o ściany.

Dochodząc do środkowego hallu usłyszał wyraźnie rozpaczliwe ujadanie swojego psa, dobiegające z szybu najbliższej windy pospiesznej. Przycisnął czoło do okienka w drzwiach. Winda z warczącym i rzucającym się owczarkiem stała zablokowana na piętnastym piętrze. Royal słyszał ciężkie uderzenia metalowego pręta o ściany i podłogę oraz głosy trzech napastników – w tym jednej kobiety – katujących biedne zwierzę.

Kiedy skowyt psa ucichł, winda wreszcie zareagowała na wezwanie. Kabina dojechała na najwyższe piętro i drzwi otworzyły się, ukazując ledwo żywego psa czołgającego się po zakrwawionej podłodze. Łeb i grzbiet zwierzęcia spływały krwią, a pęki sierści przywarły do ścian windy.

Royal spróbował pogłaskać psa, ale ten na widok laski mało go nie ugryzł. Wkoło zebrała się grupa sąsiadów, uzbrojonych w co kto miał pod ręką, rakiety tenisowe, hantle i laski. Gestem odsunął ich przyjaciel Royala, ginekolog nazwiskiem Pangbourne, który mieszkał tuż przy hallu. Umawiał się z Anne na basen i często bawił się z psem na dachu.

– Niech go obejrzę... Biedaku, te dzikusy mało cię nie zabiły. – Doktor zręcznie wcisnął się do kabiny i zaczął uspokajać psa. – Przeniesiemy go do twojego mieszkania, Royal. A potem proponuję, żebyśmy porozmawiali o windach.

Pangbourne ukląkł na podłodze, wydając serię dziwnych gwizdnięć. Od tygodni ginekolog namawiał Royala do manipulacji przy systemie bezpieczników elektrycznych, żeby odegrać się na niższych piętrach. Takie podejrzenie o władzę nad wieżowcem stanowiło główne źródło autorytetu Royala wśród jego sąsiadów, chociaż kto jak kto, ale Pangbourne chyba nie zrobiłby z niej użytku. Swoimi miękkimi dłońmi i manierami rodem z pokoju przyjęć ginekolog z lekka wprawiał Royala w zakłopotanie, jakby mógł w każdej chwili ułożyć rozmówcę w kompromitującej pozycji. W rzeczywistości Pangbourne należał do nowej generacji ginekologów, którzy nigdy nie dotykają swoich pacjentek, nie mówiąc już o przyjmowaniu porodu. Jego specjalnością była komputerowa analiza nagranych przy porodzie krzyków, na podstawie których potrafił orzec nieskończoną liczbę przyszłych niedomagań. Badał te taśmy niczym dawny czarownik wróżący z wnętrzności zwierząt. Charakterystyczne, że jedynym romansem Pangbourne'a w wieżowcu był związek z laborantką z drugiego piętra, szczupłą małomówną brunetką, która najpewniej spędzała życie na dręczeniu małych zwierzątek. Pangbourne zerwał ten związek zaraz po pierwszych zamieszkach.

Niewątpliwie jednak miał właściwe podejście do skatowanego psa. Royal przyglądał się, jak ginekolog uspakaja psa i bada jego rany. Trzymał jego pysk w swoich białych dłoniach, jakby przed chwilą uwolnił biedne zwierzę z łożyska. Razem na wpół zanieśli, na wpół zaciągnęli owczarka do mieszkania Royala.

Na szczęście Anne i Jane Sheridan wybrały się do supermarketu na dziesiątym piętrze, skorzystawszy z jedynej windy pozostawionej do ogólnego użytku.

Pangbourne ułożył psa na przykrytej pokrowcem kanapie.

– Dobrze, że pan tam był – powiedział Royal. – Nie jest pan w pracy?

Pangbourne głaskał opuchniętą głowę owczarka delikatnymi, zakrwawionymi dłońmi.

– Prowadzę konsultacje przed południem dwa razy w tygodniu, to mi wystarcza, żeby przesłuchać nowe nagrania. Poza tym pełnię dyżur tutaj. – Spojrzał znacząco na Royala. – Na pańskim miejscu miałbym oko na żonę, jeżeli nie chce pan, żeby ona...

– Słuszna uwaga. Czy nie myślał pan nad tym, żeby się wyprowadzić? Warunki tutaj...

Ginekolog zrobił minę, jakby nie był pewien, czy Royal mówi poważnie.

– Przecież dopiero się wprowadziłem. Dlaczego miałbym ustępować przed tymi ludźmi? – powiedział, wskazując wymownie zakrwawionym palcem podłogę.

Pozostając pod wrażeniem determinacji tego wykwintnego i pedantycznego człowieka w obronie swojego terytorium, Royal odprowadził go do drzwi, dziękując mu za pomoc i obiecując omówić z nim sprawę sabotażu wind. Przez następne pół godziny obmywał rany owczarka. Chociaż pies zaczął usypiać, plamy krwi na białym pokrowcu wprawiały Royala w coraz większy niepokój. Ta napaść wyzwoliła w nim bardziej niż na wpół świadomą chęć konfrontacji.

Do tego czasu odgrywał rolę pojednawczą, powstrzymując sąsiadów przed niepotrzebnymi akcjami odwetowymi. Teraz to on chciał awantury za wszelką cenę.

Gdzieś w dole rozbiła się na balkonie wyrzucona butelka, krótka eksplozja na tle ryczących adapterów, wrzasków i łomotania. W mieszkaniu zaczęło się ściemniać i meble w swoich całunach zawisły wokół niego jak niedopompowane chmury. Minęło popołudnie i wkrótce miała się zacząć niebezpieczna pora. Pomyślawszy o Anne, mającej wracać z dziesiątego piętra, Royal skierował się do wyjścia.

Przed drzwiami zatrzymał się z dłonią na cyferblacie zegarka. Jego troska o Anne była równie silna jak zawsze, może nawet chciał ją mieć teraz bardziej dla siebie, ale postanowił dać żonie jeszcze pół godziny, zanim wyruszy na jej poszukiwanie. Perwersyjnie pragnął, żeby to zwiększyło element ryzyka i szansę konfrontacji. Spokojnie przechadzał się po mieszkaniu, zwracając uwagę na telefony schludnie owinięte przewodami. Nawet gdyby Anne gdzieś utknęła, nie mogłaby do niego zadzwonić.

Czekając na zapadnięcie mroku, Royal poszedł na dach do penthouse'u i przyglądał się mewom, które obsiadły nadbudówki wind. W wieczornym oświetleniu ich upierzenie wibrowało jaskrawą bielą. Niczym ptaki wyczekujące zmierzchu na gzymsach grobowca, potrząsały skrzydłami na tle skostniałego betonu, a potem jakby podniecone stanem umysłu Royala, zerwały się nagle w powietrze. Royal myślał o żonie, o zagrażających jej niebezpieczeństwach, i w jego nerwach narastało prawie seksualne napięcie ryzyka i zemsty. Za dwadzieścia minut wyjdzie z mieszkania i dokona morderczego desantu szybem windy, jak śmierć spadająca z nieba. Żałował, że nie może zabrać ze sobą ptaków. Wyobrażał sobie, jak nurkują szybami wind i spadają spiralą klatkami schodowymi, żeby dopaść korytarzy. Patrzył, jak krążą w powietrzu, słuchał ich krzyków i myślał o bliskich aktach przemocy.

9 Do strefy zrzutów

O siódmej Anthony Royal wyruszył ze swoim białym owczarkiem na poszukiwanie żony. Pies doszedł do siebie o tyle, że mógł kulejąc iść przed nim. Jego zlepiona sierść nosiła jaskrawo szkarłatne znaki, podobnie jak biała kurtka jego pana. Royal był dumny z tych dowodów udziału w walce. Jakby naśladując psa, nosił jego krew na piersi i biodrach, niczym insygnia katowskiego stroju, który ma być dopiero zaprojektowany.

Swoje zejście do otchłani budynku zaczął w hallu wind ekspresowych. Z jednej z kabin właśnie wysypała się grupa podnieconych sąsiadów. Cztery piętra niżej jedno z mieszkań zostało splądrowane przez bandę lokatorów z piętnastego piętra. Takie napaści na mieszkania zdarzały się coraz częściej. Szczególnie narażone były puste mieszkania, pozostawione bez dozoru choćby na jeden dzień. Jakiś podświadomy system informacyjny uprzedzał potencjalnych napastników, że jakieś mieszkanie, dwanaście pięter niżej albo wyżej, czeka na złupienie.

Royal z trudem znalazł windę, która zabrała go na trzydzieste piąte piętro. Restauracja była nieczynna. Podawszy Royalom ostatni lunch, kucharz z żoną odeszli na dobre.

Krzesła i stoły tworzyły barykadę przed kuchnią, a wahadłowe drzwi zamknięto na kłódkę. Wielkie okna, z których roztaczał się wspaniały widok, zostały zasłonięte żaluzjami i zamknięte na łańcuch, pogrążając północny koniec basenu w mroku.

Ostatni pływak, analityk rynku z trzydziestego ósmego piętra, właśnie wychodził z basenu. Kiedy się przebierał, jego żona stała na straży przed kabiną. Patrzyła, jak owczarek chłepce wodę stojącą na brudnych kafelkach przy trampolinie. Kiedy pies oddał mocz na drzwi jednej z pustych kabin, jej twarz pozostawała bez wyrazu. Royalowi ten akt sprawił umiarkowaną satysfakcję, ożywiając w nim prymitywny instynkt terytorialny. Oznakowanie kabiny jasnym psim moczem określało kawałek terenu, będący w jego władaniu.

Przez następną godzinę Royal kontynuował poszukiwania żony, zagłębiając się coraz dalej w centralna masę wieżowca. Przechodząc z piętra na piętro, przesiadając się z windy do windy, uświadomił sobie pełne rozmiary jego zapuszczenia. Bunt mieszkańców przeciwko temu budynkowi rozgorzał na dobre. Wokół zatkanych zsypów piętrzyły się stosy odpadków. Klatki schodowe były zasłane tłuczonym szkłem, połamanymi kuchennymi krzesłami i fragmentami poręczy. Jeszcze bardziej znamienne było to, że powyrywano automaty telefoniczne na korytarzach, jakby lokatorzy, podobnie jak jego żona i on, postanowili zerwać wszelki kontakt ze światem zewnętrznym.

Im dalej w głąb Royal docierał, tym większe oglądał zniszczenia. Drzwi ewakuacyjne wisiały wyrwane z zawiasów, kwarcowe szybki kontrolne były wybite. Tylko gdzieniegdzie paliło się jeszcze światło na schodach i korytarzach, nikt nie wymieniał stłuczonych żarówek. O ósmej zastawione workami śmieci korytarze były pogrążone w mroku. Jaskrawe zarysy liter, wypisanych na ścianach świecącym aerozolem, rozbłyskiwały wokół niego jak wystrój koszmarnego snu. W hallach gromadziły się rywalizujące grupy lokatorów, które pilnowały wind i czujnie się obserwowały. Wiele kobiet paradowało z tranzystorowymi radiami, przełączając je ze stacji na stację, jakby szykowały się do jakiejś wojny akustycznej. Inne ściskały aparaty fotograficzne z lampami błyskowymi, gotowe dokumentować wszelkie wrogie akty, każde wtargnięcie na ich terytorium.

Zmieniając windy i przemieszczając się po dwa piętra, Royal wreszcie dotarł do dolnej połowy budynku. Lokatorzy nie zaczepiali go, kiedy pojawiał się na ich piętrach, ustępowali mu z drogi, kiedy przechodził. Poraniony owczarek i zakrwawiona kurtka zapewniały mu swobodne przejście między wrogimi klanami, jakby był zdradzonym feudałem schodzącym z zamku na podgrodzie, żeby zademonstrować swoje rany zbuntowanemu pospólstwu.

Kiedy dojechał na dziesiąte piętro, pasaż był prawie pusty. Zaledwie parę osób snuło się między sklepami, oglądając puste chromowane lady. Na kratach banku i sklepu z alkoholem wisiały kłódki. Royal przepuścił psa przez wahadłowe drzwi na basen, teraz ledwo do połowy napełniony. W żółtej wodzie pływały śmieci, na płytkim końcu odsłoniło się dno, niczym plaża nad jakąś laguną odpadków. Wśród butelek unosił się na wodzie dmuchany materac otoczony wieńcem kartonowych pudeł i gazet.

Nawet trupa nikt by tu nie zauważył, pomyślał Royal. Podczas gdy owczarek obwąchiwał zdewastowane przebieralnie, Royal machał laską w wilgotnym powietrzu, usiłując wprawić je w ruch. Czuł, że wkrótce zacznie się dusić w tej dolnej części wieżowca. Nawet podczas krótkiego tu pobytu czuł, jak miażdży go masa tych wszystkich ludzi nad nim, tysięcy indywidualnych losów, a każdy z nich ze swoim czasem i przestrzenią.

Z hallu przy drugim końcu basenu Royal usłyszał podniesione głosy. Ponaglając psa, podszedł do tylnego wyjścia za trampolinami, skąd przez szklane drzwi obserwował zażartą kłótnię przed drzwiami szkoły. Brało w niej udział około dwudziestu mężczyzn i kobiet – grupa z niższych pięter niosła stoliki, krzesła, tablicę i malarskie sztalugi, a inni starali się ich nie wpuścić do szkoły.

Wkrótce doszło do przepychanek. Ponaglani przez filmowca, niosącego nad głową stolik, rodzice z determinacją parli do przodu. Ich przeciwnicy, mieszkańcy jedenastego i dwunastego piętra, nie ustępowali, formując ciężko dyszący kordon. Wywiązała się z tego zaciekła bójka, w której mężczyźni i kobiety niewprawnie wdali się w zapasy. Royal odciągnął psa, postanawiając zostawić ten spór własnemu losowi. Kiedy się odwrócił, żeby ruszyć na dalsze poszukiwania Anne, drzwi prowadzące do hallu z klatki schodowej gwałtownie się otworzyły. Wypadła z nich grupa mieszkańców czternastego i piętnastego piętra, natychmiast włączając się do bójki. Przewodził jej Richard Wilder, niosący w jednej ręce niczym sztandar kamerę filmową. Royal uznał, że Wilder kręci scenę do filmu dokumentalnego, o którym od tak dawna mówił, i że to on

zaaranżował całe przedstawienie, jednak Wilder znalazł się w samym centrum potyczki, groźnie wywijając kamerą i zachęcając swoich nowych sojuszników do boju przeciwko dawnym sąsiadom. Napastnicy zostali rozbici i zepchnięci na klatkę schodową, dokąd wycofywali się porzucając stoliki i tablicę.

Wilder zatrzasnął za nimi drzwi na schody. Wyrzucenie niedawnych sąsiadów i znajomych sprawiło mu wyraź nie ogromną satysfakcję. Wymachując kamerą wskazał na wnętrze szkolnej sali. Za przewróconym stołem kryły się tam dwie młode kobiety, żona Royala i Jane Sheridan. Niczym dzieci przyłapane na jakiejś psocie patrzyły na Wildera, który je przywoływał teatralnym gestem.

Trzymając owczarka na krótkiej smyczy, Royal pchnął szklane drzwi. Przeszedł między zgromadzonymi w hallu ludźmi, którzy teraz z uciechą łamali dziecięce stoliki.

– W porządku, Wilder – powiedział zdecydowanie, ale swobodnym tonem. – Ja się tym zajmę.

Minął Wildera i wszedł do klasy, po czym pomógł żonie wstać.

– Wyprowadzę was stąd – powiedział. – Nie bójcie się Wildera.

– Ja się nie... – Mimo całego zajścia Anne była zadziwiająco spokojna. Patrzyła na Wildera z wyraźnym podziwem. – Mój Boże, on chyba oszalał...

Royal oczekiwał, że Wilder go zaatakuje. Mimo dzielącej ich różnicy dwudziestu lat był spokojny i opanowany, gotów do fizycznej konfrontacji. Wilder jednak nie kwapił się do bójki. Przyglądał się Royalowi z zainteresowaniem, poklepując się pod pachą w prawie zwierzęcy sposób, jakby cieszył go widok architekta tutaj, na niższych piętrach, nareszcie bezpośrednio zaangażowanego w walkę o terytorium i kobiety. Jego rozpięta do pasa koszula odsłaniała szeroką pierś, którą demonstrował z pewną dumą. Kamerę trzymał przy twarzy, jakby planował scenografię i układ taneczny skomplikowanego pojedynku, mającego się rozegrać w dogodniejszym czasie gdzieś w wyższych regionach budynku.

Tego wieczoru, kiedy wrócili do mieszkania na czterdziestym piętrze, Royal zabrał się do utwierdzania swojego przywództwa na najważniejszym poziomie wieżowca. Jak tylko jego żona i Jane Sheridan położyły się zmęczone do łóżka Anne, zajął się psem. Nakarmił owczarka w kuchni ostatnią porcją jedzenia. Rany na głowie i barkach zwierzęcia były twarde jak monety. Royala bardziej dotknęło pobicie psa, niż zniewagi, których doznała żona. Właściwie sam ją na nie naraził, zwlekając z wyruszeniem na poszukiwania. Tak, jak się spodziewał, obie z Jane na próżno szukały windy po zakończeniu zakupów w supermarkecie. Napastowane w hallu przez pijanego dźwiękowca, schroniły się w pustej klasie.

– Tam na dole wszyscy kręcą filmy – powiedziała mu Anne, wyraźnie zafascynowana swoim spotkaniem z życiem i pracą warstw niższych. – Za każdym razem, kiedy kogoś biją, jest przy tym dziesięć kamer.

– Wyświetlają to potem w kinie – potwierdziła Jane. – Tłoczą się tam i oglądają nawzajem swoje dzieła.

– Z wyjątkiem Wildera. On czeka na coś naprawdę makabrycznego.

Obie kobiety odwróciły się jak na komendę, żeby spojrzeć na Royala, ale on nie podjął tematu. W jakiś niejasny sposób to jego uczucie dla Anne kazało mu narazić ją na zetknięcie się z sąsiadami z dołu. Był to jego wkład w nową rzeczywistość, jaką mieli razem stworzyć. W przeciwieństwie do tego, owczarek należał do bardziej praktycznego świata. Royal już wiedział, że pies może się okazać pożyteczny, że w przyszłości, która ich czeka, będzie cenniejszy od wszystkich kobiet. Postanowił nie pozbywać się zakrwawionej kurtki, zadowolony, że nosi krew psa na piersi. Odrzucił wszystkie propozycje uprania kurtki od żon sąsiadów, które przychodziły pocieszać dwie młode kobiety.

Napaść na psa i żonę uczyniła z mieszkania Royala naturalny ośrodek decyzji najbliższych mieszkańców, którzy postanowili odzyskać inicjatywę, zanim zostaną uwięzieni na dachu wieżowca. Pangbourne'owi wytłumaczył, że konieczne jest zdobycie poparcia lokatorów z pięter bezpośrednio pod trzydziestym piątym.

– Jeżeli chcemy przeżyć, musimy mieć sojuszników dla osłony przed atakami z niższych poziomów, a także, żeby uzyskać dostęp do większej ilości wind. Grozi nam odcięcie od środkowej części budynku.

– Słusznie – zgodził się ginekolog, ciesząc się, że Royal wreszcie realnie ocenia sytuację. – Jak zdobędziemy tam przyczółek, będziemy mogli rozgrywać tych ludzi przeciwko tym z dołu – inaczej mówiąc, dzięki bałkanizacji środka rozpoczniemy kolonizację całego budynku...

Oglądając się za siebie, Royal był zdziwiony, jak łatwa okazywała się realizacja tych prostych planów. O godzinie dziewiątej, przed wieczornymi przyjęciami, Royal zaczął zdobywać poparcie wśród lokatorów poniżej trzydziestego piątego piętra. Pangbourne umiejętnie wygrywał ich pretensje. Ludzie ci mieli wiele wspólnego z mieszkańcami najwyższych pięter – ich samochody też były niszczone i nękały ich podobne problemy z wodą i klimatyzacją. W geście wyrachowanej dobrej woli Royal i Pangbourne zaproponowali im możliwość korzystania z ekspresowych wind. Odtąd, żeby dotrzeć do swoich mieszkań, nie musieliby wchodzić głównym wejściem i narażać się na niebezpieczeństwo czyhające na każdym z trzydziestu pięter po drodze. Czekaliby teraz na któregoś z mieszkańców górnych pięciu pięter, wchodzili z nim do osobnego hallu i wjeżdżali bezpośrednio prosto na trzydzieste piąte piętro, a potem schodzili jedno czy dwa piętra do siebie.

Propozycja została przyjęta, a Royal i Pangbourne celowo nie żądali niczego w zamian. Delegacja wróciła na czterdzieste piętro, a jej uczestnicy udali się do swoich mieszkań, żeby się przygotować do wieczornych rozrywek. W ciągu ostatniej godziny zdarzyło się kilka drobnych incydentów – starszawa żona dyrektora finansowego z dwudziestego ósmego piętra została znokautowana na prawie pustym basenie, a radiolog z siódmego został pobity wśród suszarek do włosów

w salonie fryzjerskim – generalnie jednak życie w wieżowcu toczyło się normalnie. Wraz z zapadnięciem wieczoru budynek wypełniły odgłosy ogólnej zabawy. Począwszy od dolnych pięter, przyjęcia przenosiły się w górę budynku, przepajając go atmosferą zabawy i odświętności. Stojąc na balkonie i czekając, aż obie młode kobiety skończą się ubierać, Royal wsłuchiwał się w płynącą w górę falę śmiechu i muzyki. Daleko w dole do sąsiedniego wysokościowca podjeżdżał samochód i trójka jego pasażerów spoglądała w górę na setki wypełnionych ludźmi balkonów. Każdy, kto widział ten rozświetlony okręt, musiałby uznać, że dwa tysiące osób na jego pokładzie żyje w stanie zbiorowej euforii.

Anne i Jane, ożywione tą elektryzującą atmosferą, szybko doszły do siebie. Anne nie wspominała już o wyprowadzce z wieżowca i zdawała się nie pamiętać, że kiedykolwiek podjęła taką decyzję. Awantura w szkole dała jej nie znane wcześniej poczucie więzi z innymi mieszkańcami bloku. Widocznie w przyszłości przemoc miała się stać cenną formą społecznego spoiwa. Kiedy Royal towarzyszył obu paniom na pierwsze tego wieczoru przyjęcie, wydawane przez felietonistę z trzydziestego siódmego piętra, Anne i Jane szły pod rękę, podniecone doniesieniami o dalszych starciach i wiadomością, że następne dwa piętra, szóste i czternaste, zostały pozbawione elektryczności.

Pangbourne pogratulował w związku z tym Royalowi, prawie jakby uważał, że to jego dzieło. Nikt, nawet na najwyższych piętrach, nie zwracał uwagi na kontrast między wystrojonymi uczestnikami zabaw a zapuszczeniem budynku. Po korytarzach zasypanych śmieciami, obok zapchanych zsypów i zdewastowanych wind, wędrowali mężczyźni w nienagannie skrojonych wieczorowych garniturach. Eleganckie kobiety unosiły długie suknie, przekraczając stosy potłuczonych butelek. Zapachy drogich wód po goleniu mieszały się z wonią kuchennych odpadków.

Te dziwaczne kontrasty sprawiały przyjemność Royalowi, będąc świadectwem tego, jak dalece ci dobrze wychowani, kulturalni ludzie oddalali się od wszelkich norm racjonalnego zachowania. Pomyślał o swojej konfrontacji z Wilderem, która była obrazem wszystkich przepełniających wieżowiec konfliktów. Wilder niewątpliwie znów rozpoczął swoja wspinaczkę i pewnie dotarł gdzieś w okolice piętnastego piętra. Właściwie w całym wieżowcu powinni się znajdować tylko Wilder i on. Wówczas prawdziwy pojedynek rozegrałby się w ich umysłach na tle pustych korytarzy i bezludnych mieszkań, tylko na oczach ptaków.

Anne jakby dojrzała, odkąd zaakceptowała groźbę wiszącej w powietrzu przemocy. Stojąc przy kominku w salonie felietonisty, Royal obserwował ją z czułością. Nie flirtowała już ze starszymi biznesmenami i młodymi przedsiębiorcami, ale słuchała z uwagą doktora Pangbourne'a, jakby przeczuwała, że ten ginekolog może się okazać przydatny nie tylko w związku ze swoją specjalnością. Mimo przyjemności, jaką mu sprawiało prezentowanie żony wobec innych mieszkańców bloku, Royal czuł się coraz bardziej za nią odpowiedzialny. Jego terytorium seksualne rozciągało się również na Jane Sheridan.

– Czy nie myślałaś, żeby się do nas przeprowadzić? – spytał ją. – Twoje mieszkanie jest bardzo narażone na atak.

– Chętnie, Anne już o tym wspominała. Przyniosłam już nawet trochę swoich rzeczy.

Royal tańczył z nią w zaśmieconym hallu, otwarcie przyciskając się do jej bioder i ud, jakby w ten sposób zgłaszał prawa do tych części ciała na przyszłość.

W kilka godzin później, już dobrze po północy, kiedy wydawało się, że te przyjęcia ciągną się bez końca, Royal ocknął się pijany w pustym mieszkaniu na trzydziestym dziewiątym piętrze. Półleżał na kanapie z przytuloną do niego Jane, w otoczeniu stolików zastawionych brudnymi szklankami i popielniczkami, całymi pozostałościami przyjęcia opuszczonego przez gości. Na dźwięki muzyki z sąsiednich balkonów nakładały się odgłosy sporadycznych aktów przemocy. Grupa mieszkańców wymyślała komuś, łomocąc w drzwi windy.

Nagle zgasły wszystkie światła. Royal leżał w mroku, usiłując zatrzymać swój powoli obracający się mózg na światłach sąsiedniego wieżowca. Bez zastanowienia zaczął pieścić Jane, głaszcząc jej obfite piersi. Nie próbowała odsunąć się od niego. W parę chwil później, kiedy elektryczność wróciła, zapalając przewróconą lampę na balkonie, Jane poznała Royala i usadowiła się na nim.

Usłyszawszy jakiś odgłos z kuchni, Royal obejrzał się i zobaczył swoją żonę, siedzącą w długiej sukni przy stole, z jedną ręka na elektrycznej maszynce do kawy, która się przed chwilą włączyła. Royal otoczył ramionami Jane i przyciągnął ja do siebie z umyślną powolnością, jakby na użytek żony powtarzał scenę w zwolnionym tempie. Wiedział, że Anne ich widzi, ale ona siedziała spokojnie przy kuchennym stole, paląc papierosa. Podczas aktu seksualnego, do którego wkrótce doszło, przyglądała im się bez słowa, jakby z aprobatą, wynikającą nie z mody na małżeńską niewierność, ale – jak zrozumiał Royal – z jakiejś plemiennej solidarności, zupełnej uległości wobec przywódcy klanu.

10 Wyschłe jezioro

Następnego ranka, zaraz po wschodzie słońca, Robert Laing siedział na swoim balkonie na dwudziestym piątym piętrze, spożywając skromne śniadanie i przysłuchując się pierwszym odgłosom życia w sąsiednich mieszkaniach. Już o tej porze pierwsi mieszkańcy wychodzili z budynku do pracy, wybierając między stosami śmieci drogę do swoich obsypanych odpadkami samochodów. Codziennie jeszcze kilkaset osób wyruszało do biur i studiów filmowych, na lotniska i do sal aukcyjnych. Pomimo kłopotów z wodą i ogrzewaniem mężczyźni i kobiety byli dobrze ubrani i zadbani, ich wygląd niczym nie zdradzał wydarzeń z poprzednich tygodni. Jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, wiele z nich miało spędzić w pracy niejedną godzinę podsypiając na biurku.

Laing przeżuwał swoja kromkę chleba z metodyczną powolnością. Siedząc tak na balkonie z popękanymi płytkami, czuł się jak ubogi pielgrzym, który wyruszył na niebezpieczną pionową wyprawę i odprawiał prostą, ale ważną ceremonię w przydrożnej kaplicy.

Ubiegła noc przyniosła totalny chaos – pijackie przyjęcia, bójki, grabież pustych mieszkań, napaści na samotnych lokatorów. Kilka dodatkowych pięter było teraz pozbawionych światła, włącznie z dwudziestym drugim, na którym mieszkała jego siostra Alice. Prawie nikt nie spał. Co dziwne, mało kto okazywał jakieś oznaki zmęczenia, jakby wszyscy tu przestawili się na nocny tryb życia. Laing na wpół podejrzewał, że bezsenność, na którą cierpiało tylu sąsiadów, była jakimś podświadomym przygotowaniem do czekających ich wydarzeń. On sam czuł ożywienie i pewność siebie – mimo siniaków na rękach i barkach był fizycznie w znakomitej formie. Zamierzał o ósmej umyć się i wyjść do szkoły medycznej.

Przez pierwszą część tej nocy Laing doprowadzał do porządku mieszkanie Charlotte Melville, splądrowane przez intruzów, kiedy ona z synkiem schroniła się u znajomych. Później pomagał pilnować windy, którą jego sąsiedzi opanowali na kilka godzin. Nie dlatego, żeby chcieli gdzieś jechać, liczyło się przetrzymanie jej przez znaczący psychologicznie okres.

Wieczór rozpoczął się, jak zwykle, od przyjęcia wydanego przez Paula Croslanda, prezentera telewizyjnego a teraz wodza klanu. Crosland musiał zostać dłużej w studiu, ale goście oglądali go, jak czyta wieczorne wiadomości, opowiadając swoim dobrze znanym, pięknie modulowanym głosem o kraksie samochodowej, w której zginęło sześć osób. Podczas gdy sąsiedzi zebrali się wokół telewizora, Laing czekał, że Crosland powie coś o równic katastrofalnych wydarzeniach dziejących się w wieżowcu, o śmierci jubilera (teraz już całkowicie zapomnianej) i podziale mieszkańców na wrogie obozy. Może na zakończenie dziennika doda specjalny komunikat dla członków swojego klanu, robiących sobie teraz drinki wśród plastykowych worków ze śmieciami w jego salonie.

Kiedy Crosland przyszedł, wpadając do mieszkania w swojej podbitej kożuszkiem bluzie i butach z cholewkami, jak wracający z akcji pilot bombowca, wszyscy byli już pijani. Zarumieniona i ożywiona Eleanor Powell podeszła chwiejnym krokiem do Lainga, ze śmiechem oskarżając go, że usiłował włamać się do jej mieszkania. Wiadomość wywołała ogólny aplauz, jakby gwałt stał się cennym i wypróbowanym środkiem umacniania więzi klanowej.

– Niska przestępczość, doktorze – powiedziała przyjaźnie – to nieomylna oznaka społecznej deprawacji.

Pijąc równomiernie i bez najmniejszej samokontroli, Laing czuł, jak alkohol burzy się w jego mózgu. Wiedział, że rozmyślnie prowokuje sam siebie, odrzucając wszelkie zastrzeżenia co do zdrowego rozsądku takich ludzi jak Crosland. Z praktycznego punktu widzenia, upicie się było prawie jedynym sposobem na zbliżenie się do Eleanor Powell, która na trzeźwo szybko popadała w męczącą ckliwość, błądząc po korytarzach, jakby zgubiła klucz do własnego umysłu. Po kilku drinkach natomiast, stawała się niezwykle ożywiona, włączając się i wyłączając niczym rozkojarzony telewizor, ukazujący urywki pasjonujących programów, które Laing rozumiał jedynie, kiedy sam był pijany. Chociaż, potykając się o plastykowe worki leżące pod barem, zaprzeczała wszystkiemu, co on powiedział, Laing podtrzymywał ją, zafascynowany grą jej dłoni na klapach swojej marynarki. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że on i jego sąsiedzi szukali awantur jako najbardziej skutecznego sposobu na wzbogacenie życia seksualnego.

Laing wytrząsnął przez poręcz balkonu fusy z maszynki do kawy. Przed fasadą budynku wisiała w powietrzu tłusta mgła, pozostałość wodospadu odpadków, wyrzucanych teraz z balkonów, bez zwracania uwagi na to, czy wiatr nie zniesie ich do mieszkań na niższych piętrach. Laing poszedł z tacą do kuchni. Na skutek przedłużającej się awarii elektryczności, zapasy w lodówce uległy zepsuciu. Rząd butelek skwaśniałego mleka zarósł pleśnią, zjełczałe masło przeciekało przez ruszt półki. Zapach tego rozkładającego się jedzenia miał swoje uroki, ale Laing zgarnął wszystko do plastykowego worka i wyrzucił go na korytarz, gdzie w półmroku leżało już dwadzieścia innych.

Grupka sąsiadów sprzeczała się podniesionymi głosami przy windach. Zaczynała się jakaś awantura z mieszkańcami dwudziestego ósmego piętra. Crosland pokrzykiwał agresywnie w głąb szybu windowego. Zazwyczaj Laing nie zwróciłby na niego uwagi o tak wczesnej porze. Crosland najczęściej sam nie bardzo wiedział, o co się kłóci – ważna była sama konfrontacja. Bez makijażu, z twarzą wykrzywioną gniewem, Crosland wyglądał jak prezenter, którego namówiono, żeby po raz pierwszy przeczytał złą wiadomość o sobie samym.

Z cienia za drzwiami mieszkania wyłonił się z wystudiowaną nonszalancją chirurg ortodonta. Steele i jego żona o kamiennych rysach twarzy stali przez chwilę wśród worków z odpadkami. Potem Steele przysunął się do Lainga i przywitał się z nim łagodnym ale skomplikowanym uściskiem dłoni, jakiego mógłby użyć przy trudnej ekstrakcji.

– Chcą zablokować drzwi na stałe – powiedział, wskazując w górę. – Mają zamiar przeprogramować windy tak, żeby kursowały bez zatrzymywania z parteru na dwudzieste ósme.

– A co z nami? – spytał Laing. – Jak my mamy się wydostać z budynku?

Drogi panie, nie sądzę, żeby się tym szczególnie przejmowali. Ich prawdziwym zamiarem jest podział budynku na dwie części, tutaj, na dwudziestym piątym piętrze. To jest kluczowy poziom, jeżeli chodzi o instalacje elektryczną. Wyłączając trzy piętra pod nami, uzyskują strefę buforową, oddzielającą górną część od dolnej. Zróbmy wszystko, doktorze, żeby – kiedy to nastąpi – znaleźć się po właściwej stronie...

Umilkł, kiedy zbliżyła się siostra Lainga z elektryczną maszynką do kawy w ręku. Steele oddalił się z ukłonem, jego małe stopy zręcznie znajdowały drogę między workami śmieci, a przedziałek na środku głowy połyskiwał w półmroku. W końcu bezgłośnie wślizgnął się do swojego mieszkania. Niewątpliwie Steele z równą zręcznością potrafi lawirować wśród przyszłych niebezpieczeństw. Teraz już w ogóle nie opuszczał wieżowca. Co się stało z jego nieokiełznaną ambicją,

pomyślał Laing. Zapewne po ostatnich bitwach zbijał majątek dzięki gwałtownemu wzrostowi popytu na skomplikowane zabiegi chirurgii szczękowej.

Witając się z Alice, Laing uświadomił sobie, że jeżeli Steele ma rację, to ona też znajdzie się po niewłaściwej stronie granicy razem ze swoim mężem alkoholikiem. Przyszła pod pozorem, że chce włączyć swoją maszynkę do kontaktu w kuchni Lainga, ale kiedy weszli do mieszkania, zostawiła ją na stoliku w przedpokoju. Zbliżyła się do balkonu i wpatrywała się w poranne powietrze, jakby cieszyło ją, że ma pod sobą trzy dodatkowe piętra.

– Co u Charlesa? – Spytał Laing. – Czy chodzi do biura?

– Nie... Wziął jakiś urlop. Może i dożywotni. A ty? Nie powinieneś zaniedbywać studentów. Jak tak dalej pójdzie, będziemy ich bardzo potrzebować.

– Wybieram się tam rano. Chcesz, żebym po drodze zajrzał do Charlesa?

Alice zignorowała jego propozycję. Chwyciła się poręczy balkonu i zaczęła się kołysać jak dziecko.

– Tu jest bardzo spokojnie. Nie masz pojęcia, co musi znosić większość ludzi.

Laing roześmiał się, rozbawiony wyobrażeniem siostry, że on nie został dotknięty tym, co dzieje się w wieżowcu – typowy pomysł umęczonej starszej siostry, zmuszanej w dzieciństwie do opiekowania się młodszym braciszkiem.

– Przychodź, kiedy chcesz. – Laing otoczył ją ramieniem, podtrzymując na wypadek, gdyby straciła równowagę. W przeszłości zawsze zachowywał dystans wobec Alice ze względu na jej wielkie podobieństwo do matki, ale z powodów nie tylko seksualnych to podobieństwo teraz go podniecało.

Miał ochotę dotknąć jej bioder, położyć rękę na jej piersi, a ona, jakby zdając sobie z tego sprawę, oparła się biernie o niego.

– Możesz skorzystać z mojej kuchni – powiedział Laing. – Z tego, co słyszałem, będzie dziś zamieszanie. Tu będziesz bezpieczna.

– Dobrze, ale twoje mieszkanie jest zapuszczone.

– Posprzątam je dla ciebie.

Laing opanował się i spojrzał na siostrę. Czy zdawała sobie sprawę z tego, co robią? Nie mając takiego zamiaru, umawiali się na schadzkę.

W całym wieżowcu ludzie pakowali torby, szykując się do krótkich, ale ważnych podróży, kilka pięter w górę lub w dół, albo w poziomie na drugi koniec korytarza. Zachodziła tajna, lecz mimo to masowa wymiana małżeńskich partnerów. Charlotte Melville była teraz związana ze statystykiem z dwudziestego dziewiątego piętra i prawie nie zaglądała do swojego mieszkania. Laing obserwował jej odejście bez niechęci. Charlotte potrzebowała kogoś, kto rozbudzi w niej odwagę i siłę charakteru.

Myśląc o niej Laing poczuł ukłucie żalu, że on sam nikogo nie znalazł. Ale może Alice da mu tak potrzebne praktyczne oparcie, dzięki swojemu niemodnemu teraz przywiązaniu do cnót domowych. Chociaż nie przepadał za jej zrzędliwą manierą, kojarzącą się z niezbyt szczęśliwymi wspomnieniami o matce, dawała mu ona niezaprzeczalne poczucie bezpieczeństwa.

Nie wypuszczając Alice z ramion, Laing spojrzał w górę na dach wieżowca. Wydawało mu się, jakby minęły miesiące, odkąd po raz ostatni odwiedził taras widokowy, ale po raz pierwszy nie odczuwał takiej potrzeby. Zbuduje sobie mieszkanie tu, gdzie jest, z tą kobietą i w tej jaskini w ścianie urwiska.

Kiedy siostra poszła, Laing zaczął się przygotowywać do szkoły. Siedząc w kuchni na podłodze spojrzał na brudne naczynia i sztućce piętrzące się w zlewie. Opierał się wygodnie o plastykowy worek pełen śmieci. Oglądając swoją kuchnię z tej niecodziennej perspektywy, uświadomił sobie, jak bardzo jest zdewastowana. Podłogę zaścielały śmieci, resztki jedzenia i puste puszki. Ku swojemu zdziwieniu naliczył sześć worków ze śmieciami – nie wiadomo dlaczego sądził, że jest tylko jeden.

Laing wytarł dłonie o poplamione spodnie i koszulę. Opierając się o wygodne łoże z własnych odpadków, czuł, że za chwilę zaśnie. Z wysiłkiem podniósł się. Od pewnego czasu dało się zaobserwować postępujący upadek, ciągłą erozję norm, co odbijało się nie tylko na stanie mieszkania, ale i na jego osobistym zachowaniu i higienie. W pewnym stopniu wynikało to z ciągłych przerw w dostawie wody i elektryczności oraz niewydolności układu pozbywania się odpadków. Z drugiej strony jednak wyrażało to spadek zainteresowania wszelkimi cywilizowanymi konwencjami. Nikt z jego sąsiadów nie przejmował się tym, co je. Ani Laing, ani jego znajomi, nie przygotowywali przyzwoitego posiłku od tygodni i doszli do tego, że kiedy poczuli głód, otwierali pierwszą lepszą puszkę. Pito również co popadnie, byle jak najszybciej się upić i stępić resztki jakiejkolwiek wrażliwości. Laing od tygodni nie korzystał ze swojej starannie dobieranej płytoteki. Nawet jego język uległ degradacji.

Spróbował wydłubać grube półksiężyce brudu pod paznokciami. Ten upadek, zarówno jego samego, jak i całego otoczenia, był prawie pożądany. Właściwie z własnej woli schodził w dół po coraz bardziej stromym zboczu, jak ktoś wyprawiający się do zakazanej doliny. Brudne ręce, nieświeże ubranie i brak troski o higienę osobistą, coraz mniejsze zainteresowanie jedzeniem i piciem, wszystko to pomagało mu ujawnić swoją autentyczną naturę.

Laing usłyszał hałas z lodówki. To wróciła elektryczność i maszyna zaczęła pobierać prąd z sieci. Włączyły się też pompy i z kranów kapnęły pierwsze krople wody. Pobudzony krytyką Alice, Laing obszedł mieszkanie ustawiając na miejsce krzesła, ale w pół godziny później, niosąc worek odpadków na korytarz, nagle się zatrzymał i upuścił go na podłogę, zdawszy sobie sprawę, że nic w ten sposób nie osiągnie, że przekłada tylko śmieci z miejsca na miejsce.

Znacznie ważniejsze było fizyczne zabezpieczenie mieszkania, zwłaszcza podczas jego nieobecności. Laing zajął się długimi półkami na książki w salonie i przełożył swoje medyczne i naukowe podręczniki na podłogę. Potem rozkręcił półkę i przeniósł elementy do przedpokoju. Przez następne pół godziny krążył po mieszkaniu, przekształcając jego otwarte wnętrze w domowej roboty bunkier. Wszystkie ciężkie meble, takie jak stół jadalny i ręcznie rzeźbioną dębową komodę z sypialni, przeciągnął pod drzwi wejściowe, gdzie z biurka i foteli zbudował masywną barykadę. Usatysfakcjonowany wynikiem swojej pracy, przeniósł zapasy jedzenia z kuchni do sypialni. Nie było tego dużo, ale mogło wystarczyć na parę dni – torby ryżu, cukier i sól, puszki wołowiny i wieprzowiny oraz bochenek czerstwego chleba.

Teraz, kiedy nie działała klimatyzacja, pokoje wypełniało stęchłe powietrze. Ostatnio Laing wyczuwał w nim silny, ale nie odrażający zapach, charakterystyczną woń całego mieszkania – jego własną.

Laing zdjął przepoconą sportową bluzę i umył się w resztkach wody pod prysznicem. Potem się ogolił, włożył świeżą koszulę i garnitur. Gdyby zjawił się w szkole medycznej, wyglądając jak włóczęga, mógłby zdradzić przed co dociekliwszymi kolegami prawdziwą sytuację w wieżowcu. Przyjrzał się sobie w dużym lustrze. Wychudzona, blada postać z podrapanym czołem, stojąca niezgrabnie w za dużym garniturze, wyglądała całkowicie nieprzekonywająco, jak wypuszczony z więzienia kryminalista, mrużący oczy na widok światła dziennego po odsiedzeniu długiego wyroku.

Dokręciwszy zasuwy na drzwiach frontowych, Laing wyszedł z mieszkania. Na szczęście wydostanie się z budynku było łatwiejsze niż poruszanie się jego obrębie. Niczym tajna linia metra, za ogólnym przyzwoleniem jedna winda nadal jeździła do głównego wejścia podczas godzin pracy. Wszędzie jednak wyczuwało się atmosferę napięcia i wrogości, gmatwaninę nakładających się na siebie wewnętrznych oblężeń. Wejścia na poszczególne pietra zamykały barykady z korytarzowych mebli i plastykowych worków z odpadkami. Nie tylko ściany korytarzy i hallów, lecz także sufity i wykładzinę podłogową pokrywały napisy, plątanina kodowanych sygnałów, pozostałych po atakach bojówek z góry i z dołu. Laing musiał się powstrzymywać od wpisania numeru swojego piętra obok innych cyfr, czasami wielkości trzech stóp, zdobiących ściany windy, niczym wpisy w księdze handlowej domu wariatów. Zdemolowano wszystko, co można było – potłuczono lustra w hallach, powyrywano automaty telefoniczne, pocięto kanapy. Stopień wandalizmu był umyślnie przesadny, prawie jakby służył drugiemu, ważniejszemu celowi, maskując prawdziwe dążenia mieszkańców wieżowca, którzy, zrywając linie telefoniczne, odcinali się od świata zewnętrznego.

Na kilka godzin dziennie dzięki nieformalnemu zawieszeniu broni otwierał się w budynku system dróg, przypominający siatkę pęknięć, ale okres ten stale się skracał. Lokatorzy poruszali się małymi grupami, czujnie wypatrując obcych. Każdy z nich miał wypisany na twarzy niczym piętno numer piętra. W czasie tego krótkiego, cztero czy pięciogodzinnego pokoju mogli się poruszać po okolicy niczym współzawodnicy w zrytualizowanej bitwie na drabinach, którym w chwilach wytchnienia wolno było wspiąć się na wyznaczone im szczeble. Laing i jego współpasażerowie czekali aż winda niespiesznie zjedzie na dół, stojąc nieruchomo jak manekiny w muzeum – „mieszkańcy wieżowca, koniec dwudziestego wieku".

Kiedy dojechali na parter, Laing ostrożnie przeszedł przez hall wejściowy, obok zamkniętego na głucho biura administratora i worków z nie rozdzieloną pocztą. Nie chodził do pracy od kilku dni i po przejściu przez szklane drzwi odczuł różnicę oświetlenia i chłodniejsze powietrze, jakby znalazł się w atmosferze innej planety. Poczucie obcości, znacznie bardziej namacalne niż wszystko, co działo się w budynku, rozciągało się wokół wieżowca we wszystkie strony, obejmując betonowe place i drogi osiedla.

Oglądając się za siebie, jakby dla utrzymania psychicznej pępowiny z budynkiem, Laing szedł przez parking. Między samochodami leżały setki puszek i rozbitych butelek. Poprzedniego dnia zjawił się inżynier sanitarny biura osiedla, ale po pół godzinie odszedł przekonany, że oznaki rozkładu to tylko objawy zablokowania systemu usuwania odpadków. Ponieważ nikt z mieszkańców nie złożył formalnej skargi, nie należało oczekiwać żadnych decyzji. Lainga nie dziwiło już, że lokatorzy, którzy zaledwie przed paroma tygodniami byli jednomyślni w gniewie na awarie instalacji budynku, teraz równie jednomyślnie zapewniali wszelkie osoby z zewnątrz, że wszystko jest w porządku – częściowo ze źle rozumianej dumy z wieżowca, lecz także z potrzeby rozwiązania konfliktów między sobą bez interwencji z zewnątrz, niczym rywalizujące gangi, walczące na wysypisku śmieci, które łączą siły, żeby pozbyć się intruza.

Laing doszedł do środka parkingu i znalazł się zaledwie dwieście jardów od sąsiedniego wieżowca, niedostępnej, prostopadłościennej planety, której szklany fronton widział teraz wyraźnie. Prawie wszyscy lokatorzy wprowadzili się już do swoich mieszkań, naśladując do ostatniego wzoru zasłonek i modelu zmywarki mieszkańców jego bloku, ale ten budynek wydawał się odległy i groźny. Patrząc na niekończące się rzędy balkonów, Laing czuł się niepewnie jak ktoś zwiedzający złowrogi zwierzyniec, w którym piętrowo ustawione klatki zawierały stworzenia niespokojne i okrutne. Kilka osób, opartych o poręcze balkonów, obserwowało Lainga z obojętnymi minami. Nagle wyobraził sobie dwa tysiące osób, które wyskakują na balkony i ciskają w niego czym popadnie, grzebiąc go pod piramidą butelek po winie i popielniczek, pojemników dezodorantów i paczek prezerwatyw.

Wreszcie Laing doszedł do swojego samochodu i oparł się o jego bok. Zdawał sobie sprawę, że musi stawić czoło pokusom zewnętrznego świata, narażając się na jego zasadzki. Mimo obecnych konfliktów, wieżowiec reprezentował swo-

jskość i bezpieczeństwo. Wyczuwając ramieniem ciepło karoserii, Laing przypomniał sobie stęchłe powietrze mieszkania, przesycone wonią jego własnego ciała. Przez kontrast jaskrawe błyski światła, odbijające się w chromowych listwach setek samochodów, wypełniały powietrze jakby nożami.

Odwrócił się do swojego wozu i poszedł alejką równoległą do fasady budynku. Nie był jeszcze gotów, żeby wyruszyć w szeroki świat, stanąć twarzą w twarz ze swoimi kolegami ze szkoły medycznej, nadrobić opuszczone zajęcia ze studentami. Może lepiej spędzi to popołudnie w domu i przygotuje się do następnego wykładu.

Doszedł do skraju ozdobnego stawu, wdzięcznego owalu długości dwustu jardów, i zszedł na jego betonowe dno. W ślad za swoim cieniem ruszył po łagodnie obniżającym się dnie i po kilku minutach znalazł się pośrodku pustego stawu. Wilgotny beton zakrzywił się ze wszystkich stron niczym wnętrze olbrzymiej matrycy, gładki i bez wyrazu, ale w pewien sposób równie groźny, jak zarysy jakiejś głębokiej psychozy reduktywnej. Niemożność odwołania się do jakiejkolwiek prostej linii symbolizowała dla Lainga wszystkie zagrożenia świata poza obrębem wieżowca. Nie mogąc tu dłużej wytrzymać, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę brzegu, potem wspiął się na równy grunt i pobiegł między zakurzonymi samochodami mieszkańców wieżowca.

Po dziesięciu minutach był znów w swoim mieszkaniu. Zamknął drzwi na zasuwę, przecisnął się przez swoją barykadę i zaczął krążyć po pustych pokojach. Wdychając stęchłe powietrze, poczuł się odświeżony swoim własnym zapachem, prawic rozpoznając w nim poszczególne części ciała – stopy i genitalia, mieszaninę woni wydobywających się z jego ust. W sypialni rozebrał się, wrzucił garnitur i krawat na dno szafy, i włożył z powrotem brudną sportową bluzę i spodnie. Wiedział teraz, że już nigdy nie spróbuje wyjść poza wieżowiec. Myślał o Alice i o tym, jak ją sprowadzić do swojego mieszkania. W pewien sposób te mocne zapachy ściągną ją do niego, jak światła latarni morskiej.

11 Ekspedycje karne

O czwartej tego popołudnia ostatni z lokatorów wrócił do wieżowca. Ze swojego balkonu Laing patrzył, jak samochody pojawiają się na drogach dojazdowych i skręcają na swoje miejsca parkingowe, a ich kierowcy z teczkami w rękach wędrują do poszczególnych wejść. Laing zauważył, że wszystkie rozmowy kończyły się przed drzwiami budynku. To kulturalne zachowanie dziwnie go niepokoiło.

Laing odpoczywał tego popołudnia, postanowiwszy uspokoić się i zebrać siły przed nadchodzącą nocą. W przerwach przeciskał się przez barykadę i wyglądał na korytarz, mając nadzieję zobaczyć gdzieś Steele'a. Myśl o siostrze, mieszkającej tylko o trzy piętra niżej ze swoim nieszczęsnym mężem, potęgowała jego niepokój. Potrzebował jakichś zamieszek jako pretekstu, żeby ją uratować. Jeżeli plan podziału budynku zostanie zrealizowany, może jej już nigdy nie zobaczyć.

Laing krążył po mieszkaniu, sprawdzając prymitywne przygotowania obronne. Tacy jak on lokatorzy z górnych pięter byli bardziej zagrożeni, niż przypuszczali, i łatwo mogli znaleźć się na łasce tych z dołu. Wilder i jego siepacze mogli z łatwością zablokować wyjścia, zniszczyć sieć elektryczną i wodociągową albo podpalić górne piętra. Laing wyobraził sobie pierwsze płomienie, wspinające się szybami wind i klatkami schodowymi, zapadające się piętra i mieszkańców szukających schronienia na dachu.

Poruszony tą makabryczną wizją, odłączył swoje głośniki stereo i wzmocnił nimi barykadę z mebli i urządzeń kuchennych. Rozsypane płyty i kasety odsuwał na bok kopnięciami. W szafie ściennej w sypialni podważył deski podłogowe. W zagłębieniu o rozmiarach walizki umieścił książeczkę czekową i polisy ubezpieczeniowe, dokumenty podatkowe i akcje. Na koniec wcisnął tam lekarską walizeczkę z ampułkami morfiny, antybiotykami i środkami nasercowymi. Kiedy z powrotem przybił deski, doznał uczucia, że na zawsze rozstaje się z ostatnimi pozostałościami swojego poprzedniego życia i przygotowuje się bez zastrzeżeń na przyjęcia nowego.

Pozornie w wieżowcu panował spokój, ale ku zadowoleniu Lainga wczesnym wieczorem miały miejsce pierwsze incydenty. Późnym popołudniem czekał w hallu, stojąc z grupą sąsiadów. Może, szalonym zbiegiem okoliczności, nie zdarzy się nic?

Potem nadszedł analityk od spraw zagranicznych z wiadomością, że dziesięć pięter niżej stoczono zażartą bitwę o windę. Adrian Talbot, sympatyczny psychiatra z dwudziestego siódmego, doszedł na swoje piętro po schodach cały w urynie. Rozeszła się nawet plotka, że zdemolowano mieszkanie na czterdziestym. Podobna prowokacja gwarantowała wszystkim gorącą noc.

Po tym nadeszła jeszcze fala doniesień, że wielu lokatorów po powrocie do domu znalazło swoje mieszkania ograbione, meble i urządzenia kuchenne poniszczone, kontakty powyrywane ze ścian. Dziwne, ale zapasy jedzenia pozostały nietknięte, jakby te akty wandalizmu były celowo pozbawione sensu. Czyżby szkody zostały spowodowane przez samych właścicieli, którzy nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią, chcieli doprowadzić do nasilenia przemocy?

Podobne incydenty powtarzały się w miarę, jak zmierzch zapadał nad wieżowcami. Ze swojego balkonu Laing widział snopy światła latarek migające w oknach ośmiu pozbawionych elektryczności pięter, jakby sygnalizowały przygotowania do jakiegoś krwawego rytuału. Po chwili usiadł w ciemności na podłodze, oparty o uspokajający masyw barykady. Nie zapalał światła ze strachu – absurdalnego, jak wiedział – że może zostać zaatakowany przez balkon z powietrza. Pociągając równomiernie z piersiówki whisky, oglądał wczesnowieczorne programy telewizyjne. Wyłączał dźwięk, nie dlatego, że nudziły go te filmy dokumentalne i komedie sytuacyjne, ale dlatego, że wszystko to nie miało sensu. Nawet reklamy, ze

swoją troską o powszednie realia, były jak transmisje z innej planety. Siedząc wśród plastykowych worków ze śmieciami, z meblami spiętrzonymi za plecami, Laing przyglądał się tym kosztownym rekonstrukcjom żon, czyszczących swoje nieskazitelne kuchnie i dezodorantów spryskujących starannie wygolone pachy. Razem składały się na tajemniczy domowy wszechświat.

Laing spokojnie i bez strachu słuchał podniesionych głosów z korytarza. Myśląc o swojej siostrze, aprobował te oznaki zbliżających się walk. Alice, zawsze wybredna, pewnie teraz będzie oburzona stanem mieszkania, ale dobrze jej to zrobi, jeżeli znajdzie coś do krytykowania. Pot na ciele i osad na zębach otaczały Lainga powłoką brudu i cielesnych zapachów, ale ten fetor zwiększał jego wiarę we własne siły, dawał poczucie dominacji. Nawet perspektywa bliskiego zablokowania kanalizacji, która kiedyś napawała go przerażeniem, teraz wydawała mu się prawie zachęcająca.

Ten upadek standardów higieny dotyczył także sąsiadów Lainga. Ich ciała wydzielały mocną woń, znak szczególny wieżowca. W świecie zewnętrznym brak tego zapachu stanowił źródło niepokoju, choć jego najbliższą namiastkę można było znaleźć w sali sekcji zwłok w szkole medycznej. Przed paroma dniami Laing przyłapał się na tym, że krąży wokół biurka swojej sekretarki, próbując zbliżyć się do niej na taką odległość, żeby wyczuć ten znajomy zapach. Dziewczyna ze strachem spojrzała na Lainga, wiszącego nad nią jak głodny sęp.

Trzy piętra wyżej spadająca butelka roztrzaskała się na balkonie i odłamki szkła rozsypały się w mroku niczym pociski świetlne. Ktoś puścił na całą moc adapter w otwartym oknie. Wielkie bloki nagłośnionej muzyki wypełniały noc.

Laing przecisnął się przez swoją barykadę i otworzył drzwi na korytarz. W hallu przy windach grupa jego sąsiadów przyciągnęła do wyjścia na klatkę schodową stalowe drzwi przeciwpożarowe. Pięć pięter niżej toczyła się bitwa. Laing i członkowie jego klanu stłoczyli się na podeście zaglądając w ciemną studnię ze schodów. Słyszeli odgłosy jeżdżącej w górę i w dół windy, która dowoziła nowe fale napastników. Z dwudziestego piętra, niczym z jakiegoś lochu tortur, dobiegł ich krzyk kobiety.

Nie mogąc się doczekać pomocy ze strony Steele'a, Laing miał wyruszyć na jego poszukiwania, ale hall i korytarz pełne były biegnących i wpadających na siebie po ciemku ludzi, uciekających do swoich mieszkań powyżej dwudziestego piątego piętra. Napastnicy zostali odparci. Światła latarek tańczyły po ścianach w szaleńczej sygnalizacji. Laing poślizgnął się na plamie tłuszczu i upadł wśród rozbieganych cieni. Jakaś podniecona kobieta nadepnęła mu na rękę, rozcinając obcasem przegub. W ciągu dwóch następnych godzin w korytarzach i na schodach odbyła się seria szybkich potyczek, przenoszących się z piętra na piętro, w miarę jak wznoszono i rozbierano kolejne barykady. O północy, czając się w hallu za leżącymi w poprzek drzwiami przeciwpożarowymi i zastanawiając się, czy spróbować się przemknąć do mieszkania siostry, Laing zobaczył Richarda Wildera, który stał wśród poprzewracanych metalowych krzeseł. W jednej ręce nadal trzymał kamerę filmową. Jak duże zwierzę, które przystanęło dla złapania oddechu, poszedł w ślad za swoimi ogromnymi cieniami na ścianach i suficie, jakby miał wskoczyć im na grzbiety i popędzić na nich w górę przewodami wentylacyjnymi wieżowca.

Walki wygasły, przechodząc niczym burza w stronę niższych pięter. Laing i jego sąsiedzi zebrali się w mieszkaniu Adriana Talbota. Tutaj rozsiedli się na podłodze w salonie wśród połamanych stolików i foteli z pociętymi siedzeniami. Latarki u ich stóp tworzyły krąg światła, w którym widniały butelki whisky i wódki.

Psychiatra poruszał się po swoim zrujnowanym mieszkaniu z ręką na temblaku, usiłując zasłonić potrzaskanymi obrazami hasła powypisywane na ścianach najmodniejszymi kolorami z działu farb w supermarkecie. Talbot wydawał się bardziej porażony osobistą nienawiścią bijącą z tych antyhomoseksualnych obelg, niż ogólną dewastacją mieszkania, ale Laing wbrew sobie stwierdził, że jest w nich coś podniecającego. Te chamskie karykatury błyskały na ścianach w świetle latarek niczym priapiczne postacie rysowane przez jaskiniowców.

– Przynajmniej pana zostawili w spokoju – powiedział Talbot przykucając obok Lainga. – Mnie wyraźnie wybrano na kozła ofiarnego. Ten budynek okazał się jakimś generatorem urazów, wszyscy tu rozładowują nagromadzone zapasy dziecięcej agresji.

– To im przejdzie.

– Może tak, a może nie. Dziś po południu wylano na mnie kubeł moczu. Jeszcze trochę i ja sam chwycę za pałkę. Błędem byłoby wyobrażać sobie, że zmierzamy w kierunku szczęśliwego prymitywizmu. Modelem tutaj jest nie tyle szlachetny dzikus, co nasze nie – niewinne postfreudowskie ja, rozwydrzone całym tym nad miarę tolerancyjnym wychowaniem, pełnym oddania karmieniem piersią i rodzicielską miłością – niewątpliwie bardziej niebezpieczną mieszanką niż wszystko, z czym musieli sobie radzić nasi wiktoriańscy przodkowie. Wszyscy nasi sąsiedzi mieli szczęśliwe dzieciństwo i mimo to są sfrustrowani. Może są źli, że nie mieli w życiu okazji do deprawacji...

Podczas gdy opatrywali swoje skaleczenia i przekazywali w krąg butelki, popijając równomiernie na odwagę, Laing przysłuchiwał się ich rozmowom o kontrataku i zemście. Steele nadal się nie pokazywał. Z jakiegoś powodu Laing uważał, że powinien być tam, jako przyszły wódz, ważniejszy od Croslanda. Mimo cielesnych obrażeń Laing czuł rozpierającą go energię i pewność siebie oraz chęć powrotu na pole bitwy. Ciemności dodawały odwagi i zapewniały bezpieczeństwo, stając się naturalnym środowiskiem dla życia w wieżowcu. Laing był dumny z tego, że nauczył się poruszać po ciemnych jak noc korytarzach, nigdy więcej niż po trzy kroki naraz, przystając i badając mrok. Opanował nawet specjalny sposób

chodzenia po własnym mieszkaniu, trzymając się zawsze jak najbliżej podłogi. Prawie już nie lubił światła dziennego, które miał przynieść najbliższy poranek.

Prawdziwym światłem wieżowca był metaliczny błysk aparatu fotograficznego, utrwalającego moment upragnionej przemocy dla jakiejś późniejszej voyeurystowskiej przyjemności. Ciekawe, jaki zwyrodniały gatunek elektrycznej flory zrodzi się do życia z zaśmieconych wykładzin korytarzy w odpowiedzi na to nowe źródło światła? Podłogi były dosłownie zasłane poczerniałymi błonami negatywów, łuszczącymi się pod wpływem tego wewnętrznego słońca.

Laing, zamroczony alkoholem i podnieceniem, wstał i ruszył wraz z sąsiadami, niczym gromada podpitych studentów, poszturchujących się nawzajem dla dodania sobie animuszu. Kiedy zeszli w ciemnościach trzy piętra, Laing stracił orientację. Wkroczyli do enklawy opuszczonych mieszkań na dwudziestym drugim piętrze i buszowali po pustych pokojach kopiąc telewizory i tłukąc naczynia w kuchniach.

Chcąc nieco wytrzeźwieć przed udaniem się na ratunek swojej siostrze, Laing zwymiotował z balkonu. Pasma świetlistego śluzu zawisły na frontonie budynku. Przewieszony przez poręcz, Laing nasłuchiwał w ciemności swoich sąsiadów kręcących się po korytarzu. Kiedy sobie pójdą, będzie mógł zacząć poszukiwania Alice.

Nagle za jego plecami rozbłysły elektryczne światła. Laing, zaskoczony, przykucnął za parapetem, spodziewając się ataku ze strony intruza. Po chwili światła zaczęły rytmicznie mrugać jak sztucznie pobudzane serce. Laing spojrzał na swoje zaplamione ubranie i ręce ze śladami wymiocin. Miał przed sobą zrujnowany pokój z podłogą pokrytą odpadkami, jakby ocknął się na polu bitwy.

W sypialni leżało na łóżku rozbite lustro, jego kawałki błyskały niczym fragmenty innego świata, bezskutecznie usiłującego się odtworzyć.

– Niech pan tu przyjdzie, Laing... – przywołał go precyzyjny głos ortodonty. – Mamy tu coś ciekawego.

Steele krążył po pokoju, trzymając w jednej ręce kij jak szpadę. Co jakiś czas zadawał markowane pchnięcia w kierunku podłogi, jakby odgrywał scenę z melodramatu. Przywołał Lainga w krąg rozbłyskującego światła.

Laing zbliżył się ostrożnie, zadowolony, że wreszcie widzi Steele'a, ale mając też świadomość, że jest zdany na jego łaskę i niełaskę. Przypuszczał, że Steele osaczył właściciela mieszkania albo jakiegoś przybłędę, który się tu schronił, ale w pokoju nie było nikogo. Potem, idąc wzrokiem za klingą kija-szpady, zobaczył, że Steele zapędził pod toaletkę małego kotka. Steele skoczył, wywijając zerwaną z okna pluszową kotarą, i zagnał przerażone stworzenie do łazienki.

– Niech pan zaczeka, doktorze! – Głos ortodonty był przepełniony jakąś dziwnie zimną radością, jak głos erotycznej maszyny. – Niech pan jeszcze nie odchodzi...

Światła ciągle mrugały z brutalną nadrzeczywistością zdjęć z miejsca katastrofy. Laing zaskoczony swoją reakcją, patrzył jak Steele wpędza kota pod kotarę. Zgodnie z jakąś paskudna logiką przyjemność dentysty ze znęcania się nad zwierzątkiem podwajała obecność, czującego obrzydzenie zmieszane z fascynacją, świadka. Laing stał w drzwiach do łazienki, mając wbrew sobie nadzieję, że światła nie zgasną zupełnie. Odczekał aż Steele spokojnie zadusi kota pod zasłoną, jakby przeprowadzał skomplikowany zabieg pod szpitalnym prześcieradłem.

Laing, nareszcie wolny, oddalił się bez słowa. Poruszał się ostrożnie ciemnym korytarzem, wśród świateł błyskających z drzwi plądrowanych mieszkań, z przewróconych lamp, leżących na podłodze, i ekranów telewizyjnych przywróconych po raz ostatni do przerwanego życia. Skądś dobiegała stłumiona muzyka, to odezwał się opuszczony adapter. W pustej sypialni projektor rzucał na ścianę na wprost łóżka ostanie sceny z pornograficznego filmu.

Doszedłszy do mieszkania Alice, Laing zawahał się, nie wiedząc, jak wytłumaczyć swoją obecność, ale kiedy siostra otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka, zrozumiał natychmiast, że go oczekiwała. W salonie stały dwie spakowane już walizki. Alice po raz ostatni podeszła do drzwi sypialni. W żółtym migającym świetle Frobisher leżał na łóżku, obok do połowy opróżnionej butelki whisky.

Alice wzięła Lainga za ramię.

– Spóźniasz się – powiedział z wyrzutem. – Czekam na ciebie od paru godzin. – Kiedy wychodzili, nawet nie obejrzała się na śpiącego męża. Laing przypomniał sobie, jak przed laty Alice i on wymykali się w ten sam sposób z pokoju, kiedy ich matka upadła po pijanemu i leżała nieprzytomna na podłodze.

Na klatce schodowej, kiedy spieszyli do bezpiecznej ciemności dwudziestego piątego piętra, słyszeli odgłosy jakiejś pomniejszej awantury. Piętnaście pięter, włącznie z tym, na którym mieszkał Laing, było teraz pozbawione prądu.

Niczym burza, która nie chce odejść i wciąż na nowo wraca, przemoc przetaczała się przez noc, podczas gdy Laing i siostra leżeli z otwartymi oczami na materacu w jego sypialni.

12 Na szczyt

W cztery dni później tuż po drugiej po południu, Richard Wilder wrócił ze swojej stacji telewizyjnej i wjechał na parking przy wieżowcu. Zmniejszył prędkość, tak żeby móc w pełni napawać się tą chwilą przybycia, rozsiadł się wygodnie za kierownicą i pewnym siebie spojrzeniem zmierzył fasadę budynku. Długie szeregi zaparkowanych samochodów wokół niego pokrywały się coraz to grubszą warstwą kurzu i cementowego pyłu, nawiewanego na gołe place osiedla z budow-

anego za ośrodkiem medycznym skrzyżowania dróg. Niewiele samochodów opuszczało parking, na którym prawie nie było wolnych miejsc, i Wilder przejeżdżał kolejne alejki, wracając na wstecznym biegu.

Dotknął świeżo zabliźnionego skaleczenia na nieogolonej szczęce, pamiątki po zaciekłej bitwie korytarzowej poprzedniej nocy. Celowo rozdrapał ranę i z zadowoleniem spojrzał na ślad krwi na palcu. Pędził w drodze ze studia telewizyjnego, jakby próbował wyrwać się z groźnego snu, krzycząc i trąbiąc na innych kierowców, jadąc pod prąd jednokierunkowymi uliczkami. Teraz był spokojny i rozluźniony. Widok pięciu wieżowców jak zwykle natychmiast go uspokoił, zapewniając osadzenie w rzeczywistości, którego brakowało mu w telewizji.

Przekonany, że znajdzie gdzieś wolne miejsce, Wilder kontynuował patrol. Początkowo parkował wraz ze swoimi sąsiadami z niższych pięter w szeregach na obrzeżu parkingu, ale w ciągu ubiegłych tygodni zaczął się przesuwać coraz bliżej budynku. Coś, co na początku wyglądało na nieszkodliwy przejaw próżności, ironiczny żart z samego siebie, wkrótce zaczęło odgrywać poważniejszą rolę jako widoczny miernik jego sukcesu lub niepowodzenia. Po kilku tygodniach, które poświęcił wspinaczce na szczyt budynku, czuł się upoważniony do parkowania na miejscach zarezerwowanych dla jego nowych sąsiadów. W końcu dojdzie do pierwszego rzędu. W tej chwili tryumfu, kiedy dotrze na czterdzieste piętro, jego samochód stanie w szeregu kosztownych wraków tuż przy budynku.

Poprzedniej nocy Wilder przez kilka godzin znajdował się na dwudziestym piętrze, a podczas niespodziewanego starcia przez parę minut na dwudziestym piątym. O świcie został jednak zmuszony do wycofania się z tej wysuniętej pozycji do swojej obecnej bazy, mieszkania na siedemnastym piętrze, należącego do telewizyjnego reżysera i byłego kompana od kieliszka nazwiskiem Hillman, który z ociąganiem zaakceptował to kukułcze pisklę w swoim gnieździe. Zdobycie kolejnego piętra znaczyło dla Wildera coś więcej niż tylko przypadkowe wejście do opuszczonego mieszkania. Były ich teraz dziesiątki, rozrzuconych po całym wieżowcu. Wilder przyjął bardziej wymagającą definicję wejścia: musiał zostać zaakceptowany przez nowych sąsiadów jako jeden z nich, zdobyć prawo zamieszkania inaczej niż siłą fizyczną. Krótko mówiąc, wymagał, żeby go potrzebowali; kiedy o tym myślał, parskał śmiechem.

Dotarł na dwudzieste piętro w rezultacie jednego z wielu demograficznych kaprysów, jakie zwykle utrudniały mu poruszanie się po budynku. Podczas ruchomych bitew, które wypełniały tę noc, zatrzymał się, żeby pomóc w zabarykadowaniu uszkodzonych drzwi mieszkania na dwudziestym piętrze, należącego do dwóch kobiet, zajmujących się analizami giełdowymi. Najpierw spróbowały ogłuszyć go butelką szampana, kiedy wetknął głowę przez dziurę w drzwiach, później przyjęły jego wyrażoną lekkim tonem ofertę współpracy: Wilder z wyrachowania nigdy nie był tak spokojny, jak w chwilach zagrożenia. Starsza z dwu kobiet, energiczna blondynka około trzydziestki, nazywała nawet Wildera jedynym normalnym mężczyzną w całym wieżowcu. On ze swojej strony wolał odgrywać dobrego sąsiada niż populistycznego przywódcę i Bonapartego korytarzowych barykad, pouczającego nieprzygotowane pospolite ruszenie redaktorów czasopism i dyrektorów finansowych, jak szturmować schody albo zabierać rywalom windy. Niezależnie od wszystkiego innego, im wyżej się wspinał, tym gorszy był stan fizyczny lokatorów: godziny spędzone w sali gimnastycznej na stacjonarnych rowerach przygotowywały ich jedynie do spędzania dalszych godzin na stacjonarnych rowerach.

Pomógłszy dwóm kobietom, Wilder spędził czas do świtu pijąc ich wino i usiłując doprowadzić do tego, żeby zaproponowały wprowadzenie się do ich mieszkania. Jak zwykle, gestykulował przy tym wymownie swoją kamerą i opowiadał o filmie dokumentalnym na temat wieżowca, zapraszając je do wystąpienia na ekranie, ale żadna z nich nie okazywała większego zainteresowania tą ofertą. Podczas gdy lokatorzy z niższych pięter rwali się do udziału w programie i wykrzyczenia swoich skarg, to ludzie z górnych poziomów zwykle już występowali w telewizji, często niejednokrotnie, jako eksperci w różnych programach publicystycznych. „Telewizja jest do tego, żeby ją oglądać, a nie żeby w niej występować” – powiedziała mu zdecydowanie jedna z kobiet.

Wkrótce po świcie pojawiła się kobieca grupa wypadowa. Ich mężowie albo się wyprowadzili do przyjaciółek na inne piętra, albo w ogóle odeszli z ich życia. Przywódczyni bandy, niemłoda autorka książek dla dzieci, zmierzyła Wildera groźnym spojrzeniem, kiedy zaproponował jej rolę gwiazdy w swoim filmie. Zrozumiawszy aluzję, Wilder wycofał się na z góry upatrzone pozycje w mieszkaniu Hillmanów na siedemnastym piętrze.

Kiedy Wilder krążył po parkingu w poszukiwaniu miejsca odpowiedniego dla jego nowego statusu, w niewielkiej odległości roztrzaskała się na dachu samochodu butelka, dematerializując się w błysku okruchów. Niewątpliwie zrzucono ją z dużej wysokości, może nawet z czterdziestego piętra. Wilder zwolnił maksymalnie, wystawiając się na cel. Nie zdziwiłby go widok białej postaci Anthony’ego Royala, stojącego w jednej ze swoich kabotyńskich póz przed wejściem do penthouse’u, z białym owczarkiem przy nodze.

W ciągu paru ostatnich dni kilkakrotnie mignął mu architekt, stojący wysoko na schodach albo znikający w zdobytej windzie, odjeżdżającej w górę. Niewątpliwie pokazywał się Wilderowi celowo, wabiąc go ku górze. Chwilami Royal wydawał się mieć jakąś niesamowitą wiedzę na temat zaburzonego obrazu ojca, jaki Wilder przechowywał na strychu swojego umysłu, ojca, widzianego zawsze w drzwiach dziecinnego pokoju. Czyżby Royal postanowił wziąć na siebie tę rolę, wiedząc, że związane z ojcem rozterki Wildera osłabią jego wolę zdobycia budynku? Wilder bębnił swoimi silnymi pięściami po kierownicy. Każdej nocy zbliżał się o kilka kroków do Royala, był coraz bliżej ich ostatecznej konfrontacji.

Tłuczone szkło skrzypiało pod kołami, jakby ktoś otwierał zamki błyskawiczne na oponach. Na wprost przed Wilderem, w pierwszym szeregu, zarezerwowanym dla mieszkańców ostatniego piętra, widniało wolne miejsce, zarezerwowane kiedyś dla samochodu nieżyjącego jubilera. Wilder bez wahania skierował się w tym kierunku.

„Najwyższy czas..."

Rozparł się w fotelu i z przyjemnością powiódł wzrokiem po zasypanych śmieciami wrakach z lewej i prawej. Wygląd tego miejsca był dobrym znakiem. Wilder nie spiesząc się wysiadł z samochodu, po czym agresywnie zatrzasnął drzwi. Krocząc w kierunku wejścia, czuł się jak pan na włościach, który właśnie kupił sobie górę.

W hallu wejściowym grupa zabiedzonych lokatorów z parteru przyglądała się Wilderowi, który minął windy i skierował się ku schodom. Odnosili się podejrzliwie do jego wędrówek po budynku i do jego niestałości. Tego dnia Wilder spędził kilka godzin z Helen i synami, próbując podnieść na duchu coraz bardziej zamykającą się w sobie żonę. Prędzej czy później będzie musiał porzucić ją na zawsze. Wieczorami, kiedy podjął na nowo wspinaczkę na szczyt wieżowca, Helen ożywiała się nieco, nawet rozmawiała z nim o jego pracy w telewizji, wspominając programy, nad którymi pracował lata temu. Poprzedniego wieczoru, kiedy przed wyjściem żegnał się z synami i sprawdzał zamki na drzwiach, Helen nagle go objęła, jakby chciała go zatrzymać. Przez mięśnie jej chudej twarzy przebiegła fala nieregularnych skurczów, jakby zapadki zamku szukały właściwych otworów.

Ku swemu zdziwieniu, po powrocie do mieszkania Wilder zastał żonę w stanie wielkiego podniecenia. Kiedy przecisnął się między workami śmieci i barykadami z połamanych mebli, przegradzającymi korytarz, Helen z grupą innych żon świętowała małe zwycięstwo. Umęczone kobiety z rozbrykanymi dzieciakami (wojna domowa w wieżowcu sprawiała, że stały się równie agresywne jak ich rodzice) tworzyły wzruszający żywy obraz.

Dwie młode kobiety z siódmego piętra, które pracowały poprzednio jako nauczycielki w szkole podstawowej, zgłosiły chęć wznowienia zajęć. Z trwożliwych spojrzeń, jakie rzucały w kierunku bojowej grupy trzech ojców – sprzedawcy programów komputerowych, dźwiękowca i pracownika biura podróży – stojących między nimi a drzwiami, Wilder domyślił się, że nauczycielki były ofiarami niezupełnie łagodnej perswazji.

Kiedy przygotowywał posiłek z ostatniej puszki mięsa dla psów, Helen siedziała przy stole w kuchni, a jej białe dłonie trzepotały jak para spłoszonych ptaków w klatce.

– Prawie nie mogę w to uwierzyć... przez godzinę albo dwie będę wolna.

– Gdzie będą się odbywać te lekcje?

– Przez następne dwa dni tutaj. Tyle przynajmniej mogę zrobić.

– To nadal będziesz z chłopcami. Ale lepsze to niż nic. Czy Helen jest zdolna porzucić dzieci, zadawał sobie pytanie Wilder. O niczym innym nie myślała. Bawiąc się z synami poważnie myślał o zabraniu ich ze sobą na wyprawę. Obserwował nerwowe wysiłki Helen, usiłującej zrobić w mieszkaniu porządek. Salon został splądrowany przez napastników. Podczas gdy Helen skryła się z chłopcami u sąsiadów, połamano większość mebli, a kuchnia została doszczętnie zniszczona. Helen przyniosła uszkodzone krzesła z jadalni i ustawiła je rzędem przed przetrąconym biurkiem męża. Chwiejące się krzesła, opierające się jedno o drugie, tworzyły żałosną parodię szkolnej klasy.

Wilder nawet nie próbował pomóc żonie. Patrzył, jak ciągnie meble cienkimi rękami. Chwilami prawie podejrzewał, że wycieńcza się celowo, a siniaki na jej rękach i kolanach są częścią wymyślnego systemu świadomego samookaleczenia, próbą odzyskania męża. Codziennie, wracając do domu, niemal oczekiwał, że zastanie ja na inwalidzkim wózku z połamanymi nogami i ogoloną głową, przygotowaną na ostatni desperacki krok – trepanację i lobotomię.

Dlaczego wciąż do niej wracał? Jego jedyną ambicją było teraz uwolnienie się od Helen, pokonanie potrzeby wracania do domu każdego popołudnia i zerwania w ten sposób wszelkich więzi z własnym dzieciństwem. Porzucając Helen, odciąłby się od całego systemu ograniczeń, przeciwko któremu buntował się od lat chłopięcych.

Nawet jego nieopanowane uwodzicielstwo stanowiło część tej samej próby uwolnienia się od przeszłości, próby, którą Helen niweczyła, nie zwracając na nią uwagi. Przynajmniej jednak jego romanse przygotowywały grunt pod wspinaczkę na szczyt wieżowca, zapewniając mu punkty zaczepienia, które miały mu umożliwić dotarcie na szczyt po uległych ciałach kolejnych kobiet.

Nie potrafił teraz przejąć się zbytnio problemami żony ani jej sąsiadkami z ich ciasnym, nieudanym życiem. Było już jasne, że dolne piętra są skazane na zagładę. Nawet ten nacisk na kształcenie dzieci, ostatni odruch oporu każdej uciskanej grupy przed ostateczną kapitulacją, zwiastował koniec ich oporu. Helen udało się zyskać wsparcie ze strony grupy kobiet z dwudziestego dziewiątego piętra. W czasie południowego zawieszenia broni autorka książek dla dzieci i jej towarzyszki wędrowały po wieżowcu, proponując porzuconym albo zagubionym żonom pomoc, jak siostry przewrotnej dobroczynności.

Wilder wszedł do pokoju synów. Na jego widok z radości zabębnili plastykowymi pistoletami automatycznymi o puste talerze. Mieli na sobie kombinezony na wzór wojskowych strojów maskujących i blaszane hełmy. Niewłaściwy ekwipunek, pomyślał Wilder, w świetle tego, co się działo w wieżowcu. Prawidłowe wyposażenie bojowe to garnitur w jodełkę, dyplomatka i kapelusz typu homburg.

Chłopcy byli głodni. Zawoławszy żonę Wilder wrócił do kuchni. Helen klęczała na podłodze przed elektrycznym piecykiem. Drzwiczki były otwarte i Wilderowi przyszło nagle do głowy, że Helen próbuje wcisnąć swoje małe ciało do piecyka. Może upiec się w akcie ostatecznego poświęcenia się dla rodziny.

– Helen... – Wilder schylił się zdziwiony lekkością jej ciała, przypominającego wiązkę patyków w bladej skórze. – Na litość boską, jesteś jak...

– Już dobrze... Zjem coś później. – Odsunęła się od niego i zaczęła bezmyślnie zdrapywać przypalony tłuszcz z dna piecyka. Patrząc na nią skuloną u swoich stóp, Wilder zrozumiał, że Helen na chwilę zemdlała z głodu.

Wilder pozwolił jej oprzeć się o piecyk i przebiegł wzrokiem puste półki. – Zostań tutaj – powiedział. – Pójdę do supermarketu i przyniosę ci coś do jedzenia. – Zły na nią dodał gniewnie: – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że głodujesz.

– Mówiłam ci sto razy.

Patrzyła z podłogi, jak mąż szuka w jej torbie pieniędzy, które ostatnio coraz mniej się przydawały. Wilder nie zatroszczył się nawet, żeby czek z ostatnią wypłatą przekazać na swoje konto. Podniósł swoją kamerę, upewnił się, że osłona obiektywu jest na miejscu. Obejrzał się na Helen i zauważył, że z jej drobnej twarzy spoglądały zaskakująco twarde oczy, prawie jakby śmieszyło ją uzależnienie męża od tej wyszukanej zabawki.

Zamknąwszy mieszkanie na klucz, Wilder wyruszył na poszukiwanie wody i pożywienia. W godzinach popołudniowej ciszy mieszkańcom dolnej części wieżowca pozostawiono jedną trasę dostępu do supermarketu na dziesiątym piętrze. Większość klatek schodowych została zabarykadowana na stałe: fotele i kanapy, stoły jadalne i pralki piętrzyły się od podłogi do sufitu. Z dwudziestu wind nie działało przeszło dwanaście. Pozostałe kursowały z przerwami, w zależności od widzimisię któregoś z dominujących klanów.

W hallu Wilder ostrożnie zaglądał do pustych szybów. Segmenty żelaznych poręczy i kawałki rur wbite, żeby uniemożliwić ruch kabin, przekreślały szyb, niemal tworząc w nim drabinę.

Ściany były pokryte hasłami i sprośnościami oraz napisami mieszkań, wytypowanymi do plądrowania, jak w jakimś szalonym informatorze. Przy drzwiach do windy utrzymany w surowym, wojskowym stylu napis informował o jedynej klatce schodowej, z której można bezpiecznie korzystać we wczesnych godzinach popołudniowych, i o godzinie policyjnej obowiązującej od trzeciej.

Wilder podniósł kamerę i przyjrzał się napisowi przez wizjer. To ujęcie byłoby doskonałym początkiem filmu dokumentalnego o wieżowcu. Nadal odczuwał potrzebę sporządzenia wizualnego zapisu tego, co dzieje się w tym budynku, ale jego determinacja zaczynała słabnąć. Upadek wieżowca przypominał mu zwolnione zdjęcia miasteczka w Andach, osuwającego się po stoku góry ku zagładzie, z mieszkańcami wciąż wieszającymi pranie na rozpadających się podwórkach i gotujących w kuchniach, podczas gdy ściany wokół nich rozpadają się w proch.

Dwadzieścia pięter wieżowca pogrążało się teraz wieczorem w ciemności i ponad sto mieszkań zostało opuszczonych przez lokatorów. System klanowy, który kiedyś dawał mieszkańcom pewne poczucie bezpieczeństwa, teraz zanikł prawie całkowicie, a poszczególne grupy pogrążały się w apatię albo paranoję. Wszędzie ludzie zamykali się w swoich mieszkaniach, często w jednym pokoju, i chowali się za barykadami. Na podeście piątego piętra Wilder przystanął, zdziwiony, że nikogo nie widać. Czekał przy drzwiach do hallu, nasłuchując jakichś podejrzanych odgłosów. Z mroku wyłoniła się wysoka postać starszawego socjologa z kubłem na śmieci w ręku i przesunęła się jak duch tonącym w odpadkach korytarzem. Przy całym zapuszczeniu budynku – wody prawie nie było, przewody klimatyzacyjne zostały zatkane śmieciami i odchodami, schody pozbawiono poręczy – mieszkańcy w ciągu dnia zachowywali się na ogół w sposób opanowany. Na podeście siódmego piętra Wilder zatrzymał się i oddał mocz na schody. W pewien sposób zdziwił go widok uryny spływającej między jego stopami, choć był to jeszcze najładniejszy wyraz chamstwa. Podczas nocnych bójek i napadów znajdował wyraźną i bezwstydną przyjemność w tryskaniu moczem wszędzie, gdzie mu się spodobało, i w oddawaniu kału w pustych mieszkaniach bez względu na zagrożenie zdrowia własnego i rodziny. Poprzedniej nocy z uciechą popychał przestraszona kobietę, która ośmieliła się zaprotestować, kiedy ulżył sobie na podłogę w jej łazience.

Wilder lubił i rozumiał noc: tylko w ciemnościach można było ujawnić swoje obsesje, świadomie pofolgować wszystkim tłumionym instynktom. Podobało mu się to wydobywanie na jaw zboczonych cech jego charakteru. Szczęśliwie, to nieskrępowane i zdegenerowane zachowanie przychodziło mu tym łatwiej, im wyżej znajdował się w budynku, jakby sprzyjała temu jakaś tajna logika tego wieżowca.

W pasażu na dziesiątym piętrze nie było żywej duszy. Wilder pchnął drzwi wejściowe z wybitą szybą i wkroczył do części handlowej. Bank zamknięto, podobnie jak salon fryzjerski i sklep z alkoholem. W supermarkecie ostatnia kasjerka, żona kamerzysty z trzeciego piętra, siedziała niewzruszenie w swoim punkcie kontrolnym, niczym królowa na wysypisku śmieci. Wilder przeszedł się między pustymi półkami. Na dnie lodówek w tłustej wodzie pływały jakieś gnijące paczki. Pośrodku supermarketu, na przejściu, rozsypała się piramida kartonów z pożywieniem dla psów.

Wilder włożył do koszyka trzy kartony i pół tuzina puszek zjedzeniem dla kotów. To powinno utrzymać Helen i chłopców przy życiu, póki nie włamie się do jakiegoś mieszkania z zapasem żywności.

– Nie ma tu nic, prócz jedzenia dla zwierząt – powiedział kasjerce przy kasie. – Czy przestaliście zamawiać wszystko inne?

– Nie ma zbytu – odpowiedziała kasjerka, bezmyślnie bawiąc się otwartą raną na czole. – Widocznie wszyscy się zaopatrzyli dawno temu.

To nieprawda, pomyślał Wilder, odchodząc w stronę hallu z windami, zostawiając kobietę samą w tym rozległym pasażu. Jak po włamaniach do niejednego mieszkania, doskonale wiedział, że tylko bardzo nieliczni mieli jakiekolwiek zapasy. Ludzie zachowywali się tak, jakby w ogóle przestali myśleć o dniu jutrzejszym.

O pięćdziesiąt stóp dalej, za leżącymi przed salonem fryzjerskim przewróconymi suszarkami, nad drzwiami windy lampki migały od lewej do prawej. To wjeżdżała na górę ostatnia w tym dniu winda publiczna. Gdzieś między dwudziestym piątym a trzydziestym piętrem, w zależności od zachcianki straży, kabina zostanie zatrzymana, znacząc koniec dziennego zawieszenia broni i początek następnej nocy.

Nie zastanawiając się, Wilder przyspieszył kroku. Dopadł drzwi w chwili, kiedy winda zatrzymała się piętro niżej, żeby wypuścić pasażera. W ostatnim momencie, kiedy już ponownie ruszyła w górę, nacisnął guzik.

W ciągu paru sekund, jakie mu pozostały do otwarcia drzwi, uświadomił sobie, że już postanowił porzucić Helen i synów na dobre. Miał przed sobą tylko jedną drogę, w górę. Niczym alpiniście, odpoczywającemu sto stóp od szczytu, nie pozostało mu nic innego, jak tylko wspinać się dalej.

Otworzyły się drzwi windy. Naprzeciwko niego stało sztywno, jak plastykowe manekiny, około piętnastu pasażerów. Ich stopy wykonały nieznaczny ruch, robiąc miejsce dla Wildera.

Wilder zawahał się, powstrzymując odruchową chęć odwrócenia się i ucieczki schodami w dół do swojego mieszkania. Pasażerowie nie spuszczali go z oka, wyczuwając jego brak zdecydowania i podejrzewając jakiś podstęp.

Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, Wilder zrobił krok do windy, trzymając przed sobą kamerę, i jeszcze raz podjął swoją wspinaczkę.

13 Barwy wojenne

Po dwudziestominutowym przestoju, denerwującym niczym kontrola na zabitym deskami punkcie granicznym, winda przejechała z szesnastego na siedemnaste piętro. Wilder, zmęczony długim oczekiwaniem, wyszedł do hallu, rozglądając się, gdzie by tu wyrzucić kartony z pożywieniem dla zwierząt. Stłoczeni jak śledzie w beczce powracający do domu doradcy finansowi i dyrektorzy z telewizji ściskali w dłoniach teczki i odwracali od siebie wzrok, wpatrując się w malunki na ścianach kabiny. Ktoś zdemontował metalowy dach i nad ich głowami wznosił się długi szyb, zapraszając każdego, kto chciałby czymś w nich rzucić.

Trzej pasażerowie, którzy wysiedli z Wilderem, znikli wśród barykad przecinających słabo oświetlone korytarze. Dotarłszy do mieszkania Hillmanów, Wilder stwierdził, że drzwi są na głucho zamknięte. Ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. Wilder próbował bez powodzenia wyłamać zamek. Może Hillmanowie opuścili mieszkanie i schronili się gdzieś u znajomych. Po chwili usłyszał cichy skrzyp z przedpokoju. Przyłożywszy ucho do drzwi rozróżnił głos pani Hillman, która lamentując pod nosem ciągnęła po podłodze jakiś ciężki przedmiot.

Po długim pukaniu i negocjacjach, w czasie których był zmuszony przemawiać do niej jej własnym skomlącym tonem, został wpuszczony do środka. Przedpokój przegradzała wielka barykada z mebli, urządzeń kuchennych, książek, ubrań i nakryć stołowych, jak miniaturowe wysypisko śmieci.

Hillman leżał na materacu w sypialni. Głowę miał zawiniętą podartą wieczorową koszulą przez którą krew przesączyła się na poduszkę. Kiedy wszedł Wilder, Hillman uniósł głowę, a jego ręka poszukała leżącego na podłodze kawałka poręczy balkonowej. Był jedną z pierwszych ofiar wytypowanych na kozła ofiarnego: jego szorstki i niezależny sposób bycia czynił go naturalnym celem. Podczas wypadu na następne piętro został trafiony w głowę statuetką stanowiącą nagrodę telewizyjną kiedy usiłował utorować sobie drogę na bronionej klatce schodowej. Wilder zniósł go do jego mieszkania i doglądał przez cała noc.

Wobec unieruchomienia męża, Hillmanowa była całkowicie uzależniona od Wildera, co nawet sprawiało mu w pewien sposób przyjemność. Pod nieobecność Wildera martwiła się o niego jak nadopiekuńcza matka, drżąca o dziecko, które się zgubiło, jednak jak tylko się pojawił, zapominała, kto to jest.

Teraz szarpała Wildera za rękaw, kiedy ten patrzył na leżącego Hillmana. Bardziej troszczyła się o swoją barykadę niż o męża z jego źle wróżącymi zaburzeniami wzroku. Prawie wszystko, co było w domu, nawet najmniejsze przedmioty, zniosła na barykadę, chwilami grożąc, że pogrzebie się żywcem. Wilder co noc przesypiał kilka godzin przed świtem, półleżąc w fotelu częściowo osadzonym w barykadzie. Słyszał, jak Hillmanowa kręciła się niezmordowanie wokół niego, dodając jakiś stołeczek, który gdzieś znalazła, trzy książki, płytę gramofonową szkatułkę z biżuterią.

Kiedyś Wilder obudził się i stwierdził, że wmontowała w barykadę część jego lewej nogi. Wygrzebywanie się z mieszkania zajmowało mu nieraz do pół godziny.

– Co to jest? – spytał Wilder z irytacją. – Co pani robi z moja ręką? – Hillmanowa wpatrywała się w torbę z jedzeniem dla psów, której Wilder z braku jakichkolwiek mebli nie miał gdzie odłożyć. Z jakiegoś powodu nie życzył sobie, żeby stała się ona częścią barykady.

– Sprzątałam dla pana – powiedziała Hillmanowa nie bez dumy. – Przecież chciał pan, prawda?

– Oczywiście... – Wilder rozejrzał się po mieszkaniu władczym okiem. Prawdę mówiąc, nie zauważył żadnych zmian, a poza tym wolał, żeby było brudno.

Co tam jest? – Hillmanowa w podnieceniu wyrywała mu torbę, szturchając go po łobuzersku w żebra, jakby był jej małym synem, którego przyłapała z tajnym dla niej prezentem. – Masz tam niespodziankę!

– Niech pani to zostawi! – Wilder odsunął ją brutalnie, omal nie zwalając jej z nóg. W pewien sposób bawiły go te absurdalne rytuały. Osiągali w ten sposób stopień poufałości, jaki nigdy nie był możliwy z Helen. Im wyżej przenosił się w budynku, tym łatwiej przychodziły mu te gierki.

Hillmanowej udało się wyrwać z torby paczkę psich biskwitów. Jej drobne ciało było zadziwiająco zwinne. Przyglądała się opasłemu basetowi na etykiecie. Zarówno ona, jak jej mąż, byli chudzi jak patyki. Wilder wręczył jej hojnie puszkę mięsa dla kotów.

– Niech pani macza biskwity w dżinie, wiem, że macie gdzieś schowaną butelkę. To wam obojgu dobrze zrobi.

– Chcemy psa! – Kiedy Wilder w odpowiedzi na ten pomysł zrobił gniewna minę, Hillmanowa przylgnęła do niego lubieżnie, przyciskając dłonie do jego umięśnionej piersi. – Piesek? Proszę, proszę...

– Wilder spróbował się od niej uwolnić, ale kusząco proszący ton jej głosu i nacisk palców na jego sutki podziałał na niego. Ich niespodziewana sprawność seksualna poruszyła jakąś ukrytą cechę jego charakteru. Hillman, z koszulą owiniętą wokół głowy jak krwawy turban, przyglądał się im biernie z twarzą pozbawioną cienia rumieńca. Wilder pomyślał, że przy zaburzeniach wzrokowych Hillmana puste mieszkanie zapełniały pewnie obściskujące się kopie jego i Hillmanowej. Udał, że się z nią wita i z ciekawości przejechał dłońmi po jej małych jak jabłka pośladkach, żeby przekonać się, jak na to zareaguje jej ranny mąż, Hillman jednak nawet nie mrugnął okiem. Wilder przestał poklepywać jego żonę, kiedy zauważył, że ta otwarcie poddaje się jego zalotom. Chciał, żeby ich wzajemne relacje ułożyły się na zupełnie innym planie.

– Richard, wiem dlaczego przyszedł mi pan na ratunek... – Hillmanowa podeszła za nim do barykady nie wypuszczając jego ramienia. – Czy ich pan ukarze?

To była inna z ich gierek. „Ratunek" wyobrażała sobie głównie jako upokorzenie „ich", czyli wszystkich mieszkańców wieżowca poniżej siedemnastego piętra, i zmuszenie ich do padnięcia na twarz w nieskończonej kolejce pod jej drzwiami.

– Ukarzę ich – zapewnił ją Wilder. – Zgoda? Hillmanowa przypierała go do barykady, swoją ostrą brodą wbijając się w jego pierś. Trudno o gorzej dobraną parę, uznał Wilder, moglibyśmy grać fałszywą matkę i fałszywego syna. Kiwając z zapałem głową na myśl o odwecie, Hillmanowa sięgnęła w głąb barykady i zaczęła wyciągać z niej czarną metalową rurę. W miarę, jak się wyłaniała, Wilder rozpoznał lufę dubeltówki.

Zaskoczony, wyjął jej broń z ręki. Hillmanowa uśmiechnęła się zachęcająco, jakby oczekiwała, że Wilder natychmiast wyjdzie na korytarz i kogoś zastrzeli. Złamał lufę i stwierdził, że pod kurkami znajdują się dwa dobre naboje.

Wilder zabrał strzelbę od Hillmanowej, uświadamiając sobie, że była to prawdopodobnie tylko jedna z setek sztuk podobnej broni w wieżowcu: strzelb sportowych, pamiątek z wojska, damskich pistoletów. A jednak mimo całej epidemii przemocy, nie padł dotąd ani jeden strzał. Wilder doskonale wiedział, dlaczego. On sam nigdy by nie użył tej strzelby, nawet pod groźbą śmierci. Między mieszkańcami wieżowca obowiązywała niepisana umowa, że wszystkie konflikty będą rozstrzygane wyłącznie środkami fizycznymi.

Wilder wepchnął strzelbę na powrót w barykadę i odepchnął Hillmanową.

– Odejdź, ratuj się sama...

Kiedy pół żartem, pół serio protestowała, zaczął w nią rzucać psimi przysmakami, zasypując nimi podłogę. Znęcanie się nad nią sprawiało mu przyjemność. Drażniąc się z nią na oczach unieruchomionego męża, nie dawał jej jedzenia, aż zrezygnowała i wycofała się do kuchni. Wieczór dobrze się zaczął. W miarę, jak wieżowiec pogrążał się w mroku, Wilder stawał się coraz bardziej gruboskórny, celowo uzbrajając się w chamstwo, jak chuligan igrający z bezbronną nauczycielką.

Podczas tej nocy, przerywanej aktami przemocy, Wilder pozostawał w mieszkaniu Hillmanowej na siedemnastym piętrze do drugiej nad ranem. Wyraźny spadek liczby incydentów niepokoił Wildera, który w swojej wspinaczce na szczyt budynku polegał na proponowaniu różnym walczącym grupom swojej pomocy w roli agresywnego bojówkarza. Tymczasem otwarte konflikty plemienne z poprzedniego tygodnia wygasły. Wraz z rozpadem struktury klasowej formalne granice i linie zawieszenia broni zanikły na rzecz małych enklaw, obejmujących trzy albo cztery mieszkania, a te było znacznie trudniej poznawać i wykorzystywać.

Wilder i Hillmanowa siedzieli na podłodze w salonie, oparci plecami o przeciwległe ściany i nasłuchiwali stłumionych odgłosów zza ścian. Mieszkańcy wieżowca byli jak zwierzęta z ZOO, w którym zgasło światło, leżące obok siebie we wrogim spokoju i co jakiś czas rzucające się na siebie w krótkich aktach zajadłej agresji.

Najbliżsi sąsiedzi Hillmanów, agent ubezpieczeniowy i jego żona, para dyrektorów finansowych i farmaceuta, byli apatyczni i zdezorganizowani. Wilder odwiedził ich kilkakrotnie, ale stwierdził, że odwoływanie się do korzyści nie robi na nich wrażenia. Jedynie najbardziej brutalne przejawy irracjonalnej wrogości potrafiły ożywić ich odrętwiałe umysły. Tylko udawane i nie udawane wybuchy gniewu Wildera oraz jego wizje zemsty wyrywały ich na krótko ze stanu otępienia.

Takie grupowanie się wokół najbardziej radykalnych i agresywnych przywódców zachodziło w całym wieżowcu. W godzinach po północy błyskały latarki za barykadami w hallach i korytarzach, gdzie grupki złożone z pięciu czy sześciu lokatorów kucały wśród plastykowych worków ze śmieciami, podburzając się nawzajem niczym goście na weselu, którzy upijają się widząc, że oni też będą wkrótce kopulować wśród tortów.

O drugiej wyszedł z mieszkania Hillmanów i zabrał się do podburzania ich sąsiadów. Mężczyźni siedzieli w ciasnym kręgu z dzidami i maczugami w dłoniach, z piersiówkami whisky zebranymi u ich stóp. Promienie latarek oświetlały piramidy worków z odpadkami, widoczne muzeum szczątków ich cywilizacji. Wilder zasiadł w środku kręgu, kreśląc plany kolejnej wyprawy łupieżczej na wyższe piętra. Ludzie, mimo że wygłodnieli w ciągu ostatnich dni, nie kwapili się do wyprawy, bojąc się siły lokatorów z góry. Wilder umiejętnie rozbudzał ich fantazje. I znów wybrał na kozła ofiarnego psychiatrę Adriana Talbota, którego tym razem oskarżył o molestowanie dziecka w przebieralni na basenie. Zrozumiały dla wszystkich fałsz oskarżenia wzmacniał tylko jego oddziaływanie. Jednak przed wyruszeniem ludzie domagali się, żeby Wilder wymyślił jakąś jeszcze bardziej wstrząsającą zbrodnię, jakby wyimaginowany charakter seksualnych występków Talbota stanowił ich główna cechę. Zgodnie z logiką wieżowca ci, którzy mieli najmniej na sumieniu, stawali się najbardziej winni.

Tuż przed świtem Wilder znalazł się w pustym mieszkaniu na dwudziestym szóstym piętrze. Zajmowała je poprzednio kobieta z małym synem, teraz stało opuszczone i nikt nie próbował zamknąć go z zewnątrz. Zmęczony po szaleństwach tej nocy, Wilder bez wahania wdarł się do środka. Opuścił swoją grupę bojową, pozostawiając jej zdemolowanie po raz dziesiąty mieszkania Talbota. Podczas tych ostatnich chwil ciemności postanowił zainstalować się w jakimś pustym mieszkaniu i przespać długie godziny światła dziennego, żeby o zmroku podjąć swoją wspinaczkę.

Wilder obszedł trzy pokoje, upewniając się też, że nikt nie ukrywa się w kuchni ani w łazience. Chodził tak po ciemku, kopniakami otwierając drzwiczki kredensów, strącając na podłogę książki i bibeloty. Odchodząc, właścicielka podjęła niezbyt konsekwentną próbę doprowadzenia mieszkania do porządku i wrzuciła zabawki dziecka do szafki w sypialni. Widok świeżo zamiecionych podłóg i akurat nieupiętych zasłon wyprowadził Wildera z równowagi.

Pozrywał zasłony, zrzucił z łóżek materace i oddał mocz do wanny. Z luster w sypialni spoglądała na niego krzepka postać z ciężkimi genitaliami wypadającymi z rozpiętych spodni. Miał stłuc lustro, ale powstrzymał go widok jego własnego penisa – zwisającej w ciemności białej buławy. Odczuł potrzebę przyozdobienia jej, może wstążką do włosów zawiązaną w fantazyjną kokardę.

Teraz, kiedy był sam, Wilder wierzył w swój sukces. Nawet głód ustępował przed uczuciem tryumfu, wynikającym z osiągnięcia połowy wysokości wieżowca. Za oknem teren wokół budynku był ledwo widoczny, stanowił część świata, który zostawił za sobą. Gdzieś w górze Anthony Royal przechadzał się ze swoim białym wilczurem, nieświadom czekającej go wkrótce niespodzianki.

O świcie zjawiła się właścicielka mieszkania i trafiła do kuchni, gdzie wypoczywał Wilder. Zdążył już wypocząć i siedział wygodnie na podłodze, oparty o piecyk, w otoczeniu resztek jedzenia. Znalazł kilka puszek konserw, a także dwie butelki czerwonego wina w niezmiennym schowku pod podłogą szafy w ścianie. Otworzywszy puszki, Wilder bawił się magnetofonem na baterie, który znalazł wśród zabawek dziecka. Nagrywał swoje postękiwania i beknięcia, a potem ich słuchał. Bawiła go zręczność, z jaką posługiwał się tym urządzeniem, nakładając na siebie trzy ciągi beknięć, umiejętność, która teraz zachowała się wyłącznie w jego pokrytych bliznami palcach z czarnymi, połamanymi paznokciami.

Dwie butelki wina wprawiły go w nastrój przyjemnego oszołomienia. Rozmazując czerwone wino na swojej szerokiej piersi, Wilder spojrzał życzliwie na przestraszoną kobietę, która weszła do kuchni i potknęła się o jego nogi.

Kiedy spojrzała na niego, ręką nerwowo osłaniając szyję, Wilder przypomniał sobie, że kobieta kiedyś nazywała się Charlotte Melville. To imię i nazwisko oddzieliły się teraz od niej, jak numer sportowca porwany podmuchem wiatru. Często bywał w tym mieszkaniu i to wyjaśniało mglistą znajomość mebli i zabawek, chociaż krzesła i kanapa zostały przestawione, żeby przesłonić różne kryjówki.

– Wilder...? – Jakby niepewna jego nazwiska, Charlotte Melville wypowiedziała je łagodnie. Tej nocy schroniła się z synem u mieszkającego trzy piętra wyżej statystyka, z którym się ostatnio zbliżyła. Gdy tylko się rozjaśniło i wszystko się uspokoiło, wróciła, żeby zabrać resztę zapasów żywności przed opuszczeniem mieszkania na dobre. Szybko odzyskawszy panowanie nad sobą obrzuciła krytycznym spojrzeniem krzepkiego mężczyznę, leżącego jak dzikus z obnażonym kroczem wśród butelek po jej winie, z piersią pomalowaną w czerwone pasy. Nie miała poczucia krzywdy i nie czuła gniewu, tylko fatalistycznie akceptowała szkody, jakie beztrosko wyrządził jej ten człowiek – takie, jak silna woń jego moczu rozchodzącego się z łazienki.

Wyglądał, jak ktoś półprzytomny i Charlotte powoli cofnęła się w stronę drzwi, ale Wilder wyciągnął rękę i złapał ją za kostkę, uśmiechając się do niej wyraźnie. Podniósłszy się z podłogi, krążył wokół niej z magnetofonem uniesionym w jednej ręce, jakby chciał ją nim uderzyć. Zamiast tego włączył go, odgrywając dla niej sekwencję beknięć i postękiwań, wyraźnie dumny z tej demonstracji swoich niespodziewanych umiejętności. Jednocześnie kierował ją w głąb mieszkania z pokoju do pokoju, podczas gdy cofała się przed jego nagranymi odgłosami.

Kiedy japo raz pierwszy uderzył, rzucając na podłogę sypialni, chciał nagrać jej zduszony okrzyk, ale taśma się akurat zacięła. Zwolnił ją ostrożnie, schylił się i kilkakrotnie spoliczkował Charlotte, przestając dopiero, kiedy upewnił się, że nagrał jej – teraz już rozmyślne – okrzyki. Sprawiało mu przyjemność znęcanie się nad nią i zapisywanie jej przesadnych, ale przecież autentycznych, okrzyków przestrachu. Podczas niezdarnej kopulacji na materacu w pokoju dziecka, Wilder zostawił włączony magnetofon na podłodze obok i puścił potem odgłosy tego krótkiego gwałtu, łącząc je z dźwiękiem rozrywanej bielizny i gniewnego sapania.

Później, znudzony kobietą i tymi zabawami z magnetofonem, cisnął maszynę w kąt. Uznał, że jego własne słowa, choćby i brutalne, stanowiły dysonans. Nie chciał odzywać się do Charlotte ani do nikogo innego, jakby słowa nadawały wszystkiemu niewłaściwe znaczenie.

Kiedy Charlotte się ubrała, zjedli razem śniadanie na balkonie, siedząc przy stoliku z niestosowną staromodną etykietą. Charlotte zjadła resztki konserw, jakie znalazła na podłodze w kuchni, a Wilder dopił wino, odnawiając sobie czerwone pasy na piersi. Wschodzące słońce ogrzewało jego obnażone narządy płciowe i czuł się jak zadowolony mąż, siedzący z żoną w willi wysoko na stoku góry. Spróbował naiwnie wytłumaczyć Charlotte cel swojej wspinaczki i nieśmiało wskazał w górę na dach, ale ona nie rozumiała. Owiązała swoje silne ciało podartą odzieżą i mimo siniaków na twarzy i szyi wydawała się spokojna, spoglądając na Wildera z obojętnym wyrazem twarzy.

Z balkonu Wilder widział dach wieżowca, od którego dzieliło go niewiele ponad dwanaście pięter. Upojenie płynące z mieszkania na tej wysokości było niemniej rzeczywiste niż to wywołane winem z trzymanej przez niego butelki. Widział już szereg wielkich ptaków, które obsiadły balustradę, niewątpliwie czekając aż przyjdzie i obejmie nad nimi komendę.

Niżej, na dwudziestym piętrze, jakiś mężczyzna palił na balkonie ognisko, łamiąc stolik do kawy i podkładając nogi do garści kopcących drewienek, na których ustawił puszkę zupy.

Do parkingu podjechał samochód policyjny. Kilku mieszkańców, porządnie ubranych w garnitury i płaszcze nieprzemakalne, z dyplomatkami w ręku, wyruszało już o tak wczesnej godzinie do pracy. Porzucone na drogach dojazdowych samochody nie pozwoliły policjantom dojechać do głównego wejścia i funkcjonariusze wysiedli, żeby porozmawiać z przechodzącymi lokatorami wieżowca. Normalnie żaden z nich nie odezwałby się do kogoś z zewnątrz, ale teraz zgromadzili się wokół dwóch policjantów. Wilder zastanawiał się, czy zdradzą, co się dzieje, ale chociaż nie mógł ich słyszeć, był pewien, że wie, co oni mówią. Niewątpliwie uspokajali policjantów, zapewniając ich, że wszystko jest w porządku, mimo rozsypanych wokół budynku śmieci i potłuczonych butelek.

Postanowiwszy sprawdzić przed snem stan bezpieczeństwa, Wilder wyszedł na korytarz. Stał przed drzwiami w przeciągu stęchłego powietrza. Podobały mu się bogate zapachy wieżowca. Tak jak śmieci, również odchody mieszkańców wyższych pięter miały wyraźnie inny zapach.

Wróciwszy na balkon, patrzył jak policjanci odjeżdżają swoim samochodem. Z około dwudziestu lokatorów, którzy jeszcze chodzili codziennie do pracy, trzech zmieniło zdanie, widocznie zbitych z tropu koniecznością przekonywania policjantów, że wszystko jest w porządku. Ze spuszczonymi głowami pospiesznie zawrócili do głównego wejścia.

Wilder wiedział, że już więcej nie wyjdą na zewnątrz. Oddzielenie wieżowca od otaczającego go świata było już prawie zakończone i prawdopodobnie dobiegnie kresu wraz ze zdobyciem przez niego szczytu. Ukojony tym obrazem usiadł na podłodze i oparłszy głowę na ramieniu Charlotte Melville zapadł w sen, podczas gdy ona gładziła czerwone pasy na jego piersi i ramionach.

14 Ostateczny tryumf

O zmierzchu, po wzmocnieniu wart, Anthony Royal kazał zapalić świece na stole w jadalni. Z rękami w kieszeni żakietu stał przy oknie penthouse'u na czterdziestym piętrze i patrzył w dół na betonowe place osiedla. Wszyscy mieszkańcy, którzy rano wyszli do biur, teraz zaparkowali samochody i weszli do budynku. Po ich szczęśliwym powrocie Royal poczuł, że po raz pierwszy może odetchnąć, jak kapitan czekający z rozwinięciem żagli, aż ostatni członek załogi wróci z przepustki w obcym porcie. Zaczął się wieczór.

Royal zasiadł na dębowym krześle z wysokim oparciem na miejscu gospodarza. Światło świec igrało na srebrnych sztućcach i złotym półmisku, odbijało się w jedwabnych klapach jego żakietu. Jak zwykle uśmiechnął się na widok teatralności tej wymyślnej scenografii, przypominającej niedopracowany niskobudżetowy klip reklamowy jakiegoś luksusowego produktu. Zaczęło się to przed trzema tygodniami, kiedy on i Pangbourne postanowili ubierać się wieczorowo do każdej kolacji. Royal kazał kobietom rozłożyć stół na pełną długość tak, żeby siedzieć plecami do drzwi balkonowych i oświetlonych pokładów sąsiednich wieżowców. Dostosowując się do niego, kobiety przyniosły z tajnych schowków świece i srebrne nakrycia a także przygotowały wyszukany posiłek. Ich cienie przemykały po suficie, jakby krążyły wokół stołu jakiegoś feudalnego pana. Na Pangbournie, który siedział na drugim końcu długiego stołu, zrobiło to należyte wrażenie.

Oczywiście, jak ginekolog dobrze wiedział, całe to przedstawienie nie miało większego znaczenia. O krok poza kręgiem światła świec piętrzyły się pod ścianami w kilku rzędach worki śmieci. Na zewnątrz korytarze i klatki schodowe były zastawione połamanymi meblami oraz barykadami z pralek i lodówek. Szyby wind zastąpiły zsypy do śmieci. Nie działała już żadna z dwudziestu wind w bloku i w szybach gromadziły się odpadki kuchenne i zdechłe psy. Coraz bledsze podobieństwo jakiegoś cywilizowanego porządku zachowało się na trzech górnych piętrach, w ostatniej plemiennej enklawie budynku. Jednak błędem okazało się założenie Royala i Pangbourne'a, że poniżej nich zawsze będzie działać jakaś organizacja, którą będzie można opanować i wykorzystać. Przechodzili teraz do rzeczywistości pozbawionej jakiejkolwiek organizacji społecznej. Klany rozpadły się na małe grupki zabójców i samotnych myśliwych, budujących pułapki na ludzi w pustych mieszkaniach albo polujących na zbłąkanych przechodniów w pustych korytarzach.

Royal podniósł wzrok znad wypolerowanego stołu na wchodzącą do pokoju kobietę, niosącą w silnych rękach srebrną tacę. Przyglądając się jej przypomniał sobie, że jest to żona Wildera. Miała na sobie jeden z dobrze skrojonych strojów

Anne i Royal nie po raz pierwszy pomyślał, z jaką łatwością ta inteligentna kobieta dopasowała się do górnych pięter wieżowca. Przed dwoma tygodniami, kiedy znaleziono ją z dwójką dzieci porzuconą przez męża w mieszkaniu na dziewiętnastym piętrze, była całkowicie wyczerpana oraz półprzytomna z głodu i poniżenia. Czy to w poszukiwaniu męża, czy też wiedziona jakimś niejasnym instynktem, zaczęła wspinać się w górę. Grupa wypadowa zabrała ją na ostatnie piętro. Pangbourne chciał się pozbyć tej anemicznej zagubionej kobiety, ale Royal postanowił inaczej. Gdzieś tam w dole Wilder nadal wspinał się na szczyt wieżowca i któregoś dnia jego żona mogła się okazać wartościową zakładniczką. Dołączono ją do grupy porzuconych żon, które mieszkały razem z dziećmi w sąsiednim mieszkaniu i zarabiały na utrzymanie, pracując jako służące.

Po paru dniach pani Wilder odzyskała siły i wiarę w siebie. To nie była już ta zastraszona i przygarbiona kobieta; przypominała znów poważną i atrakcyjną żonę obiecującego reportera telewizyjnego, która przed rokiem wprowadziła się do wieżowca.

Royal zauważył, że pani Wilder sprząta nakrycie Pangbourne'a, zbierając idealnie czyste sztućce na tacę.

– Wyglądają na czyste – odezwał się do niej Royal. – Nie sądzę, żeby doktor Pangbourne coś zauważył. – Kiedy nie zwracając uwagi na jego słowa, nadal sprzątała ze stołu, Royal spytał: – Czy miała pani od niego jakieś wiadomości? Rozumiem, że nie będzie mi towarzyszyć dziś wieczorem.

– Ani jutro, ani pojutrze. Odmówił dalszego przychodzenia. – Pani Wilder spojrzała przez stół na Royala prawie, jakby poczuła przebłyski troski o niego. – Uważałabym na doktora Pangbourne'a – dodała rzeczowo.

– Zawsze uważałem.

– Kiedy ktoś taki jak doktor Pangbourne traci apetyt, należy założyć, że ostrzy zęby na coś znacznie bardziej atrakcyjnego... i znacznie bardziej niebezpiecznego.

Royal przyjął jej chłodną radę bez komentarza. Nie zdziwiło go, że te kolacje dobiegały końca. Zarówno on, jak i Pangbourne przewidywali nieuchronny rozpad ostatniego klanu w budynku, wycofali się swoich siedzib na dwóch końcach dachu, zabierając ze sobą swoje kobiety. Pangbourne wprowadził się do penthouse'u po zmarłym jubilerze. To dziwne, myślał Royal, ale wkrótce znajdą się w punkcie wyjścia, każdy lokator będzie znów izolowany w swoim mieszkaniu.

Coś ostrzegało go, żeby zrezygnować z tego posiłku, ale czekał, aż pani Wilder go obsłuży. Po tylu przejściach nic, co ginekolog mógł zrobić, nie było w stanie go zatrzymać. Podczas ostatnich miesięcy prawie wszystkie skutki wypadku ustąpiły i Royal czuł się silniejszy i bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek. Wygrał walkę o panowanie nad wieżowcem i ponad wszelką wątpliwość udowodnił swoje prawo do rządzenia tym olbrzymim budynkiem, choć przypłacił to swoim małżeństwem. Co do nowego porządku społecznego, którego powstanie miał nadzieję zobaczyć, to wiedział już teraz, że jego pierwotna wizja wieżowca jako ptaszarni była bliższa prawdy, niż sądził. Sam o tym nie wiedząc, zbudował gigantyczny pionowy ogród zoologiczny z setkami klatek ustawionych jedna na drugiej. Wszystkie wydarzenia ubiegłych kilku miesięcy nabierały sensu, kiedy się pomyślało, że te olśniewające egzotyczne stworzenia nauczyły się otwierać drzwiczki.

Royal odchylił się na oparcie, podczas gdy pani Wilder podawała do stołu. Ponieważ jego własna kuchnia nie była do tego przystosowana, wszystkie posiłki przygotowywano w sąsiednim mieszkaniu. Pani Wilder pojawiła się stamtąd ponownie z tacą w ręku, przeciskając się między workami śmieci, którymi był zastawiony korytarz. Pomimo powrotu do barbarzyństwa, mieszkańcy wieżowca pozostali wierni swoim tradycjom i nadal produkowali imponujące ilości odpadków.

Główne danie stanowił, jak zwykle, kawałek pieczeni. Royal nigdy nie pytał o pochodzenie mięsa – najpewniej był to pies. W dziedzinie zaopatrzenia kobiety panowały nad sytuacją. Pani Wilder stała przy stole i patrzyła w okno, podczas gdy Royal próbował mocno przyprawionego dania. Niczym dobrze wyszkolona gospodyni czekała, aż Royal wyrazi jakąś formę aprobaty, chociaż nigdy nie okazywała, że przejmuje się pochwałą albo krytyką. Mówiła bez cienia emocji, zupełnie inaczej niż z Anne i innymi kobietami. W istocie, pani Wilder spędzała więcej czasu z jego żoną niż on sam. W sąsiednim mieszkaniu żyło razem sześć kobiet, oficjalnie dla łatwiejszej obrony przed niespodziewanym atakiem. Royal odwiedzał czasami Anne, ale było coś zniechęcającego w tej dobrze się rozumiejącej grupce kobiet, siedzących na łóżkach otoczonych workami śmieci i wspólnie zajmujących się dziećmi Wilderów. Kiedy stawał niezdecydowany w drzwiach, przyglądały mu się i czekały aż sobie pójdzie. Nawet Anne oddaliła się od niego, częściowo z lęku przed Royalem, ale również dlatego, że nie czuła się dłużej potrzebna. Wreszcie, po wielomiesięcznych próbach utrzymania dominującej pozycji, Anne postanowiła dołączyć do reszty mieszkańców.

– Jak zwykle znakomite. Chwileczkę... zanim pani odejdzie. – Royal odłożył widelec i spytał obojętnym tonem: – Czy słyszała pani coś o nim? Może ktoś go widział?

Pani Wilder potrząsnęła głową, znudzona tym ogródkowym wypytywaniem. – Kogo...? – spytała.

– Pani męża, Richarda, zdaje się Wildera.

Pani Wilder patrzyła z góry na Royala, potrząsając głową, jakby go nie poznawała. Royal był przekonany, że za pomniała tożsamość nie tylko swojego męża, ale wszystkich mężczyzn, włącznie z nim. Żeby to sprawdzić, położył dłoń na jej udzie, gładząc silny mięsień. Pani Wilder stała z tacą bez ruchu, nie zwracając uwagi, częściowo dlatego, że w ciągu ubiegłych miesięcy napastowało ją tylu mężczyzn, ale także dlatego, że seksualne zaczepki przestały cokolwiek znaczyć. Kiedy Royal dotknął palcami jej sromu, zareagowała nie odepchnięciem jego dłoni, ale przesunięciem jej na wysokość talii, jakby to zrobiła z zabłąkaną ręką dziecka.

Kiedy odeszła, zabierając kawałek mięsa, który Royal zawsze dla niej zostawiał, architekt rozsiadł się wygodnie za długim stołem. Był zadowolony, że odeszła. Pani Wilder bez pytania uprała jego białą kurtkę, usuwając ślady krwi, które swego czasu z taką dumą obnosił i którym zawdzięczał nie tylko swoje poczucie wyższości, ale i całą nieformalną pozycję w wieżowcu.

Czy zrobiła to rozmyślnie, wiedząc, że pozbawi go w ten sposób męskości? Royal pamiętał jeszcze okres niekończących się przyjęć, kiedy budynek był oświetlony jak pijany transatlantyk. Royal z całą powagą odgrywał rolę feudalnego pana, przewodnicząc co wieczór posiedzeniom rady, odbywającym się w jego salonie. Kiedy zasiadali przy świecach, ci neurochirurdzy, profesorowi i brokerzy, ujawniali wszystkie swoje talenty do intrygi i walki o przetrwanie, jakie ćwiczyli latami w przemyśle, handlu i życiu akademickim. Przy całym formalnym słownictwie porządków dziennych i protokołów, zgłaszanych i popieranych wniosków, przy wszystkich tych słownych rekwizytach, odziedziczonych po setkach i tysiącach posiedzeń, były to w istocie rady plemienne. Tutaj obmyślali nowe podstępy dla zdobycia jedzenia i kobiet, dla obrony górnych pięter przed maruderami, plany sojuszów i zdrad. Wyłonił się teraz nowy porządek, w którym całe życie w obrąbie wieżowca obracało się wokół trzech obsesji: bezpieczeństwa, jedzenia i seksu.

Wstawszy od stołu, Royal wziął srebrny lichtarz i podszedł z nim do okna. W całym budynku nie paliło się ani jedno światło. Na dwóch piętrach, czterdziestym i trzydziestym siódmym, elektryczność była, ale z niej nie korzystano. Ciemność podnosiła na duchu, tutaj mogły rozkwitać prawdziwe złudzenia.

Czterdzieści pięter niżej samochód skręcił na parking i przez labirynt dróżek zmierzał na swoje miejsce, odległe o dwieście jardów od budynku. Wysiadł z niego kierowca w kurtce lotniczej i wysokich butach, który z pochyloną głową spieszył do wejścia. Royal domyślał się, że ten nieznany mężczyzna prawdopodobnie jako ostatni opuszczał budynek i udawał się do pracy.

Gdzieś na dachu zaskomlał pies. Daleko w dole z mieszkania położonego dwadzieścia pięter niżej w ścianie urwiska, rozległ się jeden krótki krzyk – bólu, rozkoszy, czy wściekłości, nie miało to już więcej znaczenia. Royal czekał z bijącym sercem. W chwilę później rozległ się drugi okrzyk, bezsensowny skowyt. Te krzyki wyrażały całkowicie abstrakcyjne emocje, wyrwane z kontekstu otaczających je wydarzeń.

Royal czekał, spodziewając się, że ktoś z jego świty wejdzie i poinformuje go o prawdopodobnych przyczynach tych awantur. Poza kobietami w sąsiednim mieszkaniu, na korytarzu wśród worków ze śmieciami przebywało zazwyczaj kilku młodych ludzi – właściciel galerii z trzydziestego dziewiątego piętra i modny fryzjer z trzydziestego ósmego – którzy oparci o włócznie pilnowali barykady od strony schodów.

Wziąwszy swoją chromowaną laskę, Royal wyszedł z jadalni, oświetlając sobie drogę świecą w srebrnym lichtarzu. Potykając się o czarne plastykowe worki, zastanawiał się, dlaczego nie wyrzucano ich po prostu z okna. Może ludzie trzymali te odpadki nie tyle z obawy przed zwróceniem na siebie uwagi zewnętrznego świata, co z potrzeby zachowania tego, co swoje, otaczania się mieszaniną resztek posiłków, strzępów zakrwawionych bandaży, potłuczonych butelek, zawierających kiedyś wino, którym się upijali, a wszystko to przezierało przez na wpół przezroczysty plastyk.

Jego mieszkanie stało puste, w wysokich pokojach nie było żywej duszy. Royal ostrożnie wyszedł na korytarz. Posterunek przy barykadzie został opuszczony i żadna smużka światła nie padała zza drzwi sąsiedniego mieszkania, w którym mieszkały kobiety. Zdziwiony ciemnościami w ruchliwej zazwyczaj kuchni, Royal wszedł do przedpokoju. Odtrącił nogą dziecinną zabawkę i uniósł świecę wysoko, próbując dostrzec jakieś śpiące postacie w przyległych pokojach.

Na materacach, pokrywających podłogę największej sypialni, leżały pootwierane walizki. Royal stał w drzwiach, otoczony plątaniną zapachów, kłębiących się w ciemności, jak świetliste ślady pozostawione przez uciekinierki. Po chwili wahania wyciągnął rękę i zapalił światło.

Natychmiast elektryczny blask, tak obcy po migotliwym płomyku świecy i błyskach pochodni, ukazał sześć materacy. Na wpół spakowane walizki leżały jedna na drugiej, jakby kobiety odeszły stąd nagle, na jakiś umówiony znak. Większość ubrań pozostawiły i Royal rozpoznał kombinezon, w którym pani Wilder usługiwała mu przy stole. W szafach, jak na stosiku w sklepie, wisiały rzędy sukienek i garsonek Anne.

Płaskie światło, martwe jak na policyjnych zdjęciach, dokumentujących miejsce zbrodni, padało na poszarpane materace i porzuconą odzież, plamy wina na ścianach i zapomniane kosmetyki pod nogami.

Patrząc na to wszystko, Royal wsłuchiwał się w ciche szmery, dobiegające z ciemnego korytarza i oddalające się, jakby pochodziły od tych uciekających kobiet. Słyszał te postękiwania i chrząkania od wielu dni, na próżno usiłując pozbyć się ich ze świadomości. Wyłączywszy światło, Royal mocniej ścisnął laskę i wyszedł z mieszkania.

Już za drzwiami stanął, żeby posłuchać dalekich odgłosów, prawie jakiejś elektronicznej parodii płaczu dziecka. Dobiegały z mieszkań na końcu korytarza, metaliczne i odległe, głosy stworzeń z jego prywatnego zwierzyńca.

15 Wieczorne rozrywki

Zapadał wieczór i wieżowiec pogrążał się w ciemności. Jak zwykle o tej porze budynek przycichał, jakby wszyscy w tym ogromnym kompleksie mieszkalnym przechodzili przez strefę graniczną. Na dachu wyły psy. Royal zdmuchnął świece w jadalni i poszedł schodami na górę do penthouse'u. Odbijając dalekie światła sąsiednich wieżowców, chromow-

ane tłoki maszyny do ćwiczeń wydawały się poruszać w górę i w dół, jak słupki rtęci, wskaźniki skomplikowanego urządzenia, zapisującego zmiany stanu psychicznego mieszkańców z dołu. Kiedy Royal wyszedł na dach, ciemność rozjaśniły białe kształty setek ptaków. Ich skrzydła rozbłyskały na tle nocy, kiedy walczyły o miejsce na zatłoczonych już nadbudówkach wind i balustradach.

Royal poczekał aż go otoczą, odsuwając laską ich dzioby od swoich nóg. Czuł, jak wraca mu spokój. Jeżeli kobiety i inne osoby z jego kurczącego się orszaku postanowiły go opuścić, to tym lepiej. Tutaj w ciemności, słuchając trzepotu skrzydeł i krzyków ptaków, z psami skamlającymi w ogródku zabaw dla dzieci, czuł się najbardziej u siebie. Bardziej niż kiedykolwiek był przekonany, że to jego obecność przyciąga tu te ptaki.

Royal rozegnał mewy ze swojej drogi i pchnął furtkę do ogródka. Rozpoznawszy go, psy zaczęły szczekać i rwać się z uwięzi. Te spaniele, pudle i jamniki były wszystkim, co pozostało z około setki zwierzaków, jakie kiedyś żyły na górnych piętrach wieżowca. Trzymano je tutaj jako strategiczną rezerwę żywnościową, ale Royal pilnował, żeby zjadano je oszczędnie. Te psy tworzyły jego prywatna sforę, która miała dotrwać do ostatecznej konfrontacji, kiedy to na jej czele zejdzie w głąb budynku i pootwiera okna zabarykadowanych mieszkań, żeby wpuścić ptaki.

Psy ciągnęły go za nogawki, ich smycze plątały się wokół rzeźb-zabawek. Nawet ulubieniec Royala, biały wilczur, zdradzał skrajne podenerwowanie. Royal spróbował go uspokoić i pogłaskał go po świetlistym, choć wciąż jeszcze noszącym ślady krwi futrze, ale pies naparł na niego, przewracając go między puste miski.

Wstając, Royal usłyszał gwar głosów z centralnej klatki schodowej o sto stóp za jego plecami. Zbliżały się stamtąd przez mrok światła, procesja elektrycznych latarek, trzymanych na wysokości ramienia. Snopy światła przecinały noc, rozpraszając ptaki po niebie. Ryk przenośnego magnetofonu zagłuszał brzęk sztangielek. Podczas gdy Royal przystanął za nadbudówką windy, na dach wysypała się reszta jego sąsiadów z górnego piętra. Prowadzeni przez Pangbourne'a, utworzyli na tarasie widokowym luźny krąg, gotowi do świętowania świeżego zwycięstwa. Bez wiedzy i zgody Royala dokonali napadu na niższe piętra.

Skrajnie podniecony ginekolog, niczym jakiś szalony posłaniec, gestami przynaglał wchodzących jeszcze na dach maruderów. Z jego ust wydobywały się serie dziwacznych stękań i krzyków, ledwo artykułowanych zawodzeń, które brzmiały jak jakaś pieśń godowa neandertalczyka, ale w istocie były jego wersją krzyków rodzących kobiet, analizowanych przez jego komputer. Royal musiał od tygodni wysłuchiwać tych niesamowitych i denerwujących odgłosów, powtarzanych przez członków jego świty. Kilka dni temu w końcu zakazał wydawania tych dźwięków: kiedy siedział w penthousie, usiłując skupić się na ptakach, wyprowadzało go z równowagi postękiwanie i pokrzykiwanie kobiet za drzwiami w kuchni. Pangbourne jednak prowadził w swojej rezydencji na przeciwnym końcu dachu regularne spotkania, na których puszczał kobietom klęczącym wokół niego, jak w zaczarowanym kręgu, swoją kolekcję nagrań okrzyków porodowych. Potem wspólnie naśladowali te dziwne odgłosy, co było świadectwem rosnącego autorytetu Pangbourne'a.

Teraz kobiety odeszły od Royala i w pełni wykorzystywały wszystko, czego się nauczyły, pohukując i pokrzykując niczym trupa niedorozwiniętych przyszłych matek, przeżywających swój własny szok, związany z przyjściem na świat.

Wyczekując odpowiedniego momentu do wkroczenia na scenę, Royal kazał owczarkowi ukryć się pod wyszarganym płóciennym daszkiem opartym o ścianę nadbudówki. Był zadowolony, że tym razem miał na sobie wieczorowy żakiet, biała kurtka rzucałaby się w oczy jak płomień.

Z wyprawy przyprowadzono dwóch „gości", specjalistę od finansów z trzydziestego drugiego piętra z głową owiniętą bandażem i krótkowzrocznego meteorologa z dwudziestego siódmego. Royal ze spokojem stwierdził, że kobieta z magnetofonem to była jego żona Anne. Niedbale ubrana, rozczochrana, wieszała się na ramieniu Pangbourne'a, a potem snuła się w kręgu światła latarek jak chimeryczna flądra, wymachując magnetofonem w stronę dwóch więźniów.

– Panie... proszę o spokój. To jeszcze nie koniec. – Pangbourne uspokoił kobiety, jego szczupłe palce błyskały w chaotycznym świetle jak kruche patyki. Podniesiono przewrócony barek na kółkach, obok niego ustawiono stolik i dwa krzesła, na których posadzono przestraszonych gości. Specjalista finansowy poprawiał opadający bandaż na głowie, jakby się obawiał, że każą mu bawić się w ciuciubabkę. Meteorolog mrużył krótkowzroczne oczy, usiłując pod światło wypatrzyć wśród uczestników tej zabawy jakąś znajoma twarz. Royal znał wszystkich obecnych, swoich sąsiadów od roku, i prawie mógłby uwierzyć, że uczestniczy w jednym z wiciu przyjęć wydawanych tego lata na dachu. Jednocześnie miał uczucie, że ogląda pierwszy akt stylizowanej opery albo baletu, w której jeden stolik symbolizuje restaurację, a chór kelnerów urąga nieszczęsnemu bohaterowi, zanim odprawi go na śmierć.

Gospodarze tego przyjęcia zaczęli pić na długo przed przybyciem gości. Żona ze swoim magnetofonem, Jane Sheridan, wywijająca shakerem do koktajli, wszyscy kołysali się jakby do jakiejś zwariowanej muzyki, której tylko Royal nie słyszał.

Pangbourne powtórnie poprosił o ciszę.

– A teraz... rozerwijmy trochę naszych gości. Wyglądają na znudzonych. W co się dziś bawimy?

Opowiedział mu chór propozycji.

– Chodzenie po desce!

– Szkoła latania, doktorze!

– Spacer po księżycu!

– Podoba mi się szkoła latania – zwrócił się Pangbourne do gości... Czy wiedzieliście, że prowadzimy tu szkołę latania? Nie?

– Postanowiliśmy ofiarować wam parę bezpłatnych lekcji – powiedziała Anne Royal.

– Jedną bezpłatną lekcję – poprawił ja Pangbourne, co wywołało uciechę zebranych. – Ale to wam wystarczy. Prawda, Anne?

– To wyjątkowo skuteczny kurs.

– Po raz pierwszy solo, prawdę mówiąc.

Rannego doradcę finansowego już ciągnięto pod przewodem wdowy po jubilerze do balustrady, potykając się o zakrwawiony bandaż, który mu się odwinął z głowy. Do pleców ofiary przywiązano parę potarganych skrzydeł z papieru, część dziecięcego kostiumu aniołka. Rozległo się zbiorowe stękanie i pojękiwanie.

Ciągnąc za sobą opierającego się owczarka, Royal wyszedł z ukrycia. Pochłonięci egzekucją ludzie nawet go nie zauważyli. Najbardziej swobodnym głosem, na jaki mógł się zdobyć, Royal zawołał: – Pangbourne! Doktorze Pangbourne!

Hałas przycichł. Światła latarek omiotły ciemność, przebiegły po wieczornym żakiecie Royala z jedwabnymi klapami, zatrzymały się na białym owczarku, który usiłował wymknąć mu się między nogami.

– Szkoła latania! Szkoła latania! – odezwał się znów złowróżbny śpiew. Patrząc na ten niesforny gang mógł prawie uwierzyć, że otacza go tłum półdzikich dzieci. Ogród zoologiczny zbuntował się przeciwko dyrektorowi.

Na dźwięk głosu Royala ginekolog odwrócił się od swojego więźnia, któremu przed chwilą fachowo zabandażował głowę. Wytarłszy ręce, podszedł, prawie naśladując swobodny krok Royala. Jednak jego oczy badały twarz Royala z całkowicie profesjonalnym zainteresowaniem, jakby już uznał, że jej zdecydowany wyraz można zmienić, przecinając minimalną liczbę mięśni i nerwów.

Tłum skandował swoje. Światła latarek wybijały rytm w ciemności, uderzając w twarz Royala, który cierpliwie czekał, aż hałas ucichnie. Kiedy z grupy wyrwała się i podbiegła Anne, zamierzył się na nią swoją chromowaną laską. Anne zatrzymała się i z krzywym uśmiechem podniosła spódnicę w prowokacyjnym geście. Nagle podkręciła magnetofon na pełny regulator i wepchnęła mu go w twarz. Powietrze wypełniły krzyki rodzących kobiet.

– Royal! – zawołała ostrzegawczo wdowa po jubilerze – Wilder jest tutaj!

Zaskoczony tym nazwiskiem, Royal cofnął się, godząc w mrok swoją metalową laską. Snopy światła zatańczyły wokół niego, cienie przewróconych krzeseł zabiegały po betonowym dachu. Spodziewając się, że Wilder rzuci się na niego od tyłu, Royal potknął się o daszek i zaplątał w smycz.

Usłyszał śmiech za plecami. Z trudem się opanowawszy, Royal odwrócił się, żeby stawić czoło Pangbourne'owi, ale ten już odchodził, oglądając się na Royala bez wrogości. Machnął mu szybkim ruchem dłoni, jakby rzucał w niego strzałką, skreślając go na zawsze. Latarki odwróciły się od Royala i wszyscy zajęli się znów poważniejszą sprawą znęcania się nad dwoma gośćmi.

Royal obserwował z ciemności, jak kłócono się, co do dalszego losu więźniów. Konfrontacja z Pangbournem dobiegła końca, albo ściślej mówiąc, nigdy do niej nie doszło. Dał się wyprowadzić z równowagi głupim okrzykiem i teraz sam nie wie, czy boi się Wildera, czy nie. Został upokorzony, ale w pewnym sensie na to zasłużył. To był czas dla kogoś takiego, jak ginekolog. Żadne ZOO nie przetrwałoby długo mając Pangbourne'a za dyrektora, ale ktoś taki jak on zapewniał źródło przemocy i okrucieństwa, podtrzymujące w innych wolę przeżycia.

Niech szaleńcy przejmą przewodnictwo, bo tylko oni rozumieją, co się tu dzieje. Royal pozwolił psu odciągnąć się w bezpieczne ciemności koło ogródka zabaw dziecięcych. Białe kształty ptaków zgromadziły się na każdym murku i występie. Royal słuchał skomlenia psów. Nie miał ich już czym karmić. Ptaki, odbijające się w szklanych drzwiach penthouse'u, wyglądały jak ozdoby jakiegoś tajnego pawilonu. Royal postanowił, że zamknie mieszkanie, zabarykaduje schody i wycofa się do penthouse'u, może zabierając ze sobą panią Wilder jako służącą. Stąd będzie panował nad wieżowcem, obejmując w posiadanie swoje ostatnie dziedzictwo w niebie.

Otworzył furtkę do ogródka i chodząc między rzeźbami poodwiązywał psy. Kolejno znikały w ciemnościach, aż pozostał tylko on i ptaki.

16 Dobry układ

Niepewna sytuacja, uznał Robert Laing. Nie mógł już dłużej ufać zmysłom. Mieszkanie było wypełnione dziwnym światłem, szarym i wilgotnym a jednocześnie pożyłkowanym słabym wewnętrznym promieniowaniem. Stojąc w kuchni wśród worków ze śmieciami i próbując wycisnąć choć kilka kropli wody z kranu, zerkał przez ramię na mętną mgłę, wiszącą jak kotara w salonie i stanowiącą prawie dokładne odbicie stanu jego umysłu. Nie po raz pierwszy miał trudności z określeniem pory dnia. Od jak dawna jest na nogach? Pamiętał mgliście, że spał na chodniku w kuchni z głową na worku ze śmieciami, położonym między nogami stołu. Kręcił się po pokoju, w którym spała jego siostra Alice, ale nie potrafił powiedzieć, czy obudził się przed pięcioma minutami, czy poprzedniego dnia.

Potrząsnął zegarkiem i brudnym paznokciem podłubał przy roztrzaskanej tarczy. Zegarek stanął kilka dni temu po bójce w hallu dwudziestego piątego piętra. Chociaż zapomniał, kiedy to dokładnie było, wskazówki zegarka zatrzymały się na ten jeden moment określonego czasu, jaki mu pozostał, niczym wyrzucona na plażę skamielina, utrwalająca na zawsze

wydarzenie z nieistniejącego oceanu. Teraz jednak nie miało już większego znaczenia, która jest godzina, byle tylko nie była to noc, kiedy strach pozwalał jedynie schronić się w mieszkaniu i siedzieć skulonym za sypiącą się barykadą.

Laing odkręcał i zakręcał kurek z zimną wodą, wsłuchując się w lekko odmienny odgłos. W długich odstępach czasu, może przez minutę w ciągu dnia, z kranu płynęła zielona od glonów ciecz. Te krótkie słupki wody, wędrujące po rozległym systemie rur w budynku, ogłaszały swoje pojawienie się i odejście słabą zmianą tonu. Wsłuchiwanie się w tę odległą i skomplikowaną muzykę wyostrzyło słuch Lainga, pozwalając mu odbierać prawie każdy dźwięk w budynku. W przeciwieństwie do tego jego wzrok, przytępiony głównie nocnym trybem życia, przedstawiał mu coraz bardziej mglisty obraz świata.

W wieżowcu panował bezruch. Laing często sobie powtarzał, że prawie wszystko, co mogło się zdarzyć, już się zdarzyło. Wyszedł teraz z kuchni i przecisnął się do wąskiej szczeliny między drzwiami wejściowymi a barykadą. Przyłożył prawe ucho do płyty rezonansowej drzwi. Na podstawie drobnych wstrząsów potrafił natychmiast określić, czy w opuszczonym sąsiednim mieszkaniu porusza się jakiś maruder. W tych krótkich chwilach każdego popołudnia, kiedy on i Steele wychylali się ze swoich mieszkań (symboliczna pozostałość z czasów, kiedy ludzie rzeczywiście wychodzili z budynku), stali na zmianę z dłońmi przyciśniętymi do metalowej ściany szybu windowego, wyczuwając przekazywane ich ciałom wibracje, odbierając nagły ruch piętnaście pięter powyżej albo poniżej. Skuleni na schodach, z palcami na metalowych poręczach, nasłuchiwali tajnych szeptów budynku, dalekich konwulsji przemocy, które docierały do nich jak rozbłyski promieniowania z innego wszechświata. Wieżowiec wibrował tymi wstrząsami, żałosnymi kroplami dźwięku, kiedy ranny mieszkaniec wczołgiwał się po schodach, trzaskiem pułapki spadającej na zdziczałego psa, nieostrożnej ofiary walącej się pod ciosem pałki.

Dzisiaj jednak, jak przystało na bezczasową strefę z jej nieokreślonym światem, panowała martwa cisza. Laing wrócił do kuchni i wsłuchiwał się w muzykę rur, część ogromnego systemu akustycznego, wyposażonego w tysiące rejestrów, tego zamierającego instrumentu, na którym kiedyś grali wszyscy wspólnie. Teraz nie odzywał się żaden dźwięk. Mieszkańcy wieżowca pozostawali na swoich miejscach, ukryci za barykadami w mieszkaniach, chroniąc resztki zdrowia psychicznego i przygotowując się do nocy. Teraz przemoc przejawiała się w formach stylizowanych, w postaci zimnej i nieprzewidywalnej agresji. W pewnym sensie życie w wieżowcu zaczęło się upodabniać do świata na zewnątrz: bezwzględność i agresja kryły się pod płaszczykiem grzecznościowej konwencji.

Nadal nie wiedząc, od jak dawna jest na nogach, ani co robił przed pół godziną, Laing siedział na podłodze w kuchni między odpadkami i pustymi butelkami. Parzył na zrujnowaną pralkę i lodówkę, zdegradowane do roli kubłów na śmieci. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, do czego pierwotnie służyły. W pewnym sensie nabrały nowego znaczenia, ich nową rolę musiał dopiero zrozumieć. Popadający w ruinę wieżowiec stanowił model świata, w który niosła ich przyszłość, posttechnologicznego krajobrazu, w którym wszystko było w ruinie albo, bardziej dwuznacznie, przebudowane w nieoczekiwany, ale bardziej sensowny sposób. Laing zastanawiał się nad tym; czasami trudno mu było nie wierzyć, że żyli w przeszłości, która już przeminęła i wyczerpała samą siebie.

Pochylony nad swoim wyschniętym źródełkiem, niczym pustynny nomada, któremu nigdzie się nie spieszy, Laing czekał cierpliwie na pojawienie się wody. Tymczasem zdrapywał sobie brud z dłoni. Mimo, iż wyglądał jak ostatni włóczęga, Laing nie przyjmował myśli o wykorzystaniu wody do mycia. W całym wieżowcu cuchnęło. Nie działała żadna toaleta ani zsyp na śmieci i słaba woń moczu otaczała budynek, unosząc się wokół rzędów balkonów. Na ten charakterystyczny zapach nakładał się jednak znacznie bardziej podejrzany słodkawy odór rozkładu, który dochodził z opuszczonych mieszkań i którego źródeł Laing wolał nie dochodzić.

Mimo wielu niedogodności Laing był zadowolony z mieszkania w wieżowcu. Teraz, tak się w nim rozluźniło, poczuł się swobodniejszy, bardziej samodzielny i gotów do poszukiwania dróg dalszego rozwoju. Dokładnie jak, w którym kierunku, tego jeszcze nie zdecydował.

Jego prawdziwą troską był stan siostry. Alice zapadła na bliżej nie określoną chorobę i spędzała czas, leżąc na materacu w sypialni albo krążąc półnaga po mieszkaniu drżąc na całym ciele niczym nadwrażliwy sejsmograf, rejestrujący niewyczuwalne wstrząsy budynku. Kiedy Laing zabębnił w rurę kanalizacyjną pod zlewem, wydobywając głuchy dźwięk z pustej rury, Alice słabym głosem zawołała go z sypialni.

Laing podszedł do niej, lawirując między stosami drewna na opał z porąbanych mebli. Lubił rąbać krzesła i stoły.

Alice wyciągnęła do niego chudą jak patyk rękę.

– Co to za hałas? Znów do kogoś sygnalizujesz, do kogo tym razem?

– Do nikogo, Alice. Jak myślisz, kogo tu znamy?

– Tych ludzi na dolnych piętrach. Tych, których lubisz.

Laing stał przy niej, wahając się, czy usiąść na materacu. Twarz jego siostry była tłusta jak woskowa cytryna. Jej zmęczone oczy, które usiłowała na nim zatrzymać, pływały w jej głowie jak dwie zbłąkane ryby. Przez chwilę pomyślał, że Alice umiera: w ciągu dwóch ostatnich dni zjedli jedynie kilka plastrów wędzonego łososia z puszki, którą znalazł w schowku pod podłogą w pustym mieszkaniu. Jak na ironię, w okresie największego upadku wzrosły w budynku standardy gastronomiczne, w miarę odkrywania coraz to nowych delikatesów.

Jednak jedzenie było sprawą drugorzędną i Alice wykazywała inne formy żywotności. Lainga cieszyła jej zrzędliwa krytyka, kiedy próbował zaspokoić jej bezsensowne zachcianki. Wszystko to było grą, ale podobała mu się rola wiernego sługi oddanego kapryśnej pani, gorliwego pracownika, którego główną nagrodą jest całkowity brak uznania i wysłuchiwanie listy swoich przewinień. Prawdę mówiąc jego związek z Alice pod wieloma względami stanowił realizację tego, co usiłowała stworzyć jego żona, trafiając przypadkiem w jedyne możliwe źródło harmonii między nimi, a co Laing wówczas odrzucił. Uświadomił sobie, że w wieżowcu jego małżeństwo byłoby ogromnym sukcesem.

– Staram się zdobyć trochę wody, Alice. Napiłabyś się herbaty?

– Czajnik śmierdzi.

– Umyję go dla ciebie. Nie możesz się odwodnić.

Niechętnie kiwnęła głową. – Co się dzieje?

– Nic... Wszystko już się stało. – Ciało Alice roztaczało mocną, ale nie przykrą woń. – Wszystko zaczyna wracać do normy.

– A co z Alanem? Powiedziałeś, że go poszukasz.

– Widocznie gdzieś sobie poszedł. – Laing nic lubił, kiedy Alice wspominała męża, stanowiło to dysonans.

– Byłem w waszym mieszkaniu, ale stoi teraz puste.

Alice odwróciła głowę, dając do zrozumienia, że ma dość widoku brata. Laing schylił się i pozbierał szczapy, które jego siostra porozrzucała po podłodze przy materacu. Nogi od krzeseł z jadalni, nasycone klejem i lakierem, będą się dobrze palić. Laing wykradł te krzesła z mieszkania Adriana Talbota po jego zniknięciu. Dziękował losowi za te kopie Hepplewhite'a – konwencjonalne gusta mieszkańców środkowych pięter miały swoje zalety. Tymczasem lokatorzy dolnych regionów ocknęli się ze stosem modnych kiedyś chromowanych rur, obciągniętych surową skórą, które nadawały się tylko do siedzenia.

Całe gotowanie odbywało się teraz na ogniskach, które ludzie rozpalali na balkonach albo w sztucznych kominkach. Laing zaniósł szczapy na balkon, ale kiedy przykucnął nad nimi, uświadomił sobie, że nie ma nic do ugotowania. Tajny zapas konserw musiał dawno temu oddać swojemu sąsiadowi ortodoncie. Prawdę mówiąc, pozycja Lainga opierała się wyłącznie na ampułkach z morfiną, które zdołał ukryć.

Chociaż Steele przerażał go swoimi nieprzewidywalnymi okrucieństwami, Laing związał się z nim z konieczności. Tak wielu ludzi odeszło albo wycofało się z walki całkowicie. Czyżby porzucili wieżowiec dla świata zewnętrznego? Laing był pewien, że nie. W pewnym sensie uzależnił się od niepewności swojego związku z dentystą, przeżywając jego mordercze napady jak skazaniec zakochany w chimerycznym strażniku. W ostatnich tygodniach zachowanie Steele'a stało się przerażające. Celowe bezmyślne napaści na każdą osobę samotną i bezbronną, dziecinne mazanie krwią po ścianach bezpańskich mieszkań, wszystko to Laing obserwował z dezaprobatą. Od czasu zniknięcia jego żony Steele był napięty niczym wielkie kusze, które budował z wykorzystaniem strun fortepianowych i ustawiał w hallach i korytarzach, ładując je śmiercionośnymi strzałami przerobionymi z kijów golfowych. Przy tym wszystkim Steele pozostawał dziwnie spokojny, jakby wypełniał jakieś nieznane zadanie. Tego popołudnia Steele spał, dając Laingowi szansę na poszukiwanie wody. Kiedy ten wziął czajnik i wyszedł, usłyszał wołanie Alice. Wrócił do niej, ale ona już zdążyła zapomnieć, czego chciała, wyciągnęła tylko do niego ręce.

Zwykle Laing rozcierał jej ręce, próbując je choć trochę ogrzać, ale kierując się jakąś dziwnie pojętą lojalnością wobec ortodonty, nie zrobił nic, żeby jej ulżyć. Ta demonstracja gruboskórności i coraz większe lekceważenie higieny osobistej, a nawet zdrowia, stały się elementami systemu, którego nie próbował zmieniać. Całymi tygodniami nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o następnym napadzie, o splądrowaniu następnego mieszkania, o pobiciu następnego lokatora. Zafascynowany tymi przejawami bezmyślnej przemocy, lubił oglądać Steele'a w akcji. Każda zbliżała ich o krok do ostatecznego celu wieżowca jako królestwa, w którym nawet najbardziej zboczone ludzkie popędy mogłyby się wreszcie przejawiać bez najmniejszych ograniczeń. Wówczas ustałaby w końcu przemoc fizyczna.

Laing czekał, aż Alice zapadnie w stan półprzytomności. Doglądanie siostry pochłaniało więcej energii, niż mógł sobie na to pozwolić. Jeżeli umierała, niewiele mógł dla niej zrobić poza podaniem jej ostatecznego grama morfiny i ukrycia jej ciała, zanim Steele zdąży je sprofanować. Przystrajanie trupów i komponowanie z nich groteskowych obrazów stanowiło ulubiona rozrywkę dentysty. Jego wyobraźnia, skrępowana przez lata poprawianiem uzębienia pacjentów, ożywiała się zwłaszcza podczas zabaw z nieboszczykami. Poprzedniego dnia Laing przypadkiem zszedł do jednego z mieszkań i zastał Steele'a malującego wariacką kosmetyczną maskę na twarzy zmarłego dyrektora finansowego, przebranego jak rozdęty transwestyta w obszerną jedwabną koszulę nocną. Mając dość czasu i stały dopływ materiału ludzkiego, dentysta zaludniłby na nowo cały wieżowiec.

Z czajnikiem w ręce, Laing wyszedł z mieszkania. Korytarz i hall wypełniała ta sama mętna poświata, rozświetlona na perłowo słabym wewnętrznym blaskiem, wydzielina samego wieżowca, destylat całego jego martwego betonu. Bryzgi krwi na ścianach nakładały się na wcześniejsze wielobarwne graffiti, niczym taszystowskie eksplozje na obrazach, zdobiących mieszkania na górnych piętrach. Połamane meble i kłęby taśmy magnetofonowej poniewierały się wśród opartych o ściany worków ze śmieciami.

Pod stopami Lainga chrzęściły negatywy zdjęć zaścielające korytarz, a każde z nich rejestrowało dawno zapomniany akt przemocy. Kiedy się zatrzymał, zdając sobie sprawę, że może przyciągnąć uwagę czyhającego w zasadzce myśliwego, otworzyły się drzwi z klatki schodowej i do hallu wkroczył mężczyzna w lotniczej kurtce i futrzanych butach.

Patrząc na Paula Croslanda, śmiało kroczącego po zaśmieconym chodniku, Laing uświadomił sobie, że prezenter telewizyjny właśnie wraca, jak co dzień, po odczytaniu południowych wiadomości w telewizji. Crosland był jedyną osobą, która wychodziła z wieżowca, utrzymując ostatnią wątłą więź ze światem zewnętrznym. Nawet Steele dyskretnie schodził mu z drogi. Niektórzy ludzie wciąż jeszcze oglądali go na tranzystorowych telewizorach, skuleni za barykadami wśród worków na śmieci, nie tracąc nadziei, że nawet teraz Crosland może nagle odejść od ustalonego tekstu i ujawnić całemu światu, co dzieje się w wieżowcu.

Laing zostawił na klatce schodowej pułapkę na psa, wykorzystawszy w tym celu tropikalną moskitierę, którą zabrał z mieszkania pewnego antropologa. Plaga psów rozprzestrzeniła się na cały budynek z ich matecznika na górnych piętrach. Laing nie spodziewał się złapać w swoje urządzenie ze sprężyną jakiegoś większego psa, ale jamnik lub pekińczyk mógł się zaplątać w nylonową siatkę.

Schody nie były pilnowane. Laing zaryzykował i zszedł piętro niżej. Hall blokowała barykada z mebli, skręcił więc w korytarz, prowadzący do dziesięciu mieszkań w północnym skrzydle budynku. Minąwszy troje drzwi wszedł do opuszczonego mieszkania. Nagie pokoje dawno temu zostały pozbawione mebli i urządzeń. W kuchni Laing sprawdził krany, potem scyzorykiem przeciął węże pralki i zmywarki do naczyń, zbierając kubek wody o metalicznym smaku. W łazience na kafelkach podłogi leżało nagie ciało starszego doradcy podatkowego. Laing przekroczył je bez chwili wahania. Rozglądając się po mieszkaniu, podniósł z podłogi pustą karafkę. Zachowała słaby zapach słodowej whisky, wywołując prawie oszałamiającą nostalgię.

Laing przeszedł do następnego mieszkania, również opuszczonego i splądrowanego. W sypialni zauważył, że dywan przykrywa niewielkie okrągłe zagłębienie. Podejrzewając schowek na żywność, Laing odwinął dywan i stwierdził, że w drewnianej podłodze i betonowym stropie przebito otwór do mieszkania piętro niżej.

Zamknąwszy drzwi wejściowe na zasuwę, Laing położył się na podłodze i zajrzał w dół. Cudem nietknięty okrągły szklany stół odbijał jego zakrwawioną koszulę i brodate oblicze, patrzące na niego jak z dna głębokiej studni. Obok stołu leżały dwa przewrócone fotele. Drzwi na balkon były zamknięte, na oknach po obu stronach wisiały zasłony. Patrząc na ten spokojny obrazek, Laing miał uczucie, że przypadkiem udało mu się zajrzeć do równoległego świata, gdzie prawa wieżowca zostały zawieszone, do zaczarowanego królestwa, w którym te olbrzymie budynki, umeblowane i ozdobione, nigdy nie były zamieszkane.

Pod wpływem impulsu Laing usiadł na skraju otworu, zwiesił chude nogi do pokoju poniżej i stanąwszy na szklanym stole rozejrzał się po mieszkaniu. Ciężko nabyte doświadczenie podpowiadało mu, że nie jest sam, gdzieś dzwonił miniaturowy dzwoneczek. Z sypialni dochodziło ciche skrobanie, jakby jakieś małe zwierzątko usiłowało wydostać się z papierowej torby.

Laing otworzył drzwi sypialni. Na łóżku leżała całkowicie ubrana rudowłosa kobieta po trzydziestce i bawiła się z perskim kotem. Zwierzątko miało aksamitną obróżkę z dzwoneczkiem, a smycz prowadziła do zakrwawionego przegubu kobiety. Kot z zapałem zlizywał plamy krwi ze swojego futerka a potem chwycił przegub kobiety i wgryzał się w świeżą ranę.

Kobieta, którą Laing jak przez mgłę rozpoznał jako Eleanor Powell, nie próbowała powstrzymać kota przed odżywianiem się jej ciałem. Poważną twarz z objawami sinicy pochylała nad zwierzątkiem, jak twarz tolerancyjnej matki obserwującej zabawę dziecka.

Jej dłoń, oparta na jedwabnej kanapie, dotykała ołówka i reporterskiego notesu. Naprzeciwko, w nogach łóżka, stały cztery telewizory. Były nastawione na różne stacje, ale trzy z nich nie działały. Czwarty odbiornik, na baterię, pokazywał bezgłośnie nieczysty obraz wyścigów konnych.

Nie wykazując zainteresowania swoją pracą, Eleanor podsuwała kotu krwawiącą rękę. Wygłodniałe zwierzę szarpało w podnieceniu skórę na kostkach. Laing chciał odciągnąć kota, ale Eleanor szarpnęła za smycz, kierując je z powrotem do swojej rany.

– Utrzymuję ją przy życiu – powiedziała do Lainga z naganą. Zabiegi kota wywoływały na jej twarzy pogodny uśmiech. Uniosła lewą rękę. – A pan, doktorze, może possać mój drugi przegub... Biedaku, bardzo pan schudł.

Laing słuchał odgłosów kocich zębów. W mieszkaniu panowała cisza i dźwięk jego własnego przyspieszonego oddechu rozlegał się z niezwykłą mocą. Czy już niedługo będzie ostatnim żywym człowiekiem w tym wieżowcu? Wyobraził sobie, że jest sam w tym ogromnym budynku i może swobodnie błądzić po wszystkich piętrach i betonowych galeriach, wspinać się po męczących szybach windowych, siedzieć samotnie na wszystkich po kolei z jego tysiąca balkonów. To marzenie, które towarzyszyło mu, odkąd się tu wprowadził, nagle go przestraszyło, prawie, jakby będąc tu wreszcie sam, usłyszał kroki w sąsiednim pokoju i stanął twarzą w twarz z samym sobą. Podkręcił głos w telewizorze. Z odbiornika wydobył się głos sprawozdawcy, złożony z imion bełkot, który brzmiał niczym jakiś zwariowany spis, lista nie mających ze sobą żadnego związku osób rekrutowanych do ponownego zasiedlenia wieżowca w ramach pospiesznej transfuzji tożsamości.

– Co...? Gdzie jest program? – Eleanor uniosła głowę, wpatrując się nieprzytomnie w ekran. Jej lewa ręka szukała notatnika i ołówka – Co on mówi?

Laing wsunął pod nią ramię. Miał zamiar ja podnieść, ale jej wychudzone ciało okazało się zadziwiająco ciężkie. To on był słabszy niż myślał.

– Czy może pani wstać? Przyjdę później po telewizor.

Wzruszyła ramionami i osunęła się na Lainga, jak pijana kobieta w barze, przyjmująca dwuznaczną propozycję starego znajomego. Usiadłszy obok niego na skraju łóżka, zarzuciła mu ramię na szyję i zmierzyła go krytycznym spojrzeniem, po czym postukała go agresywnie po ramieniu.

– Dobrze, ale najpierw znajdziemy jakieś baterie.

– Oczywiście. – Ten pokaz gotowości z jej strony był przyjemnie zachęcający. Podczas gdy ona przyglądała się z łóżka, wyjął z szafy walizkę i zaczął pakować jej ubrania.

W ten sposób Laing zabrał do swojego mieszkania Eleanor Powell i jej przenośny telewizor. Zrobił jej miejsce na materacu w salonie i spędzał całe dni szukając w opuszczonych mieszkaniach jedzenia, wody i baterii. Powrót w jego życie telewizji przekonał Lainga, że wszystko w wieżowcu wraca do normy. Kiedy Steele przeniósł się na bogatsze pastwiska powyżej, Laing nie chciał mu towarzyszyć. Postanowił już, że ze swoimi dwiema kobietami oddzieli się od całej reszty. Musiał pozostać tylko z Alice i Eleanor, jeżeli miał być tak agresywny i samodzielny, tak bierny i posłuszny, jak tego pragnął. Na tym wczesnym etapie nie miał jeszcze pomysłu, jaką rolę zagra wobec tych dwóch kobiet, ale cokolwiek wybierze, będzie musiał to zagrać w swoich własnych czterech ścianach.

Laing wiedział, że był teraz znacznie szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu, mimo wszelkich czyhających na niego niebezpieczeństw, mimo prawdopodobieństwa, że w każdej chwili może zostać zamordowany albo umrzeć z głodu. Jego zadowolenie płynęło z poczucia samodzielności, ze zdolności do radzenia sobie z zadaniem przetrwania, zachowaniem przytomności umysłu, strzeżenia swoich dwóch kobiet przed ewentualnymi maruderami, którzy chcieliby je wykorzystać do podobnych celów. Przede wszystkim jednak był zadowolony, że uległ tym popędom, które związały go z Eleanor i jego siostrą, perwersjom, zrodzonym z nieograniczonych możliwości wieżowca.

17 Chatka nad jeziorem

Jakby nie chcąc niepokoić wnętrza budynku, poranne słońce zbadało na wpół zasłonięty żaluzją świetlik nad klatką schodową, przecisnęło się wybitymi szybami i spadło ukosem na schody. Drżąc z zimna o pięć pięter niżej, Richard Wilder obserwował zbliżającą się do niego plamę słonecznego światła. Siedział na stopniach oparty o masywny stół jadalny, stanowiący część barykady blokującej schody. Po spędzonej tu nocy Wilder był przemarznięty. Im wyżej docierał, tym było zimniej i chwilami kusiło go, żeby się wycofać na niższe piętra. Spojrzał na siedzące obok niego zwierzę, domyślał się, że był to kiedyś czarny pudel, zazdroszcząc mu jego sierści. On sam był prawie nagi; roztarł szminkę, którą był pomazany na piersi i ramionach, próbując osłonić się tą słodką maścią.

Pies wpatrywał się w podest nad nimi. Nadstawił uszu, jakby wyczuwał niesłyszalne dla Wildera odgłosy kogoś poruszającego się za barykadą. W ciągu dziesięciu wspólnie spędzonych dni ich para utworzyła dobrany zespół myśliwski i Wilder nie chciał szczuć psa, póki ten sam nie będzie gotów do ataku. Obcięte do kolan obszarpane resztki spodni Wildera były poplamione winem i krwią. Jego ciężką twarz osłaniała kosmata broda, częściowo kryjąc otwartą ranę na szczęce. Wyglądał na zapuszczonego i zmęczonego, ale w istocie jego ciało było równie mocno umięśnione jak dawniej. Szeroką pierś Wildera pokrywał jaskrawy wzór, przechodzący na ramiona i plecy. Co jakiś czas sprawdzał ten malunek, który wykonał zeszłego popołudnia szminką, znalezioną w opuszczonym mieszkaniu. Coś, co zaczęło się jako pijacka zabawa, wkrótce przybrało poważny charakter rytualny. Znaki te, niezależnie od tego, że budziły lęk wśród tych nielicznych osób, które mógł jeszcze napotkać, dawały mu potężne poczucie tożsamości, a także świętowały jego długą i teraz prawie zwycięską wspinaczkę na szczyt wieżowca. Zdecydowany, żeby wkroczyć na dach w pełni formy, Wilder polizał pokryte bliznami palce, masując się jedną ręką, a odświeżając malunek drugą.

Z siłą chwycił smycz psa i obserwował podest, od którego dzieliło go dziesięć stopni. Słońce, kontynuując pracowitą penetrację klatki schodowej, wreszcie dotarło do niego i zaczęło ogrzewać jego skórę. Wilder spojrzał w górę na świetlik, znajdujący się sześćdziesiąt stóp nad jego głową. W miarę zbliżania się do niego ten prostokąt białego nieba stawał się coraz mniej rzeczywisty, jak sztuczny sufit filmowej dekoracji.

Pies drżał, rwąc się do przodu. W odległości zaledwie paru jardów ktoś manipulował przy barykadzie. Wilder czekał cierpliwie, pozwalając psu posunąć się o jeden stopień. Przy całej dzikości wyglądu zachowanie Wildera stanowiło wzór powściągliwości. Doszedłszy tak daleko, nie miał zamiaru dać się zaskoczyć. Zerknął przez szczelinę w stole. Z drugiej strony barykady ktoś wyciągał małe mahoniowe biurko, służące za tajne drzwi. W otworze ukazała się prawic łysa kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat. Jej twarz o twardych rysach zajrzała w głąb klatki schodowej.

Po chwili ostrożnie przeszła przez przerwę w barykadzie do poręczy, trzymając w ręku wiaderko na szampana. Ubrana była w strzępy drogiej sukni wieczorowej, która odsłaniała pokrytą plamami białą skórę jej muskularnych rąk i ramion.

Wilder przyglądał się jej z respektem. Nie raz miał do czynienia z podobnymi jędzami i dobrze wiedział, że potrafią być zaskakująco szybkie. Czekał bez ruchu, podczas gdy kobieta wychyliła się przez poręcz i wylała z wiaderka pomyje.

Zimne i tłuste krople ochlapały Wildera i psa, ale żaden z nich nie zareagował. Wilder troskliwie wytarł leżącą obok niego na stopniach kamerę. Jej obiektyw potrzaskał się w czasie potyczek i najazdów, które przywiodły go na szczyt wieżowca i kamera odgrywała teraz rolę czysto symboliczną. Odczuwał z nią podobną więź jak z psem. Jednak przy całej swojej sympatii i przywiązaniu do zwierzęcia, wkrótce los ich rozdzieli: obaj będą obecni na uroczystej kolacji z okazji dotarcia na dach, pomyślał Wilder z odcieniem czarnego humoru, ale pudel weźmie w niej udział jako danie.

Myśląc o tej czekającej go kolacji, pierwszym porządnym posiłku od tygodni, Wilder obserwował starą kobietę, mamroczącą coś pod nosem. Otarł brodę i ostrożnie wstał z kolan. Pociągnął za smycz, zrobioną z przewodu elektrycznego i gwizdnął przez połamane zęby.

Jakby w odpowiedzi, pies zaskomlił. Wyciągnął się, drżąc na całym ciele, i wspiął się o dwa stopnie. Tam, na oczach starej kobiety przypadł do schodów i zaczął żałośnie piszczeć. Kobieta pospiesznie skryła się za barykadę. Prawie natychmiast w jej dłoni zmaterializował się duży kuchenny nóż. Pożądliwym wzrokiem wpatrywała się w psa, łaszącego się o kilka stopni niżej. Kiedy przewrócił się na grzbiet, odsłaniając słabiznę, nie mogła oderwać wzroku od jego mięsistego brzucha i szynek.

Pies zaskomlał znowu, a Wilder przyglądał się całej scenie zza stołu. Ta chwila zawsze bawiła go najbardziej. Prawdę mówiąc, w miarę, jak docierał coraz wyżej, stawało się to coraz zabawniejsze. Wciąż trzymał koniec przewodu, który ciągnął się za psem po schodach, uważając, żeby leżał luźno. Stara kobieta, wpatrzona w psa, wyszła przed barykadę i gwizdnąwszy przez sztuczną szczękę, gestem przywoływała psa do siebie.

– Biedny piesek. Zgubiłeś się, mój śliczny, prawda? Chodź no tutaj...

Z trudem powstrzymując uciechę na widok tej łysej wiedźmy z przesadną czułością przymilającej się do psa, Wilder oparł się o stół, zaśmiewając się bezgłośnie. W każdej chwili mogła ją spotkać niespodzianka, jego ciężki bucior na gardle.

W tym momencie za barykadą pojawiła się druga postać. Młoda kobieta koło trzydziestki, zapewne córka, wyjrzała zza pleców starej. Rozpięta zamszowa marynarka odsłaniała parę brudnych piersi, ale włosy miała pracowicie zakręcone na masę wałków, jakby szykowała przyjęcie na które reszta jej nie została zaproszona. Obie kobiety wpatrywały się w psa z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Podczas gdy córka czekała z nożem, matka zeszła o kilka stopni. Mrucząc coś uspokajająco, poklepała pudla po głowie i schyliła się, żeby podnieść smycz.

W chwili, gdy jej silne palce zacisnęły się na przewodzie, Wilder skoczył. Pies ożył, rzucił się na kobietę i zagłębił zęby w jej ciele. Z zadziwiającą zręcznością wskoczyła za barykadę z psem nadal wczepionym w rękę. Wilder rzucił się za nią w ostatniej chwili, odsuwając nogą biurko, zanim córka zdążyła wsunąć je na miejsce. Odciągnął pudla od zakrwawionej ręki kobiety, chwycił ją za kark i pchnął na stos kartonów. Leżała tam oszołomiona, jak sponiewierana księżna, stwierdzająca ze zdziwieniem, że upiła się na balu. Kiedy Wilder odwrócił się, szarpiąc się z psem, podbiegła do niego córka. Odrzuciła nóż i trzymała teraz w jednej ręce wałki do włosów a w drugiej mały srebrny pistolet. Wilder zszedł jej z drogi, wytrącił jej z dłoni broń i powalił ją ciosem w twarz.

Podczas gdy obie kobiety ciężko dysząc siedziały na podłodze, Wilder spojrzał na leżący u jego stóp pistolet, niewiele więcej niż dziecinną błyszczącą zabawkę. Podniósł go i zaczął się rozglądać po swoim nowym królestwie. Znajdował się przy wejściu na basen na trzydziestym piątym piętrze. Zbiornik cuchnącej wody pokrytej odpadkami odbijał rzędy worków na śmieci, zgromadzonych wokół jego brzegów. W hallu, w unieruchomionej windzie, urządzono małe pomieszczenie mieszkalne. Przy wygasłym ognisku spał starszy mężczyzna, były doradca podatkowy, jeżeli Wilder dobrze pamiętał, wyraźnie nieświadom wybuchu przemocy, jaki tu miał miejsce. Nad jego głową przechodził do dziury w suficie windy komin, sporządzony z dwóch kawałków balkonowej rynny.

Wciąż z pistoletem w ręku, Wilder przyglądał się dwóm kobietom. Matka siedziała wśród kartonów, rzeczowo bandażując rękę strzępem jedwabiu oderwanym od sukni. Córka kucała na podłodze przy barykadzie, rozcierając stłuczone miejsce na twarzy i poklepując po głowie pudla.

Wilder spojrzał w górę, na trzydzieste szóste piętro. To starcie podnieciło go i kusiło, żeby przeć dalej, aż na sam dach, jednak od dawna nie miał nic w ustach, a od ogniska przy wejściu do jaskini dochodziła go woń zwierzęcego tłuszczu.

Wilder ruchem ręki przywołał młodszą kobietę. Jej pozbawiona wyrazu, raczej tępawa twarz, coś mu przypominała. Czy była kiedyś żoną dyrektora wytwórni filmowej?

Stanęła na nogi i podeszła do niego, przyglądając się z zainteresowaniem wzorom wymalowanym na jego piersi i ramionach, a także jego odsłoniętym genitaliom. Schowawszy pistolet do kieszeni, Wilder pociągnął ją w kierunku jaskini. Przekroczyli śpiącego starca i weszli do kabiny windy. Ściany zawieszono kotarami, na podłodze leżały dwa materace. Otaczając ramieniem plecy kobiety i przyciskając ja do siebie, Wilder usiadł oparty o tylną ścianę windy. Po drugiej stronie hallu widział żółtą powierzchnię basenu, wiele kabin zostało przerobionych na małe, jednoosobowe chatki, ale teraz wszystkie były opuszczone. Jak zauważył, w basenie pływały dwa ciała, trudne do odróżnienia od innych śmieci, odpadków kuchennych i kawałków mebli.

Wilder poczęstował się pozostałościami małego kota, który został upieczony nad ogniem. Szarpał zębami żylaste mięso, jeszcze ciepły tłuszcz działał na niego prawie oszałamiająco, kiedy oblizywał rożen.

Młoda kobieta przytuliła się do niego czule, zadowolona, że czuje wokół swoich ramion silną męską rękę. Zdziwił go świeży zapach jej ciała: im wyższe piętro, tym czystsze okazywały się kobiety. Wilder spojrzał z góry na jej gładką twarz, otwartą i przyjazną jak pyszczek domowego zwierzątka. Sprawiała wrażenie zupełnie nietkniętej tym, co działo się

w wieżowcu, jakby czekała na pojawienie się Wildera w jakimś izolowanym pomieszczeniu. Spróbował do niej przemówić, ale stwierdził, że wydaje nieartykułowane dźwięki, nie będąc w stanie formułować słów z powodu połamanych zębów i okaleczonego języka.

W dobrym nastroju po posiłku, Wilder oparł się wygodnie o młodą kobietę, bawiąc się jej srebrnym damskim pistolecikiem. Bez zastanowienia rozpiął jej zamszową marynarkę i uwolnił jej piersi. Położył dłonie na jej małych sutkach, po czym położył się na niej. Czując się senny, mruczał coś do młodej kobiety, podczas gdy ona głaskała kolorowe pasy na jego piersi i ramionach, a jej palce poruszały się bez końca po jego skórze, jakby pisała do niego list.

Leżąc wygodnie w tej chatce nad jeziorem, Wilder odpoczywał przez pierwszą połowę popołudnia. Młoda kobieta siedziała przy nim, muskając piersiami jego twarz i głaszcząc tego wielkiego, prawie nagiego mężczyznę z malowanym ciałem i odsłoniętym kroczem. Jej rodzice krzątali się po hallu. Co jakiś czas stara kobieta w wieczorowej sukni wyciągała z barykady pierwszy lepszy mebel i łupała go na ognisko.

Wilder nie zwracał na nich uwagi, myśląc tylko o ciele młodej kobiety i o potężnych filarach, które dźwigały ten wielki budynek aż pod sam dach. Przez okna za basenem widział wieże czterech sąsiednich bloków, zawieszonych jak prostopadłościenne chmury na popołudniowym niebie. Ciepło w kabinie, które zdawało się emanować z piersi młodej kobiety, pozbawiło go wszelkiej woli i energii. Jej ładna twarz spoglądała na Wildera uspokajająco. Zaakceptowała go, tak jakby zaakceptowała każdego innego wędrownego myśliwego. Najpierw próbowałaby go zabić, a gdyby to się nie udało, zaoferowałaby mu jedzenie i swoje ciało, karmiłaby go piersią aż do stanu dziecięctwa i może nawet poczułaby do niego jakieś uczucie. A potem, kiedy by zasnął, poderżnęłaby mu gardło. Streszczenie idealnego małżeństwa.

Zmobilizowawszy się Wilder kopnął pudla, śpiącego na materacu przed windą. Skowyt zwierzaka ocucił Wildera. Odepchnął kobietę. Potrzebował snu, ale najpierw musi się przenieść do bezpieczniejszej kryjówki, bo ta wiedźma z córką go wykończą.

Wstał i nie oglądając się pociągnął za sobą psa. Wsunął srebrny pistolecik za pasek od spodni i sprawdził rysunki na piersi i ramionach. Z kamerą w ręku przeszedł przez barykadę i znalazł się z powrotem na klatce schodowej, zostawiając spokojne obozowisko i młodą kobietę nad jej żółtym jeziorem.

Kiedy ruszył po schodach w górę, wszędzie panowała cisza. Wyłożone chodnikiem schody tłumiły odgłos jego butów, a on zbyt był pochłonięty słuchaniem własnego oddechu, żeby zauważyć, że ściany wokół niego zostały świeżo pomalowane i ich białe powierzchnie połyskują w popołudniowym świetle jak wejście do rzeźni.

Wilder doszedł do trzydziestego siódmego piętra, wyczuwając na nagim ciele powiew lodowatego powietrza z otwartego nieba. Wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej słyszał teraz krzyki mew. Kiedy pies zaczął skomleć, nie chcąc iść dalej, puścił go wolno i patrzył, jak pudel zbiega po schodach.

Trzydzieste siódme piętro było bezludne, drzwi mieszkań stały szeroko otwarte. Zbyt wyczerpany, żeby myśleć, wszedł do pustego mieszkania, zabarykadował się w salonie i zapadł w głęboki sen na podłodze.

18 Krwawy ogród

W przeciwieństwie do niego Anthony Royal, wysoko na otwartym dachu trzy piętra wyżej, nigdy nie był bardziej ożywiony. Gotów wreszcie dołączyć do morskich ptaków, stał przy oknie swojego penthouse'u, patrząc ponad placami osiedla w stronę odległego ujścia rzeki. Spłukane niedawnym deszczem poranne powietrze było czyste, ale lodowato zimne i rzeka płynęła z miasta jak strumień lodu. Royal nie jadł nic od dwóch dni, ale ten brak pożywienia, zamiast go osłabić, pobudzał każdy nerw i mięsień jego ciała. Skrzek mew wypełniał powietrze i wydawał się szarpać obnażoną tkankę jego mózgu. Ptaki wzbijały się nieustanną fontanną z nadbudówek i balustrad, tworzyły w powietrzu rozszerzający się wir i znów spadały w dół w stronę ogródka z rzeźbami.

Royal teraz już wiedział na pewno, że mewy go wzywają. Psy go opuściły: jak tylko je odwiązał, rozbiegły się po korytarzach i klatkach schodowych i pozostał z nim tylko biały wilczur. Siedział u stóp Royala przy otwartym oknie balkonowym, zahipnotyzowany ruchem ptaków. Jego rany się zasklepiły i jego grube arktyczne futro było białe. Royal odczuwał brak tych plam, podobnie jak krwawych śladów dłoni, które pani Wilder sprała z jego kurtki.

Niewielka ilość jedzenia, jaką Royal zabrał ze sobą przed zamknięciem się w penthousie, oddał w całości psu, ale sam był już ponad głodem. Od trzech dni nikogo nie widział i był zadowolony, że odciął się od żony i sąsiadów. Patrząc na wirującą chmurę mew, wiedział, że to one są prawdziwymi mieszkańcami wieżowca. Nie zdając sobie z tego wówczas sprawy, to dla nich zaprojektował ogródek z rzeźbami.

Royal zadrżał z zimna. Miał na sobie kurtkę safari i cienkie płótno nie dawało mu ochrony przed wiatrem wiejącym na betonowym dachu. W rozświetlonym powietrzu materiał kurtki wydawał się szary w porównaniu z kredowo białą skórą Royala. Z trudem panując nad sobą i nie mając pewności, czy nie pootwierały się rany po wypadku, wyszedł na taras i przeszedł się po dachu.

Mewy dreptały wokół niego, przekręcając głowy i wycierając dzioby o beton. Jego powierzchnię znaczyły krwawe smugi. Royal po raz pierwszy zauważył, że gzymsy i balustrady są pokryte tymi krwawymi karbami, symbolami tajemniczej kaligrafii.

W oddali rozlegał się szmer kobiecych głosów. To w środkowej części tarasu widokowego, za ogródkiem z rzeźbami, grupa kobiet odbywała jakieś zebranie.

Wyprowadzony z równowagi tym naruszeniem jego prywatnego krajobrazu i przypomnieniem, że nie jest jeszcze sam w wieżowcu, Royal wycofał się za tylną ścianę ogródka. Głosy krążyły wokół niego, prowadząc swobodne rozmowy, jakby to była jedna z wielu podobnych wizyt. Może przespał ich poprzednie wycieczki albo po nadejściu chłodów kobiety postanowiły przenieść miejsce swoich zebrań pod osłonę jego penthouse'u.

Wir ptaków rozsypywał się. Kiedy Royal wracał do siebie, ich spirala zaczęła się rozpadać. Mewy nurkowały daleko wzdłuż fasady budynku. Popędzając owczarka przed sobą, Royal wyszedł zza murku ogródka. Dwie kobiety stały wewnątrz jego penthouse'u, jedna z ręką opartą na maszynie do ćwiczeń. Co przestraszyło Royala, to ich swobodna postawa, jakby się właśnie wprowadzały do wynajętego domku letniskowego.

Royal wycofał się za nadbudówkę windy. Tak długo przebywał tylko w towarzystwie mew i białego owczarka, że widok tych ludzkich intruzów działał mu na nerwy. Przyciągnął do siebie psa i postanowił zaczekać w ogródku, aż ta wycieczka sobie pójdzie.

Pchnął tylną furtkę do ogródka i poszedł między malowanymi geometrycznymi bryłami. Otoczyły go dziesiątki mew, tłocząc się na pokrytej kafelkami podłodze. Dreptały za Royalem pełne nadziei, prawie jakby czekały tu na niego, spodziewając się, że coś im przyniesie.

W pewnej chwili poślizgnął się na mokrych kafelkach i stwierdził, że przykleił mu się do podeszwy kawałek chrząstki. Żeby ją oderwać, oparł się o jedną z betonowych rzeźb, sięgającą do pasa kulę, pomalowaną na jaskrawo-czerwony kolor.

Odjąwszy rękę stwierdził, że w ogródku pełno jest krwi. Ceramiczna podłoga była śliska od czerwonego śluzu.

Owczarek węszył łakomie i pożarł łapczywie strzęp mięsa leżący na skraju sadzawki. Royal patrzył wstrząśnięty na schlapane krwią kafelki, na swoją czerwoną dłoń, na białe kości, oczyszczone przez ptaki.

Wilder obudził się późnym popołudniem. Po pustym pokoju hulał zimny przeciąg, szeleszcząc gazetą na podłodze. Mieszkanie nie miało żaluzji. Wilder słuchał wiatru huczącego w przewodach wentylacyjnych. Krzyki mew ucichły, jakby ptaki wyniosły się na dobre. Wilder usiadł na podłodze w kącie salonu, jak wierzchołek tego niezamieszkanego sześcianu. Czując nacisk ściany za plecami, mógł prawie uwierzyć, że jest pierwszym i ostatnim lokatorem tego bloku mieszkalnego.

Wstał i przeszedł przez pokój na balkon. Daleko w dole widział tysiące samochodów na parkingach, ale przesłaniała je lekka mgiełka, potwierdzająca, że stanowią część innego świata.

Wysysając resztki zwierzęcego tłuszczu, jaki przylgnął do palców, Wilder wszedł do kuchni. Półki i lodówka były puste. Przypomniała mu się młoda kobieta z jej ciepłym ciałem w kabinie windy nad basenem, i zastanawiał się, czy do niej nie wrócić. Pamiętał, jak głaskała jego pierś i ramiona, czuł dotyk jej rąk na skórze.

Nadal ssąc palce i myśląc o tym, że został porzucony w tym olbrzymim budynku, Wilder wyszedł z mieszkania. Na korytarzu panowała cisza, przeciąg rozwiewał kupki śmieci. W lewej ręce trzymał kamerę, ale nie był już pewien, do czego ona służy, ani dlaczego wszędzie ja ze sobą nosi.

Natomiast srebrny pistolecik rozpoznał natychmiast. Trzymał go w prawej ręce i celował z niego dla rozrywki w każde otwarte drzwi, mając cichą nadzieję, że ktoś z nich wyjdzie i przyłączy się do zabawy. Górne piętra budynku zostały częściowo zajęte przez niebo. Wspinając się na czterdzieste piętro, widział białe chmury, oprawione w ramę świetlika nad klatką schodową.

Mierząc z pistoletu, Wilder przebiegł przez hall na czterdziestym piętrze. Nie było tu barykad, niedawno ktoś próbował tu robić porządki. Worki ze śmieciami wyniesiono, barykady rozebrano, a w hallu ustawiono na powrót meble. Ktoś umył ściany, usuwając wszystkie ślady graffiti, rozkłady dyżurów i czasy odjazdów wind.

Za jego plecami przeciąg zatrzasnął drzwi, odcinając snop światła. Ciesząc się zabawą z samym sobą w pustym budynku i będąc pewien, że wkrótce ktoś się do niego przyłączy, Wilder przyklęknął na kolanie i wymierzył pistolet w wyimaginowanego napastnika. Potem pobiegł korytarzem, kopnięciem otworzył drzwi i wpadł do mieszkania.

Był to największy apartament, jaki widział w tym budynku, znacznie rozleglejszy niż inne na górnych piętrach. Podobnie jak hall i korytarz pokoje były starannie wysprzątane, dywany na nowo rozłożone, przy oknach zawieszono zasłony. Na lśniącym stole jadalnym stały dwa srebrne świeczniki.

Pod wrażeniem tego widoku Wilder obszedł błyszczący stół. W jakiś niejasny sposób miał uczucie, że już tu kiedyś był, wiele lat przed wprowadzeniem się do wieżowca. Wysoki sufit i męskie meble przypominały mu dom, w którym był jako małe dziecko. Wędrował po tych na nowo urządzonych pokojach, niemal spodziewając się znaleźć swoje zabawki, łóżeczko i kojec rozstawiony na jego przybycie.

Między dwiema sypialniami prywatne schody prowadziły w górę do mniejszego kilkupokojowego mieszkania wychodzącego na dach. Zaintrygowany tajemniczością i wyzwaniem tych tajnych schodów, Wilder zaczął się po nich wspinać. Wysysając resztki tłuszczu z palców, wydawał radosne dźwięki.

Był w połowie schodów i zmierzał ku otwartej przestrzeni, kiedy coś zastawiło mu drogę. Z cienia wyłoniła się wysoka i wychudła postać siwowłosego mężczyzny. Był dużo starszy od Wildera, wiatr rozwiewał jego białą czuprynę. Stał na szczycie schodów, spoglądając w milczeniu z góry na intruza. Jego twarz kryła się w ostrym światłocieniu, ale blizny na kościstym czole występowały wyraźnie, podobnie jak świeże odciski dłoni na białej kurtce.

Mgliście przypominając sobie tego szalonego starego człowieka z tarasu widokowego, Wilder przystanął. Nie wiedział, czy Royal przyszedł, żeby się z nim pobawić, czy żeby go skarcić. Z nerwowej postawy Royala i jego wynędzniałego widoku Wilder domyślał się, że starszy pan gdzieś się chował, ale nie należało to do zabawy.

Mając mimo to nadzieję na wciągnięcie go do gry, Wilder dla żartów skierował na niego swój pistolet. Ku jego zdziwieniu architekt cofnął się, jakby udawał, że się boi. Kiedy Wilder zbliżył się do niego, podniósł swoją chromowaną laskę i rzucił nią w Wildera.

Metalowy pręt odbił się od poręczy i uderzył Wildera w lewą rękę. Pod wpływem bólu Wilder upuścił kamerę. Ręka mu zdrętwiała i przez chwilę czuł się bezradny jak skrzywdzone dziecko. Kiedy architekt zrobił krok w jego stronę, Wilder uniósł pistolet i strzelił mu w pierś.

Kiedy krótka eksplozja wygasła w zimnym powietrzu, Wilder pokonał resztę stopni. Ciało architekta leżało w niewygodnej pozycji w poprzek schodów, jakby udawał nieżywego. Jego pozbawiona kropli krwi, pokryta bliznami twarz była odwrócona od Wildera. Nadal żył, patrząc przez otwarte okna na niknące w górze ptaki, które strzał poderwał w powietrze. Nie rozumiejąc tej zabawy i jej zaskakujących zwrotów, Wilder przekroczył ciało. Kamera leżała na dole schodów, ale postanowił ją tam pozostawić. Roztarł stłuczoną rękę, odrzucił pistolet, który boleśnie wstrząsnął jego dłonią i wyszedł przez balkonowe drzwi na dach. Dwadzieścia jardów dalej w ogródku bawiły się dzieci. Furtka, od tak dawna zamknięta na kłódkę, była teraz szeroko otwarta i Wilder widział geometryczne formy rzeźb-zabawek, których żywe barwy odcinały się od białych ścian. Wszystko zostało świeżo pomalowane i cały taras wibrował światłem.

Wilder pomachał dzieciom, ale żadne go nie zauważyło. Ich obecność dodała mu otuchy i poczuł przypływ dumy, że wspiął się aż na sam dach, żeby je tu znaleźć. Ten dziwny człowiek z bliznami w poplamionej krwią kurtce nie rozumiał jego zabawy.

Jedno z dzieci, może dwuletni chłopiec, wbiegał i wybiegał z rzeźb całkiem nagi. Wilder czym prędzej rozpiął swoje podarte spodnie i pozwolił im opaść na beton. Potykając się, jakby zaczął zapominać sztuki chodzenia, pobiegł nago, żeby przyłączyć się do kolegów.

Pośrodku ogródka, obok pustej sadzawki, jakaś kobieta rozpalała duże ognisko ze szczątków mebli. Jej silne ręce ustawiały wielki rożen, zmontowany z chromowanych rur maszyny do ćwiczeń. Potem kucnęła przy ogniu, podsycając go nogami od krzeseł, podczas gdy dzieci wspólnie się bawiły.

Wilder podszedł bliżej, mając nieśmiałą nadzieję, że kobieta zauważy wzory pokrywające jego pierś. Podczas gdy czekał, aż dzieci zaproszą go do zabawy, zobaczył, że po jego lewej stronie w odległości dziesięciu stóp stoi druga kobieta. Miała na sobie suknię do kostek i długi kuchenny fartuch w kratkę, a związane w węzeł na karku włosy odsłaniały jej surowe rysy.

Wilder zatrzymał się między rzeźbami, zaniepokojony, że nikt go nie zauważa. Przy furtce pojawiły się dwie następne kobiety, ubrane w ten sam ascetyczny sposób. Inne wychodziły spomiędzy rzeźb, otaczając Wildera luźnym kręgiem. Można by pomyśleć, że należą do innego stulecia i innego krajobrazu, gdyby nie okulary słoneczne, których ciemne szkła wyróżniały się na tle pokreślonego krwawymi smugami betonu tego tarasu na dachu.

Wilder czekał, aż się do niego odezwą. Cieszył się, że jest nagi i może pokazać swoje ciało z malowanymi wzorami. Wreszcie kobieta obejrzała się na niego przez ramię. Mimo zmiany stroju rozpoznał ją jako swoją żonę Judith. Chciał do niej podbiec, ale jej rzeczowe spojrzenie i całkowity brak wrażenia na widok jego masywnych genitaliów zmusiły go do zatrzymania się.

Teraz już wiedział, że zna wszystkie otaczające go kobiety. Jak przez mgłę rozpoznał Charlotte, Melville z szalem odsłaniającym jej posiniaczoną szyję, patrzącą na niego bez wrogości. Obok Jane Sheridan stała młoda żona Royala, teraz pełniąca rolę opiekunki mniejszych dzieci. Poznał żonę jubilera w jej długim futrze, z twarzą, podobnie jak jej ciało, pokrytą czerwoną farbą. Obejrzawszy się za siebie, choćby po to, żeby potwierdzić, że nie ma odwrotu, zobaczył okazałą postać autorki książek dla dzieci, siedzącej w drzwiach penthouse'u niczym królowa w swoim pawilonie. W ostatnim przebłysku nadziei pomyślał, że może przeczyta mu którąś ze swoich historii.

Przed nim gromadka dzieci bawiła się w ogródku kośćmi.

Krąg kobiet zacieśniał się. Z ogniska wystrzeliły pierwsze płomienie. Politura na antycznych meblach zajmowała się z trzaskiem. Zza swoich okularów słonecznych kobiety patrzyły na Wildera łakomie, jakby im się przypomniało, że po ciężkiej pracy ma się dobry apetyt. Jak na komendę wszystkie wyjęły coś z głębokich kieszeni swoich fartuchów.

W zakrwawionych dłoniach trzymały wąskie, długie noże. Zawstydzony, ale szczęśliwy Wilder podreptał na spotkanie swoich nowych matek.

19 Nocne gry i zabawy

Wkrótce miała być podana kolacja. Siedząc na balkonie dwudziestego piątego piętra, Robert Laing poprawiał ognisko, rozpalone z książki telefonicznej. Płomienie oświetlały dorodne barki i tułów piekącego się na rożnie owczarka. Laing wachlował ogień, mając nadzieję, że Alice i Eleanor Powell, leżące w jednym łóżku, docenią jego wysiłki. Pracowicie polewał tłuszczem ciemną skórę psa, którego natarł czosnkiem i ziołami.

– Zasada numer jeden – mruczał pod nosem. – Jeżeli czujesz czosnek, to znak, że wszystko jest w porządku.

Jak na razie sprawy wyglądały wielce zadowalająco. Owczarek był gotów, duży posiłek dobrze zrobi obu kobietom. Ostatnio narzekały z powodu braku jedzenia i były zbyt osłabione, żeby docenić zręczność i odwagę potrzebną do schwytania psa, nie mówiąc już o wyczerpującej pracy przy obdzieraniu ze skóry i patroszeniu tego dużego zwierzęcia. Skarżyły się nawet na jego nerwowe skomlenie, kiedy Laing wertował książkę kucharską, znalezioną w sąsiednim mieszkaniu. Długo się zastanawiał, jak najlepiej przyrządzić psa, który, sądząc po jego drżeniu i skomleniu, rozumiał istotę problemu, jakby dotarło do niego, że jest jednym z ostatnich zwierząt w budynku i już tylko z tego powodu zasługuje na poważny wysiłek kulinarny.

Myśl o czekających ich tygodniach głodu na chwilę zafrasowała Lainga, który dorzucił trochę kartek do ogniska. Może na niższych piętrach kryła się jeszcze jakaś zwierzyna, ale on nigdy nie zapuszczał się poniżej dwudziestego piętra. Smród z basenu na dziesiątym piętrze był nie do zniesienia, przenikając wszystkimi kanałami wentylacyjnymi i szybami windowymi. Laing w ciągu ubiegłych miesięcy tylko raz zszedł na dolne poziomy, kiedy odegrał rolę dobrego Samarytanina wobec Anthony'ego Royala.

Laing znalazł umierającego architekta, kiedy rąbał drewno na ognisko w hallu dwudziestego piątego piętra. Wyciągał właśnie antyczną toaletkę z nieużywanej barykady, gdy z powstałej luki wypadł dosłownie Royal, omal nie zwalając Lainga z nóg. Krew z małej rany na piersi architekta pokryła jego białą kurtkę wielkimi plamami w kształcie dłoni, jakby za pomocą tych pieczęci nadchodzącej śmierci starał się potwierdzić własną tożsamość. Był wyczerpany, oczy mu się rozjeżdżały, kości czaszki prawie przebijały naciągniętą skórę. Jakimś cudem udało mu się dotrzeć tu aż z czterdziestego piętra. Mrucząc coś bez przerwy, zwlókł się przy pomocy Lainga na dziesiąte piętro. W centrum handlowym nad pustymi ladami supermarketu unosił się smród gnijącego mięsa i Laing początkowo przypuszczał, że uległ dehermetyzacji jakiś ukryty skład mięsa, które zaczęło się rozkładać. Poczuwszy głód, chciał zostawić Royala i udać się na poszukiwanie jakiegoś jedzenia.

Tymczasem Royal z oczami prawie zamkniętymi, jedną ręką ściskając ramię Lainga, drugą wskazał basen.

W żółtym świetle, odbijającym się od tłustych kafelków, rozciągała się przed nimi długa jama grobowa. Woda dawno uciekła, ale pochyłe dno zaścielały czaszki, kości i fragmenty dziesiątków ciał. Splątane na stosie, tam gdzie je rzucono, leżały jak kąpielowicze z zatłoczonej plaży nawiedzonej przez nagły holokaust.

Mniej poruszony widokiem tych okaleczonych ciał, zapewne lokatorów zmarłych ze starości albo na różne choroby i następnie poszarpanych przez zdziczałe psy, niż ich fetorem, Laing odwrócił się. Royal, który się w niego wczepiał, kiedy schodzili po schodach, teraz już go nie potrzebował i powlókł się wzdłuż rzędu kabin do przebierania. Laing widział go po raz ostatni, kiedy zbliżał się do schodków na płytkim końcu basenu, jakby chciał znaleźć dla siebie miejsce siedzące na tej ostatecznej równi pochyłej.

Laing kucnął przy ognisku i spróbował szpikulcem zadu owczarka. Zadrżał w chłodnym powietrzu, płynącym z dołu po fasadzie wieżowca, z trudem otrząsając się ze wspomnienia dołu śmierci. Chwilami podejrzewał, że niektórzy mieszkańcy powrócili do kanibalizmu: wiele trupów zostało pozbawionych mięsa z chirurgiczną precyzją. Lokatorzy z dolnych regionów, będąc ofiarami nieustannej presji i dyskryminacji, pewnie ulegli konieczności.

– Robert...! Co ty tam robisz? – zrzędliwy głos Alice wyrwał Lainga z jego rozmyślań. Wytarłszy ręce o fartuch, pośpieszył do sypialni.

– Wszystko w porządku, kolacja prawie gotowa.

Mówił uspokajającym tonem, jakiego używał w szpitalu do swoich mniej rozgarniętych dziecięcych pacjentów, niezbyt stosownym wobec inteligentnego i znudzonego spojrzenia dwóch kobiet w łóżku.

– Nadymiłeś w całym mieszkaniu – powiedziała Eleanor. – Czy znów wysyłasz sygnały dymne?

– Nie, to ta książka telefoniczna, papier jest widocznie z plastykiem.

Alice potrząsnęła głową ze znużeniem.

– A co z bateriami dla Eleanor? Obiecałeś, że znajdziesz. Ona musi zacząć pracować.

– Tak, wiem... – Laing spojrzał na czarny ekran przenośnego telewizora, stojący na podłodze przy łóżku. Nie wiedział, co odpowiedzieć, ostatnie baterie zostały zużyte i jego poszukiwania okazywały się daremne.

Eleanor przyglądała mu się surowo. Rozdrapała sobie skaleczenie na przegubie i pokazywała je zachęcająco kotu, który z zaciekawieniem obserwował to z końca pokoju.

– Zastanawiałyśmy się, czy nie powinieneś przeprowadzić się do innego mieszkania – powiedziała.

– Co takiego? – Laing, nie wiedząc, czy żartuje, roześmiał się uradowany, podniecony tym bardziej, że na ustach Eleanor nie zagościł jej charakterystyczny powolny uśmiech. Dwie kobiety leżały obok siebie tak blisko, że stapiały się jakby w jedną. W ciągu tego dnia Laing parokrotnie przynosił im jedzenie, ale nigdy nie miał pewności, czyje funkcje i potrzeby cielesne zaspokaja. Przeniosły się do tego samego łóżka dla ciepła i bezpieczeństwa, ale Laing podejrzewał, że w rzeczywistości chodziło im o zsynchronizowanie nadzoru nad nim. Wiedziały, że Laing jest im potrzebny i mimo odgrywanej pantomimy całe ich zachowanie było nastawione na zaspokajanie prywatnych potrzeb Lainga, który w zamian zapewniał im fizyczne bezpieczeństwo. Taka wymiana znakomicie odpowiadała Laingowi, podobnie jak to, że zajmowały jedno łóżko. Miał dzięki temu do czynienia z jednym kompletem kaprysów i z jednym repertuarem neurotycznych gierek.

Lubił patrzeć, jak odżywa dawny wigor Eleanor. Obie kobiety ucierpiały poważnie na skutek niedożywienia i Laing czuł się podniesiony na duchu, kiedy widział, że czują się o tyle lepiej, żeby móc odgrywać swoje role w tej swobodnie rozwijającej się pantomimie i traktować go, jakby były dwiema guwernantkami w bogatym domu, które przekomarzają się z chimerycznym i zamkniętym w sobie dzieckiem. Chwilami Laing lubił doprowadzać tę grę do logicznego końca i wyobrażać sobie, że to te dwie kobiety tu rządzą i że obie do głębi nim pogardzają. Ta ostatnia rola pomogła mu kiedyś, kiedy do mieszkania wpadła plądrująca okolicę banda kobiet pod przewodem pani Wilder. Widząc, że Laing jest poniewierany i uznawszy go za więźnia Alice i Eleanor, poszły sobie. Z drugiej strony, może aż za dobrze rozumiały, co się tak naprawdę dzieje.

Tak czy inaczej, Laing mógł na razie żyć w tym intymnym kręgu rodzinnym, pierwszym, jakiego zaznał od czasów dzieciństwa. Ta sytuacja zostawiała mu dość czasu na zastanowienie się nad sobą, a silny element nieprzewidywalności utrzymywał wszystkich w czujności. Mógł z łatwością ukąsić pierś, która go karmiła. Kobiety uwielbiały go za to. Pozostała mu spora liczba ampułek z morfiną i planował sobie zapoznanie obu kobiet z tym odurzającym eliksirem. Ich uzależnienie przechyli znów szalę ich podporządkowania. Zabawne, ale to właśnie tutaj, w wieżowcu, znalazł swoje pierwsze pacjentki.

Później, kiedy już pokroił psa i zaniósł obu kobietom hojne, ale nie przesadnie duże porcje, Laing, siedząc na balkonie oparty o poręcz rozmyślał o swoim szczęściu. Przede wszystkim, teraz już nie miało znaczenia to, jak się zachowuje, jakim zboczonym instynktom ulegnie, albo jaką drogę wybierze. Żałował, że Royal umarł, bo odczuwał do niego wdzięczność za to, że uczestnicząc w projektowaniu wieżowca, umożliwił to wszystko, co się stało. To dziwne, że sam Royal miał przed śmiercią wyrzuty sumienia.

Laing pomachał przyjaźnie dwóm kobietom, które siedziały na materacu z tacą na kolanach, jedząc z jednego talerza. Laing skończył jeść ciemne, pachnące czosnkiem mięso i spojrzał w górę na fasadę budynku. Wszystkie piętra były pogrążone w ciemności, co stwierdził z przyjemnością. Jego uczucie dla tych dwóch kobiet było autentyczne, podobnie jak jego duma, że zapewnia im przeżycie, ale to w żaden sposób nie kolidowało z jego nowo odkrytą wolnością.

W sumie życie w wieżowcu obeszło się z nim dobrze. W coraz większym zakresie wszystko wracało do normy. Laing zaczął na powrót myśleć o szkole medycznej. Może następnego dnia wpadnie do laboratorium fizjologii i weźmie prace do sprawdzenia. Wpierw jednak musi trochę posprzątać. Widział dziś, jak dwie sąsiadki zamiatały korytarz. Może nawet uda się uruchomić windę. Warto by zająć jakieś drugie mieszkanie, rozebrać barykady i zacząć się meblować. Laing pomyślał o groźbie Eleanor. Rozważył pomysł wyprowadzenia się, odczuwając w związku z tym jakąś zakazaną przyjemność. Będzie musiał coś wymyślić, żeby odzyskać ich sympatię.

Wszystko to jednak, podobnie jak morfina, którą będzie im dawał w coraz większych dawkach, to tylko początek, zwykła próba przed prawdziwymi atrakcjami. Czując, jak zbierają się w nim ich zapowiedzi, oparł się o poręcz balkonu.

Zapadł zmrok i żar ogniska dogasał w ciemnościach. Sylwetka dużego psa na rożnie przypominała lecącą postać okaleczonego człowieka, szybującego z ogromną energią po nocnym niebie, czerwone węgle płonęły ogniem karbunkułów osadzonych w jego skórze.

Laing spojrzał na oddalony o czterysta metrów wieżowiec. W rezultacie chwilowej awarii elektryczności na siódmym piętrze zgasły wszystkie światła. W ciemnościach już poruszały się pierwsze ogniki latarek, świadczące, że mieszkańcy podjęli nieśmiałe próby ustalenia, gdzie się znajdują. Laing z zadowoleniem obserwował tych ludzi, wkraczających w nowy dla siebie świat.